

STAN ŚMIERTELNY
Imigranci na granicy,
rząd w znieczuleniu

PŁAĆ I PŁACZ
Czy energia
musi drożeć

KRAJ BEZ PAŃSTWA
Paweł Pieniążek
rozmawia z talibami

EMERYT BOND
Agent w świecie
nie dla niego

MIŁOŚĆ NIEMOŻLIWA
Bliskie spotkanie
psa i wilczycy

Kraków 10 października 2021 nr 41 (3770)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Gdzie jest Szymon Hołownia

W NUMERZE DODATEK
TADEUSZ RÓŻEWICZ.
STULECIE URODZIN



20.

Dni Tischnerowskie

KRAKÓW, 13-15 PAŹDZIERNIKA 2021



Solidarność jest jeszcze przed nami

ORGANIZATORZY:

INSTYTUT
MYŚLI
TISCHNERA
JOZEFA



znak



fb.com/JozefTischner
fb.com/dni.tischnerowskie
fb.com/InstytutTischnera
www.tischner.pl

WSPÓŁORGANIZATORZY:

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
Dziedzictwa Narodowego i Sportu
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

Kraków
Projekt współfinansowany
ze środków Miasta Krakowa



PARTNERZY:

FUNDACJA
KGHM
POLSKA WIEŚ

PRZYSZA SZKOŁA
EUROPEJSKA
DLA XL ZIOBEŁ TISCHNERA

FRONIMA



De
Revolutionibus
Book&Cafe

TYGODNIK
POWIEŚCZNY

RADIO
KRAKÓW

ZNAK

KS. ADAM

Boniecki: Stadion zgorszenia

TEGO JESZCZE NIE MIELIŚMY, ŻEBY BISKUP PUBLICZNIE pouczał i upominał innego (arcy-) biskupa. Przewodniczący Komisji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów KEP (pomocniczy biskup diecezji bielsko-żywieckiej) Piotr Greger ogłosił deklarację, w której napisał – do abp. Grzegorza Rysia – w związku z liturgią celebrowaną pod jego przewodnictwem na spotkaniu Arena Młodych „Reset” na stadionie żużlowym Orła Łódź 13 września w ramach Kongresu Nowej Ewangelizacji – iż „kapłan winien pamiętać, że jest sługą świętej liturgii i że nie wolno mu na własną rękę w celebracji mszy św. niczego dodawać, opuszczać ani zmieniać”. Główne zarzuty: że „nie można sakramentu pokuty i pojednania traktować zamiennie z aktem pokuty, ponieważ nie wolno łączyć sakramentu pokuty ze mszą św.” oraz że modlitwa celebransa „należy wyłącznie do przewodniczącego, (...) bo on reprezentując osobę Chrystusa (...) zanosí te modlitwy do Boga w imieniu całego ludu”.

Tymczasem abp Ryś, mając przed sobą 6,5 tys. młodych ludzi, o których wiedział, że większość nie była na mszy św. od półtora roku (lockdown), i zdając sobie sprawę, jak mało zrozumiały dla tych młodych jest język gestów i tekstów liturgii, nie dochował – jak sam przyznaje – „wszystkich norm i kanonów”. Zaprosił młodych do zaangażowania się w modlitwę mszalną, czyniąc z niej modlitwę wstawienniczą uczestników, a wprowadzając do aktu pokuty, proponował, by zamiast trzykrotnego „Panie, zmiłuj się nad nami”, uczestnicy rzeczywiście uznali i wyznali swoje grzechy i sakramentalnie pojednali się z Bogiem. W tym momencie 150 księży rozpoczęło posługę sakramentu pojednania (spowiedzi).

Arcybiskup przeprosił później „wszystkich, którzy poculi się zgorszeni lub choćby zaniepokojeni formą celebracji”, i dodał: „Ufam także, że chociaż niektóre z norm liturgicznych nie zostały dochowane co do litery, to jednak nie zostały naruszone co do sensu i co do Ducha”. Wyjaśnił też: „Powo-



dem mojego postępowania nie było (...) lekceważenie czy kwestionowanie przepisów liturgicznych, lecz rozeznanie (poprzedzone także długą modlitwą i konsultacjami) zarówno co do charakteru samego wydarzenia, jak i co do duchowych potrzeb, wrażliwości i pobożności biorących w nim udział młodych ludzi. Wydarzenie to miało charakter wyjątkowy i jednorazowy”.

Cóż, normy liturgiczne zawsze, aż po nasze czasy, bywały modyfikowane. Listy zaś od „zgorszonych i zaniepokojonych”, przynajmniej te, które otrzymał arcybiskup, nie pochodziły od uczestników wydarzenia.

Episkopalna reprimenda publicznie udzielona biskupowi jest lekcją o Kościele takim, jaki jest, złożonym z różnych ludzi. Dla jednych troska o przepisy – ważna, wręcz konieczna – jest sprawą najwyższej rangi. Oburza ich łączenie spowiedzi z mszą św., a popierają zwyczaj spowiadania się podczas mszy św. Dla innych szabat jest dla człowieka, a nie człowiek dla szabat. Inaczej też rozumieją „prawdziwe i niewątpliwe dobro Kościoła”, o którym jest mowa w cytowanej przez biskupa Gregera soborowej Konstytucji o liturgii („nowości należy wprowadzać tylko wtedy, gdy tego wymaga prawdziwe i niewątpliwe dobro Kościoła”).

Aleksander Bańka – filozof, politolog, profesor Uniwersytetu Śląskiego, świecki delegat Kościoła w Polsce na otwarcie procesu synodalnego, tak komentuje wydarzenie: „za błąd uważam naruszenie norm liturgicznych, a jednocześnie z całego serca dziękuję Bogu za abp. Rysia”. I wyjaśnił: „Ten, kto nigdy nie robił czegoś takiego, nie stawał przed podobnymi dylematami, nie próbował na porównywalną skalę ewangelizować – zwłaszcza młodzieży – i wprowadzać ich w doświadczenie najgłębszych, ale i najtrudniejszych tajemnic chrześcijaństwa, z pewnością nie zrozumie, o czym mówię. (...) Zdecydowanie bardziej gorszące i wołające o pomstę do nieba jest moim zdaniem nie to, co wydarzyło się na łódzkim stadionie, ale to, co wycieka z ust sporej części moich braci i sióstr w wierze. To jest prawdziwy »stadion zgorszenia«”. ©Ⓟ

TYGODNIK
POWSZECHNY

Nominacje i nagrody dla naszych Autorów!

Zbigniew Rokita otrzymał Nagrodę Literacką Nike za reportaż „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”.

Anna Mikulska i **Krzysztof Story** za teksty publikowane na łamach „Tygodnika” otrzymali nominacje do nagrody Festiwalu Wrażliwego, który docenia twórców poruszających ważne tematy społeczne.

Nasz eseista **Maciej Topolski** otrzymał natomiast nominację do Nagrody Conrada za zbiór próz poetyckich „Niż”.

Autorom gratulujemy!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



20 Solówka wśród popisów

DARIUSZ KOSIŃSKI:

Szymon Hołownia nieustannie krytykuje i demaskuje sposób uprawiania polityki w Polsce. Tyle razy obiecywał zmianę, że wątpliwa staje się trafność tego postulatu.



27 Tajemnica rąk

ANNA GOC:

„Rodzice chcieli, żebym nauczyła się mówić i była jak oni. Czułam się jak rodzinny pies. Wszyscy dookoła byli słyszący” – mówi głucha od urodzenia kobieta.



32 Sprawdzam ZUZANNA RADZIK:

Mój niezmiennie seksistowski i patriarchalny Kościół przed synodem znów przemawia do mnie pięknymi frazami o słuchaniu i wspólnym kroczeniu. Dlaczego miałybyśmy w to wierzyć?

54 Dwóch hetmanów i sułtan

MACIEJ MÜLLER:

Ogień ich armat był huraganowy. Ale Turcy, którzy 170 lat wcześniej zdobyli Konstantynopol i parli przez Europę, nie byli w stanie sforsować chocimskich okopów.



64 Bojownik

ROZMOWA Z ŁUKASZEM RONDUDĄ, REŻYSEREM:

Według obowiązujących podziałów taki człowiek jak Daniel Rycharski nie powinien istnieć. Jest katolikiem, gejem, artystą sztuk wizualnych, który mieszka i tworzy na wsi.



78 Złotka

KRZYSZTOF NIEDZIAŁKOWSKI:

W tej historii jest bliskie spotkanie psa i wilka. I pytanie, co robić z dzikimi zwierzętami, które zbyt często przyzwyczaiły się do ludzi.

6 Stan śmiertelny
MARCIN ŻYŁA

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

20 Solówka wśród popisów
DARIUSZ KOŚCIŃSKI

24 Co się dzieje na granicy
ROZMOWA Z MARYSIĄ ŻŁONKIEWICZ,
AKTYWISTKĄ:
*Niektórzy migranci i uchodźcy
są wyrzucani przez Straż Graniczną
w trudno dostępnych miejscach.
Po to, żeby ich zniechęcić*

26 Spokojnie, to tylko kryzys
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI *o polskiej
katastrofie demograficznej*

27 Tajemnica rąk
ANNA GOC

■ ■ **WIARA**

32 Sprawdzam
ZUZANNA RADZIK

36 Strefy wolne od Franciszka
MARTA ZDZIEBORSKA: *Antypapińska
opozycja w amerykańskim Kościele
ma wpływowego sprzymierzeńca*

38 Sansara i wściekłe psy
MAREK RABIJ *o birmańskim mnichu,
który nawołuje do mordowania
muzułmanów*

■ ■ **ŚWIAT**

42 Zacięta machina systemu
PAWEŁ PIENIAŻEK Z AFGANISTANU
o problemie talibów z budową państwa

46 Aleksiej nie składa broni
FILIP RUDNIK ZE LWOWA:
*Młodzi Białorusini coraz częściej
uciekają przed reżimem do Ukrainy*

TEMAT TYGODNIKA



TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA GAZETA

12 Prąd nas kopnie

MAREK RABIJ:

Polska wdała się w niepotrzebny spór z Czechami o kopalnię i została upokorzona. Akurat w momencie, w którym przez Europę przetacza się kryzys energetyczny. Odczujemy go za chwilę dotkliwie. I to na długo. Przez unijny Trybunał zostaliśmy natomiast potraktowani obcesowo. Na jego ostrej decyzji zaważyły wcześniejsze doświadczenia z negocjacji w sprawie zmian w sądownictwie.

■ ■ **FELIETONY**

31 DOROTA MASŁOWSKA

41 ZUZANNA RADZIK

76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCIEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: SZYMON HOŁOWNIA
FOTOGRAFIA: ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Redaktor prowadzący:
MARCIN ŻYŁA

48 Cena sceptycyzmu

MARTA ZDZIEBORSKA:
*Na sparaliżowanej wariantem
Delta amerykańskiej prowincji
ludzie umierają, choć często można
było tego uniknąć*

51 Czekając na zimę

PATRYCJA BUKAŁSKA
o sparaliżowanej Wielkiej Brytanii

■ ■ **HISTORIA**

54 Dwóch hetmanów i sułtan
MACIEJ MÜLLER

■ ■ **NAUKA**

60 Ludzie o wielkich sercach
BARTOSZ KABAŁA:
*Większość wiedzy o przyczynach
zawałców i udarów zawdzięczamy
chorobie nadciśnieniowej
prezydenta Roosevelta*

■ ■ **KULTURA**

64 Bojownik
ROZMOWA Z ŁUKASZEM RONDUDĄ,
REŻYSEREM

68 Istnienie nieistnienia
MACIEJ TOPOLSKI
*o Warszawie fotografowanej
przez hitlerowców z powietrza*

71 Bohater ostatniej akcji
SEBASTIAN SMOLIŃSKI:
*James Bond znowu ratuje świat,
ale może to świat powinien dziś
ratować Bonda?*

74 Długi film o zabijaniu
ANITA PIOTROWSKA *o filmie
„Żeby nie było śladów”
Jana P. Matuszyńskiego*

**76 Nowoczesność na ludzką
miarę**
LEKTOR *o biografii Waltera
Gropiusa autorstwa Fiony MacCarthy*

■ ■ **ZMYŚŁY**

78 Złotka
KRZYSZTOF NIEDZIAŁKOWSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata**

W świecie arabskim premierem została pierwszy raz kobieta.
Ale niezależności będzie miała mniej niż jej poprzednicy

— uważa **WOJCIECH JAGIELSKI**

www.tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Rosyjska ruletka**

Kremłowski urzędnicy po zakończeniu sfalszowanym
sukcesem tzw. wyborów do Dumy nie spoczywają na laurach

— pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA**

www.tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Paweł Pieniążek PROSTO Z AFGANISTANU
Serwis specjalny

WWW.POWSZECH.NET/AFGANISTAN

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



STAN ŚMIERTELNY

Spośród ludzi pod jej jurysdykcją władza wydzieliła grupę – migrantów na granicy – o której życiu w praktyce decyduje sama. To najgroźniejszy taki precedens w historii demokratycznej Polski.

MARCIN ŻYŁA

WIEMY O SZEŚCIU OSOBACH, KTÓRE DO PONIEDZIAŁKU 4 października zmarły na polsko-białoruskiej granicy, częściowo na skutek polityki Alaksandra Łukaszenki oraz polityki Mateusza Morawieckiego. Śmierci będzie niestety więcej, gdyż nie słabnie upór obu rządów – w próbie destabilizacji sąsiedniego państwa, z cynicznym wykorzystaniem ludzi (Białoruś), oraz w narażaniu tych samych ludzi na utratę zdrowia i życia (Polska). Cofając ich do granicy w zimnie i ciemnościach, wywołując w trudno dostępne miejsca albo odmawiając wysłania karetki, nasza władza wykonawcza wydzieliła z osób pod jej jurysdykcją grupę, o której życiu decyduje sama. Stało się to wbrew prawu. To najgroźniejszy taki precedens w historii demokratycznej Polski.

Według rządu przedłużony właśnie o dwa miesiące stan wyjątkowy w pasie przygranicznym to konieczność i jedyny sposób zatrzymania białoruskich działań, które ministrowie nazywają już „wojną hybrydową”. I choć władza ma tu swoje racje, od początku kryzysu na granicy widać, że zarządzanie nim to, oprócz kwestii związanych z bezpieczeństwem, również inny cel: utwierdzenie Polaków w przekonaniach o zagrożeniu, jakie przynoszą ze sobą migranci i uchodźcy, oraz o bezkompromisowości rządu.

Gdyby było inaczej, grupy Afgańczyków spod Usnarza Górnego nie trzymano by w sierpniu tak długo na oczach opinii publicznej; nie wprowadzono by całkowitego zakazu działania organizacji pozarządowych w strefie stanu wyjątkowego; dziennikarzy zaś przydzielono by np. do

Grupa kilkunastu uchodźców i ośmiorga dzieci zatrzymanych w Szymkach. Michałowo, 27 września 2021 r.

jednostek wojska i Straży Granicznej, aby mogli – podobnie jak w czasie operacji zbrojnych – z tej pozycji relacjonować wydarzenia. Inna polityka jest możliwa. Pokazują to choćby przykłady jawniejszej polityki Łotwy i Litwy, gdzie również wprowadzono stan wyjątkowy, lecz władze i opozycja pozostają zgodne co do jego celów i sposobów działania służb.

W Polsce wybrano spuszczenie kurtyny i politykę przeciw życiu, o którego ochronie kolejne rządy Zjednoczonej Prawicy grzmiały od lat, wspierane m.in. przez chór duchowieństwa katolickiego. Niezważanie na wstyd i wręcz fanatyczne – jeśli słuchać słów i obserwować zaciętą mimikę ministra Mariusza Kamińskiego, który podczas niesławnej konferencji nie powstrzymał się nawet przed zaprezentowaniem twardej pornografii – koncentrowanie się na zagrożeniu ze strony Kremla i Łukaszenki przyniesie krótkotrwały polityczny efekt. Ostatecznie dołączy jednak do innych dowodów słabości naszego państwa, i to na kilku poziomach. Na pograniczu białoruskim organizacje pozarządowe są zmuszone w ukryciu pomagać ludziom na skraju hipotermii. Żal wielu lat budowania struktur profesjonalnej Straży Granicznej, która od kilku tygodni bierze udział w procedurze wciąż nielegalnych wywózek migrantów. Zadziwiająca jest niemoc Polskiego Czerwonego Krzyża.

Coraz więcej migrantów i uchodźców trafiających do Białorusi wie o warunkach na granicy i pytania o ich odpowiedzialność za los swój i najbliższych przy planowaniu podróży są oczywiście uprawnione. Jednak diaboliczna polityka Łukaszenki oraz – zwłaszcza – nieludzkie postępowanie strony polskiej skutkują czymś jeszcze: poczuciem dojmującej bezradności wśród tych z nas, którzy, niezależnie od swojego stosunku do PiS-u czy migrantów, czują, że także w ich imieniu na granicy białoruskiej wyrządzana jest ludziorz krzywda. Dla swojego politycznego dobra rządzący powinni więc pamiętać, że skutkami bezradności bywają gniew i chęć zmiany. ©

O sytuacji na granicy czytaj też rozmowę na s. 24

Partyjna skarbonka Zbigniewa Ziobry

KAROLINA LEWICKA



KIEDY POLITYK SOLIDARNEJ POLSKI MARCIN WACHOŁ bił się o rzeszowski ratusz, czerpał z Funduszu Sprawiedliwości pełną garścią – łącznie „zorganizował” dla podkarpackiej stolicy ponad 2 mln zł. Czyli prowadził swą kampanię za publiczną kasę.

Teraz, zresztą po raz drugi, wydatkom z Funduszu Sprawiedliwości przyjrzał się NIK. W 2018 r. kontrolerzy alarmowali, że dotacje zeń są przyznawane „po uważaniu”, co może stwarzać ryzyko działań korupcyjnych. Po trzech latach jest jeszcze gorzej. Ponad 60 proc. środków, łącznie 280 mln zł, wydano nie na to, na co powinny być wydane, czyli na pomoc ofiarom przestępstw czy osobom wychodzącym z więzienia.

Na co poszły te pieniądze? Tu otwiera się worek z kuriozami. Sfinansowano konferencję poświęconą współpracy państw Międzomorza czy badanie dotyczące prześladowania w Polsce chrześcijan (w jego ramach analizowano literaturę fantastyczną i memy) za 2,5 mln zł.

Projekty Funduszu to źródło zarobku dla konkretnych osób – orzekli kontrolerzy i złożyli do prokuratury pięć zawiadomień o popełnieniu przestępstwa. Chodzi tutaj o opolską Fundację Ex Bono, którą kieruje krewny radny Solidarnej Polski. Fundacja, bez kadr

i doświadczenia, wzięła 10 mln zł na stworzenie sieci pomocy ofiarom w dwóch województwach i poległa. NIK zresztą długo nie mógł jej namierzyć: mieściła się w prywatnym mieszkaniu, którego lokatorzy nie mieli o jej istnieniu pojęcia.

Partia Zbigniewa Ziobry nie otrzymuje subwencji z budżetu państwa, bo startowała w wyborach nie samodzielnie, ale z list PiS-u. Koalicjanci długo namawiali prezesa Kaczyńskiego, by podzielił się pieniędzmi (Ziobro i Gowin chcieli po 2 mln zł rocznie) – bez skutku. Za to Nowogrodzka przymyka oko na proceder z Funduszem Sprawiedliwości, dzięki czemu Solidarna Polska ma nie 2 mln partyjnych pieniędzy, ale setki milionów z budżetu państwa. O tym, na co je wyda (to także wynik kontroli NIK), arbitralnie decyduje minister sprawiedliwości.

NIK wezwał do działania premiera i CBA, ale to głos wołającego na puszczy. Odkąd PiS wziął władzę, niezmordowanie drenuje budżety państwowych firm i urzędów. To spółki Skarbu Państwa na różne sposoby finansują kampanie, propagandę i pomysły rządzących, Fundusz Sprawiedliwości koncertowo wpisuje się w ten *modus operandi*. ©

Autorka jest dziennikarką radia TOK FM

Minister na wojennej ścieżce

„DUŻA CZĘŚĆ środowiska medycznego podpisała porozumienia z Ministerstwem Zdrowia, a jedno środowisko próbuje kreować większy niepokój, niż jest w rzeczywistości” – mówi minister zdrowia, komentując zapowiedź zaostrenia (trwającego od 11 września) protestu medyków. Ten tydzień zweryfikuje urzędowy optymizm Adama Niedzielskiego, który wydaje się nie przejmować faktem, że w Komitecie Protestacyjno-Strajkowym Pracowników Ochrony Zdrowia reprezentowane są wszystkie organizacje pracowników medycznych. Nawet jeśli na zaostrenie protestu zdecyduje się kilka procent z zatrudnionych, system ochrony zdrowia – zwłaszcza biorąc pod uwagę wznoszącą się falę zakażeń i hospitalizacji z powodu COVID-19 – znów zastrzeszczy w szwach.

Minister uważa, że niezadowolenie pracowników ma charakter lokalny. I rzeczywi-

ście: lokalnie niezadowolone z warunków pracy zmanifestowali pracownicy Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie, składając wypowiedzenia (na taki krok zdecydowało się 25 lekarzy), a dyrektor placówki, prof. Krzysztof Fyderek, złożył rezygnację. W oświadczeniu napisał, że obejmując stanowisko założył sobie realizację trzech głównych celów: poprawę satysfakcji pacjentów i opiekunów, poprawę motywacji personelu oraz poprawę wyników finansowych. „Nie widzę możliwości poprawy sytuacji kadrowej ani finansowej Szpitala – ocenia teraz. – Obecny kryzys w systemie ochrony zdrowia stawia pod znakiem zapytania także ten postęp, który udało się osiągnąć w obszarze lecznictwa i poprawy satysfakcji pacjentów”.

Pytanie, kiedy Ministerstwo zrozumie, że niezadowolenie o charakterze lokalnym ma potencjał zakaźny i może roznieść się po kraju ze skutecznością wariantu Delta, wydaje się – niestety – retoryczne. Odpowiedź, na dziś, jest jedna: nie ma znaczenia kiedy, bo i tak za późno. © MAŁGORZATA SOLECKA

**ADRIANA POROWSKA, SZEFOWA
KAMILIAŃSKIEJ MISJI POMOCY SPOŁECZNEJ**

Przetłumając fale

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Jak idą
szczepienia wśród osób bezdomnych?



FILIP KLIMASZEWSKI DLA „JP”

ADRIANA POROWSKA:
Zostały zorganizowane w niemal wszystkich dużych miastach. Są skierowane głównie do tych, którzy przebywają w przestrzeni publicznej. W Warszawie objęły dodatkowo grupę

osób bez dowodów osobistych.

Większym problemem jest testowanie, na które nie ma pieniędzy. I infrastruktura: gdy już mamy informację, że osoba w kryzysie bezdomności jest chora, ale nie ma objawów kwalifikujących ją do hospitalizacji, to nie wiadomo, co z nią zrobić. Nie ma izolatorów, a sale w schroniskach są wieloosobowe... Ten problem został w stu procentach przerzucony na prowadzących schroniska i pracowników.

**Którzy nie dostaną trzeciej dawki
szczepionki.**

To o tyle dziwne, że jako pracownicy pomocy społecznej wywalczyliśmy sobie na początku roku wpisanie do tzw. grupy zero. Wielu z nas przyjęło drugą dawkę ponad pół roku temu – teraz mamy poczucie, że znowu nikt o nas nie pomyślał.

A pamiętajmy, że do tych wszystkich problemów dochodzi zbliżająca się fala chłodu: będzie znacznie więcej osób słabych, chorych, potrzebujących naszej pomocy. Będziemy musieli sobie jakoś w tych trudnych warunkach poradzić.

**Ile osób w kryzysie bezdomności zabrała
do tej pory epidemia?**

Nie wiem, nikt tego w Polsce nie liczy. Organizacje nie mają do tego narzędzi – po prostu widzimy gołym okiem, że dana osoba zniknęła, albo dostrzegamy na cmentarzach, gdzie chowane są osoby w kryzysie bezdomności, że ewidentnie przybyło w ciągu półtora roku grobów. Ale instytucjom – ani lokalnym, ani centralnym – nie zależy na podawaniu precyzyjnych danych dotyczących zgonów, bo mogłoby to się wiązać z pytaniami o odpowiedzialność. ©P

ADRIANA POROWSKA prowadzi w warszawskim Ursusie schronisko dla bezdomnych mężczyzn.

KRAJ W SKRÓCIE

INFLACJA

Ceny towarów i usług liczone rok do roku wzrosły we wrześniu o 5,8 proc. (w porównaniu z poprzednim miesiącem był to wzrost o 0,6 proc.). To najwyższa inflacja od 20 lat.

OPOZYCJA

Wzrosło również Donaldowi Tuskowi: 28,8 proc. badanych w sondażu „Rzeczpospolitej” uznało go za lidera opozycji. 8,4 proc. wymienia w tym kontekście Rafała Trzaskowskiego, a 6,1 proc. – Krzysztofa Bosaka.

TRYBUNAŁ

Trybunał Konstytucyjny znów odłożył orzeczenie ws. zasady wyższości prawa unijnego nad krajowym. Podczas posiedzenia Julia Przyłębska uniemożliwiła przedstawicielom Rzecznika Praw Obywatelskich odpowiedź na zadane przez siebie pytanie, a na prośbę o zaprotokołowanie tego odpowiedziała „To wszystko i tak się nagrywa”.

AUTOR

À propos nagrywania: na Wyspach zarejestrowano publicystkę Rafała Ziemkiewicza. Gdy prawnicowy felietonista odwoził do Anglii córkę rozpoczynającą studia na Oksfordzie, został odesłany z lotniska w związku z poglądami nielucyjnymi z wartościami uznawanymi w Wlk. Brytanii.



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

DAMA

Para prezydencka wzięła udział w akcji sadzenia drzew. Jak wyjaśniła rzadko udzielająca publicznych wypowiedzi Agata Duda, chodziło o uświadomienie społeczeństwu, że „lasy są dobrem wspólnym, o które wspólnie powinniśmy dbać”.

Influencerzy na Dzikim Zachodzie

CZY INFLUENCERZY stosują kryptoreklamę i wprowadzają odbiorców w błąd? Postępowanie wyjaśniające w tej sprawie wszczął prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Urząd chce zbadać zasady umieszczania treści sponsorowanych – czyli tzw. współpracy z markami – przez gwiazdy YouTube’a, Instagrama czy TikToka.

Zasady, czy raczej – brak zasad. W odróżnieniu od prasy, radia i telewizji, gdzie reklamę i lokowanie produktu regulują ramy prawne chroniące konsumentów, sieć długo zdawała się Dzikim Zachodem. Ale prawnicy wskazują, że kogoś, kto w sposób ciągły zarabia poprzez media na działalności promocyjnej – a to w gruncie rzeczy definicja influencera – obowiązują ogólne zasady ustaw o przeciwdziałaniu nieuczciwym praktykom rynkowym i nieuczciwej konkurencji. Tymczasem np. brak oznaczenia reklamy (szef UOKiK przypomina, że hashtag #ad pod wpisem to za mało) jest w sieci nagminny.

To nowy rynek, który potrzebuje uczciwych reguł. Na razie z jednej strony są reklamodawcy mamieni wizją niezuzitych form promocji – UOKiK chce sprawdzić, czy influencerzy nie omijają reguł pod presją sponsorów – z drugiej zaś amatorzy mamieni legendarnymi fruktami cyfrowej gospodarki, którzy o powyższych ustawach mogli nie słyszeć. Dlatego tak ważna jest deklaracja UOKiK, że stworzy wytyczne dla influencerów i liczy na samoregulację.

©P MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Operacja optymalizacja

NAZWISKO Rafała Brzosi – jednego z najbogatszych Polaków – pojawiło się w dokumentach „Pandora Papers”, które wyciekły zapewne z kancelarii podatkowych. Dziennikarze „Gazety Wyborczej” przypisują mu tzw. optymalizację, czyli obniżanie należnego podatku za pomocą transakcji ze spółkami zarejestrowanymi na Cyprze.

Brzoska odniósł się do artykułu – bo nie do samych zarzutów – w oświadczeniu, w którym stwierdza, że autorzy nie odróżniają jego prywatnego majątku od aktywów firm. Opisane mechanizmy faktycznie dotyczyły spółek grupy Integer, w której twórca InPostu był współudziałowcem. Warto jednak dodać, że każda optymalizacja uszczupla dochody budżetu, zwiększa za to majątek udziałowców: czy to w formie dywidendy, czy choćby wzrostu kursu akcji spółki.

Brzoska ubolewa, że musi zajmować się takimi sprawami, „zamiast skupiać się na rozwoju biznesu, nieść polską (...) flagę na mapie Europy”. Panie Prezesie, jest na to rada: wystarczy zamknąć swoje spółki w rajach podatkowych. ©P MAREK RABIJ



ARMEIND NIMANI / AFP / EAST NEWS

KILKANAŚCIE DNI trwała wojna nerwów między Kosowem a Serbią. Gdy kosowskie władze zarządziły, że kierowcy aut z serbskimi tablicami rejestracyjnymi muszą używać tymczasowych kosowskich tablic, protest rozpoczęła mniejszość serbska (jej członkowie często używają aut rejestrowanych w Serbii). Serbowie zablokowali przejścia graniczne Jarinje i Brnjak, Kosovo skierowało tam jednostki specjalne policji, a Belgrad postawił w stan gotowości garnizony wzdłuż granicy. W miniony piątek dzięki pośrednictwu UE osiągnięto ugodę: kosowska policja wycofała się, usunięto blokady z przejść (obsadzili je żołnierze z misji pokojowej KFOR, także polscy), a spór ma zostać rozwiązany w ciągu najbliższych sześciu miesięcy w trójsstronnych negocjacjach. Na zdjęciu: Serbki mijają wóz kosowskiej policji w Jarinje, 28 września 2021 r. © WP / REUTERS, OSW

Czarna passa Nicolasa Sarkozy'ego

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA



TO MAKSYMALNA MOŻLIWA TUTAJ KARA: rok więzienia bez zawieszenia, tyle że z możliwością zamienienia więzienia na areszt domowy. Taki wyrok usłyszał Nicolas Sarkozy. Sąd uznał, że były prezydent Francji (z lat 2007-12) jest winny nielegalnego finansowania kampanii wyborczej w 2012 r. To kolejny cios dla Sarkozy'ego – w marcu tego roku skazano go w innej sprawie z okresu jego prezydentury, tzw. aferze podsłuchowej, na 3 lata więzienia, w tym 2 lata w zawieszeniu. Żaden z tych werdyktów nie jest prawomocny, gdyż skazany zapowiedział apelację.

Wyrok z minionego tygodnia dotyczy tzw. afery Bygmaliona (od nazwy agencji, która organizowała kampanię Sarkozy'ego, gdy walczył o reelekcję). Śledczy udowodnili, że z pomocą fałszywych faktur jego sztab chciał ukryć przekroczenie dozwolonego pułapu finansowania kampanii. Prawo wyznacza ten limit

w wyborach prezydenckich na 22,5 mln euro, a obóz Sarkozy'ego wydał niemal dwa razy tyle. Wraz z nim na kary więzienia skazano 13 współpracowników (część się przyznała). On sam twierdzi, że nie wiedział o machinacjach własnego sztabu.

Sarkozy przejdzie do historii jako pierwszy prezydent Francji skazany dwa razy – w pierwszej instancji – na bezwarunkowe więzienie. Jego poprzednik Jacques Chirac usłyszał w 2011 r. prawomocny wyrok 2 lat więzienia za korupcję w paryskim merostwie, ale w zawieszeniu. Tymczasem to nie koniec kłopotów „Sarko” (jak zwą go Francuzi): organy ścigania postawiły mu zarzuty w sprawie domniemanego finansowania jego kampanii – tym razem w 2007 r. – przez libijskiego dyktatora Muammara Kaddafiego. Sprawa jest w toku.

Zapowiada się wieloodcinkowy serial pt. „Sarkozy na ławie oskarżonych”. ©

YouTube przeciwko rosyjskiej dezinformacji

DWA NIEMIECKOJĘZYCZNE KANAŁY, które rosyjska telewizja RT prowadziła na platformie YouTube, zostały zablokowane, a ich treści usunięte. Władze YouTube'a tłumaczą, że RT łamała regulamin platformy, dezinformując na temat pandemii (w tym nt. bezpieczeństwa zachodnich szczepionek), a gdy została ukarana czasowym zawieszeniem, próbowała je obejść, publikując swoje treści na innym kanale. Rosyjskie MSZ nazwało decyzję „bezzasadną agresją informacyjną” i zarzuciło władzom Niemiec, że naciskały w tej sprawie na YouTube'a. Moskwa zasugerowała, że podejmie kroki przeciw platformie (np. blokując do niej dostęp na terenie Rosji) i przeciw niemieckim mediom.

Państwowy koncern medialny RT, nadający w wielu językach jako telewizja i przez internet, jest powszechnie odbierany jako narzędzie propagandy Kremla. Na grudzień tego roku RT planowała uruchomić stały kanał TV nadający na terenie Niemiec, ale nie uzyskała tam licencji. Nie powiodła się też próba obejścia władz Niemiec przez uzyskanie licencji w Luksemburgu.

© WP / DPA, FAZ

Lizbona mistrzem globu

85 PROCENT: taki odsetek wszystkich Portugalczyków zaszczepił się w pełni przeciw covidowi do końca września i jest to najlepszy wynik na świecie (przy czym w grupie osób 60 plus jest to prawie 100 proc.). Od 1 października w 10-milionowym kraju zniesiono prawie wszystkie restrykcje; w mocy pozostaje obowiązek noszenia masek w sklepach, na imprezach masowych i w środkach komunikacji. W ostatnim tygodniu notowano dziennie ok. 600 nowych infekcji i ok. pięciu zgonów.

Taki poziom zaszczepienia osiągnięto bez przepisów tworzących przymus. Szukając przyczyn tego sukcesu, wskazuje się na duże zaufanie do służby zdrowia i szczepionek (kraj ma najwyższy w UE odsetek zaszczepionych przeciw odrze, różyczce i śwince: 95 proc.), a także na dramatyczne doświadczenia z początku roku, gdy było tu proporcjonalnie najwięcej na świecie infekcji i zgonów. Z ankiet wynika, że ogromna większość uważa szczepienie za obowiązek obywatelski. © WP / FAZ, FOCUS

Honory dla skompromitowanego biskupa

MACIEJ MÜLLER



KILKUDZIESIĘCIU DUCHOWNYCH UCZESTNICZYŁO w uroczystym pogrzebie byłego biskupa kaliskiego Edwarda Janiaka. Mszę prowadził metropolita wrocławski Józef Kupny, a uczestniczyli w niej m.in. abp Sławoj Leszek Głódź (ukarany przez Watykan m.in. zakazem uczestniczenia w publicznych celebracjach religijnych w archidiecezji gdańskiej po postępowaniu „dotyczącym sygnalizowanych zaniedbań ws. nadużyć seksualnych popełnionych przez niektórych duchownych wobec osób małoletnich”), bp Stefan Regmunt (któremu podobny wyrok zabrania udziału w celebracjach w diecezji zielonogórsko-gorzowskiej) i abp Marian Gołębiewski (któremu Watykan zabronił uczestniczenia w jakichkolwiek uroczystościach publicznych).

Na samym bp. Janiaku ciążył wyrok za zaniedbania w sprawach przestępstw seksualnych podległych mu księży: m.in. nie mógł uczestniczyć w publicznych spotkaniach lub celebracjach na terenie diecezji kaliskiej. Watykan zajął się jego sprawą na prośbę prymasa abp. Wojciecha Polaka, bezpośrednio po opublikowaniu w sieci filmu dokumentalnego braci Sekielskich „Zabawa w chowanego”.

Dzień wcześniej mszę żałobną w intencji bp. Janiaka odprawił w Kaliszu przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki. Mówił m.in., że nie znamy „tajemnic sumienia” zmarłego hierarchy i że „sprawa zaniedbań rzuciła cień na jego życie, ale przecież nie przekreśliła tego dobra, jakie wniósł on w życie archidiecezji”.

Już sam pomysł grzebania skompromitowanego biskupa z najwyższymi honorami budzi wątpliwości. Skoro jednak lokalny Kościół postanowił w taki sposób pożegnać zmarłego, dlaczego metropolita wrocławski dopuścił do celebry hierarchów obciążonych wyrokami? Formalnie prawo złamano tylko w przypadku abp. Gołębiewskiego, ale Kościół powinien kierować się czymś więcej niż literą prawa.

Kilkanaście dni temu abp Gądecki otwierał konferencję o ochronie dzieci w Kościołach Europy Środkowo-Wschodniej. Powiedział: „Gromadzimy się tutaj, aby leczyć się z obojętności, a tym bardziej z lekceważenia krzywdy dzieci”. Po pogrzebie bp. Janiaka trudno nie odnieść wrażenia, że polskiemu Kościołowi najlepiej wychodzi obdarzanie ofiar górnolotnymi frazesami. ©

Druga odsłona niemieckiej Drogi Synodalnej

PO PANDEMICZNEJ PRZERWIE w miniony weekend we Frankfurcie odbyło się drugie spotkanie plenarne Drogi Synodalnej. 212 delegatów i delegatek dyskutowało teksty przygotowane przez ostatni rok przez przewodniczących Drogi (preambuła i tekst programowy) oraz przez cztery komisje poświęcone władzy, życiu kapłańskiemu, miejscu kobiet w Kościele i moralności seksualnej.

Teksty uprzednio udostępniono delegatom, a ci napisali do nich setki komentarzy – zostały one streszczone w punktach, które poddano pod głosowanie we Frankfurcie. Każdej części głosowania towarzyszyła dyskusja. Delegaci mieli również możliwość odrzucenia całych dokumentów. Wszystkie zostały jednak przyjęte do dalszej redakcji w komisjach. Trzecie spotkanie Drogi ma się odbyć w lutym przyszłego roku.

Spotkanie było silnie naznaczone emocjami wywołanymi przez ostatnie decyzje z Rzymu: we wrześniu papież odrzucił rezygnację arcybiskupów Kolonii i Hamburga, krytykowanych za reakcję na przypadki pedofilii. Podczas specjalnie dodanego czasu na wybrzmienie tych emocji wielu delegatów wyrażało gniew i zwątpienie wobec braku konsekwencji dla biskupów, pojawiły się postulaty ich określenia w ramach prac Drogi.

© ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI

Dominikanie radzą

W ZESZŁYM TYGODNIU odbyła się specjalna rada polskich dominikanów. W strukturze tego zakonu rada prowincji pełni ważną funkcję i zbiera się regularnie. Tym razem jednak zgromadziła się w poszerzonym składzie, a każdy z polskich braci mógł uczestniczyć w niej online. Powodem był raport komisji na temat sprawy Pawła M.

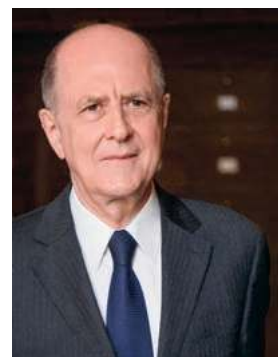
Komunikat wydany po radzie mówi o tym, że „priorytetem dla całej Prowincji jest teraz jak najsprawniej przywrócenie sprawiedliwości oraz zadośćuczynienie krzywdom osób, które zostały skrzywdzone”. Deklaracja pomocy znalazła się także w publikowanej w nowym numerze „W drodze” rozmowie z obecnym i byłym prowincjałem – o. Pawłem Kozackim i o. Krzysztofem Popławskim. To ważne przede wszystkim dla ofiar Pawła M., które oczekują konkretnych działań.

W lutym zbierze się kapituła prowincji dominikanów, która wybierze nowego prowincjała i radę prowincji oraz zadecyduje o kierunku reform zakonu. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

RAPORT

Około 3 tysiące francuskich duchownych dopuściło się czynów pedofilskich w ciągu ostatnich 70 lat – wynika z raportu niezależnej komisji ds. nadużyć seksualnych wobec małoletnich i osób niesamodzielnych w Kościele powołanej przez biskupów francuskich w 2018 r. Dane te przed ogłoszeniem raportu ujawnił szef komisji Jean-Marc Sauvė (na zdjęciu).



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

POWOŁANIA

Do seminariów zgłosiło się w tym roku o 15 proc. mniej chętnych niż przed rokiem – poinformował przewodniczący Konferencji Rektorów Wyższych Seminariów Duchownych ks. Piotr Kot. „Jest to pierwszy rok, kiedy w żadnym diecezjalnym seminarium nie ma więcej niż 20 kleryków” – powiedział.

KOMISJA

Papież mianował nowych 12 członków Międzynarodowej Komisji Teologicznej – w tym Polaka, ks. prof. Marka Jagodzińskiego z Katedry Teologii Prawosławnej KUL. Wśród 28 członków komisji jest pięć kobiet. 14 teologów pochodzi z Europy, pięciu z Ameryki Południowej, po trzech z Azji i z Afryki, dwóch z Ameryki Północnej oraz jeden z Australii.

WIZYTA

Polscy biskupi jadą do Watykanu zdać sprawę ze stanu Kościoła. Wizyta „ad limina Apostolorum” w czterech cotygodniowych grupach potrwa od 4 do 30 października.

KULTURA W SKRÓCIE

REPREZENTANTKA

Znany wyniki konkursu na kuratorski projekt wystawy w Pawilonie Polskim w Wenecji. Na 59. edycji przyszłorocznego Biennale Polskę będzie reprezentować Małgorzata Mirga-Tas. Jury zwróciło uwagę na atrakcyjną wizualną formę jej prac połączoną z oryginalną i przemyślaną konstrukcją ideową, „proponującą nową narrację o nieustannej wędrówce obrazów i wzajemnych wpływów pomiędzy kulturą romską, polską a europejską”.

Rozmowę Piotra Kosiewskiego z artystką znajdzie Państwo na stronie powszech.net/mirga-tas.

LAUREAT

Zarówno czytelnicy, jak i jury 25. edycji Nagrody Literackiej Nike wyróżnili „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku” dziennikarza i reportera Zbigniewa Rokity, którego teksty znajduje Państwo także na naszych łamach pod adresem powszech.net/rokita. Nagrodę 25-lecia Nike otrzymał Mariusz Szczygiel za książkę „Nie ma”.

PIANIŚCI

W ostatnią niedzielę rozpoczął się XVIII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina. Zmagania najlepszych pianetek i pianistów z całego świata można oglądać przez najbliższe dni w specjalnej aplikacji Chopin Competition 2020 przygotowanej przez Instytut Chopina oraz na kanale YouTube.



Pierwsze
Radio
Informacyjne

DZIENNIKARZE

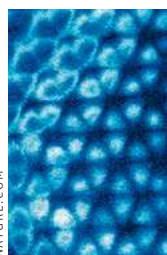
I AUTORZY „Tygodnika” co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl



NASA.GOV

MARSJAŃSKIE ŁAZIKI mają urlop. Do 14 października Mars będzie po przeciwnej stronie Słońca niż Ziemia. 13 znajdujących się tam pojazdów, w tym 3 łaziki, dron, stacjonarny lądowiec i 8 orbiterów, nie ma łączności z Ziemią. Część pójdzie spać, inne będą zbierać dane, ale prześlą je dopiero za dwa tygodnie. Tuż przed koniunkcją łazik Perseverance (na zdjęciu) pobrał dwie próbki skał, które kiedyś mają trafić na Ziemię. Przy okazji zrobił dwa selfie, „zszyte” z 57 ujęć kamery na ramieniu. Problemy ze sterowaniem ma towarzyszący mu dron Ingenuity. Jego 14. lot został na razie odwołany. Chiński łazik Zhurong poszedł spać już w połowie września. Na pożegnanie wysłał panoramę równiny Utopia Planitia. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Zmrożone elektrony



NATURE.COM

KRYSTAŁY to rodzaj ciał stałych o specyficznej, periodycznej strukturze. Budujące je elementy nie mogą się swobodnie poruszać, a jedynie drgać wokół zajmowanych przez siebie pozycji.

Choć zazwyczaj powstają z atomów, jonów lub cząsteczek, w szczególnych warunkach (m.in. bardzo niskiej temperaturze) mogą występować także kryształy złożone z samych elektronów. Ich istnienie przewidział w 1934 r. fizyk Eugene Wigner.

„Kryształy Wignera” otrzymano w ostatnich latach w kilku laboratoriach na świecie. Nierozwiązanym problemem pozostawało uwiecznienie ich obrazu (przy pomocy tzw. skaningowego mikroskopu tunelowego), gdyż dotychczasowe próby skutkowały zniszczeniem delikatnej struktury kryształu.

Aż do teraz – pierwszy obraz kryształu złożonego z elektronów, dzięki pokryciu go warstwą grafenu, uzyskali Hongyuan Li i współpracownicy.

© MARTA BIELIŃSKA

Erna Rosenstein i nowe hierarchie sztuki

W NOWOJORSKIEJ SIEDZIBIE Galerii Hauser & Wirth otwarto pierwszą za granicą monograficzną wystawę Erny Rosenstein „Once Upon a Time” (czynna do 23 grudnia br.). Zebrano na niej ponad 40 prac zmarłej w 2004 r. artystki, która łączyła w swoim dziele świat realny i fantazję. Tworzyła pełne humoru obiekty, a jednocześnie mierzyła się z żydowską tożsamością, wojenną traumą i tragiczną śmiercią rodziców.

Ostatnio jej prace coraz częściej pokazywano za granicą, m.in. na documenta 14 w Atenach i Kassel. Niedługo znajdą się na wystawie „Surrealism Beyond Borders” przygotowanej przez nowojorskie Metropolitan Museum of Art (potem pokaże ją londyńska Tate Modern). Ekspozycja w Hauser & Wirth, jednej z najbardziej prestiżowych galerii na świecie, może sprawić, że twórczość Rosenstein, jak wcześniej Aliny Szapocznikow, zdobędzie międzynarodowe uznanie.

Zwłaszcza że ta galeria (wspólnie z Fundacją Galerii Foksal) opiekuje się spuścizną artystki (tzw. *estates*), podobnie jak spuścizną Louise Bourgeois, Alexandra Caldera czy właśnie Szapocznikow. Wystawa pokazuje, jak zmieniają się hierarchie w polskiej sztuce. Widać to choćby na przykładzie Grupy Krakowskiej, do której należała Erna Rosenstein. Jej niedoceniana wcześniej twórczość okazuje się dziś aktualna i ważna. Żywa, a nie pokryta muzealnym kurzem.

© PIOTR KOSIEWSKI



PRĄD NAS KOPNIE

Polska wdała się w niepotrzebny spór z Czechami o kopalnię i została upokorzona. Akurat w momencie, w którym przez Europę przetacza się kryzys energetyczny. Odczujemy go za chwilę dotkliwie. I to na długo.

MAREK KĘSKRAWIEC

JAK WYNIKA Z INFORMACJI „TYGODNIKA”, polscy negocjatorzy otrzymali od premiera Mateusza Morawieckiego konkretne zadanie: dogadać się (niemal) za wszelką cenę. Nawet kosztem odszkodowania sięgającego dziesiątek milionów euro, z których sfinansowalibyśmy odbudowę źródeł wody pitnej w rejonie czeskiego Liberca. Tylko porozumienie z rządem Andreja Babiša może rozpocząć procedurę wycofania skargi i wstrzymania naliczania kary nałożonej postanowieniem Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Chodzi o 500 tys. euro dziennie do czasu wstrzymania wydobycia węgla brunatnego w odkrywkowej kopalni w Turowie.

Cokolwiek usłyszymy teraz na temat ugody z Czechami z ust ministra klimatu i środowiska Michała Kurtyki, nie przyćmi to klęski. Czesi negocjują ostro, przeciągają rozmowy i trudno im się dziwić. Sami daliśmy im oręż do ręki, zwłaszcza w kwietniu, gdy rząd przedłużył do 2044 r. koncesję na wydobycie węgla w Turowie – bez ostatecznej decyzji środowiskowej. To właśnie sprawiło, że wiceprezes TSUE Rosario Silva de Lapuerta najpierw w maju nakazała przerwanie pracy kopalni, a 20 września ogłosiła surową grzywnę za niewykonanie polecenia. Mogła wstrzymać się z karą i oddać decyzję Wielkiej Izbie 15 sędziów, jak to było w przypadku sporu o wycinkę drzew w Puszczy Białowieskiej. Uznała jednak, że zignorowanie jej postanowienia z maja wymaga już teraz reakcji, bez czekania na ostateczny wyrok TSUE, który zapewne za-

padnie wiosną przyszłego roku. Tym samym de Lapuerta stanęła po stronie Czechów, dowodzących, że polska odkrywka powoduje obniżenie wód podziemnych i problemy z wodą pitną w okolicach Liberca. Generuje też ogromny hałas i wznieca chmury pyłów. Postanowienie nie jest orzeczeniem winy Polski, ale uznaniem, że oskarżenia mają solidne podstawy i wymagają działań zabezpieczających interesy Czechów. Nie można go nigdzie zakazywać, a jeśli Polska nie zapłaci kar, Komisja Europejska będzie je potrącać z puli unijnych funduszy dla Warszawy. Decyzja okazała się bezprecedensowa, żaden inny kraj Unii Europejskiej nie był jeszcze przez TSUE straszony podobną windykacją. Nie ma nawet dokładnych procedur, jak taka egzekucja długu miałaby wyglądać. Wiadomo jedno: zostaliśmy potraktowani obcesowo i właściwie zdani na łaskę Czechów. Na ostrej decyzji Trybunału zaważyły zapewne wcześniejsze doświadczenia z negocjacji w sprawie radykalnych zmian w polskim sądownictwie.

Tam Trybunał, a tu kolejne awarie

– A jednak uważam postanowienie TSUE za niesprawiedliwe, nieprzemyślane i niewykonalne. Wygląda to tak, jakby odchodząca 7 października na emeryturę sędzia chciała mieć już tę sprawę zamkniętą – mówi Rafał Zasuń, redaktor naczelny portalu WysokieNapiecie.pl, który w ostatnich czasach stał się najbardziej opiniotwórczym serwisem analizującym rynki energetyczne. – Rosario Silva de Lapuerta nie wzięła pod uwagę nowego argumentu polskiej strony, →

TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA GAZETA

Kopalnia odkrywkowa węgla brunatnego Turow. Bogatynia, 17 stycznia 2020 r.

→ choć trzeba od razu przyznać, że fakt, iż pojawił się on dopiero teraz, źle świadczy o naszych negocjatorach. Chodzi o ciepło sieciowe płynące z elektrowni w Turowie i ogrzewające 17-tysięczną Bogatynię. Nie ma możliwości, by nagle, w obliczu jesieni i zimy, uruchomić tam alternatywne źródło ogrzewania. To jest ważna kwestia społeczna i Trybunał powinien się do niej odnieść. Ponadto od maja, kiedy TSUE wydał pierwsze postanowienie, pogorszył się bilans energetyczny naszego kraju. Mielśmy dużą awarię elektrowni węglowej w Bełchatowie, gdzie do dziś nie ruszył jeden z bloków. Nie możemy też korzystać z nowego bloku w Jaworznie, gdyż doszło tam do awarii palników, z którymi wykonawca nie może sobie wciąż poradzić. I kolejny argument: kilka miesięcy temu ceny energii w Polsce były wysokie, więc mogliśmy ją teoretycznie kupować za granicą, by uzupełniać niedobory. Dziś jednak, kiedy ceny za granicą wystrzeliły w górę, to od nas płynie prąd, więc możliwości importu są mniejsze.

Podobnie na sprawę Turowa patrzy Paweł Musiałek, dyrektor Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego, ekspert ds. bezpieczeństwa energetycznego. – Postanowienie TSUE jest radykalnie nieproporcjonalne do skali przewinień Turowa. Gdyby je wykonano, koszty społeczne dla regionu byłyby ogromne – uważa.

Co ciekawe, dwa lata temu to dość podobnej sprawie Trybunał postąpił od-

wrotnie. Wtedy nie przychylił się do wniosku belgijskich organizacji ekologicznych, które domagały się wyłączenia dwóch przestarzałych bloków jądrowych w elektrowni Doel. Tam też przy przedłużeniu koncesji na 10 lat nie przeprowadzono badań wpływu na przyrodę. A jednak Belgia została tylko upomniana i zobowiązana do wykonania raportu środowiskowego. Przeważył argument, że wyłączenie elektrowni oznacza poważne zagrożenie przerwami w dostawach prądu dla wielu mieszkańców, czemu nie można zapobiec alternatywnymi środkami. Podobnie jak w Bogatyni...

Pracująca na bazie węgla brunatnego elektrownia w Turowie odpowiada za 7 proc. prądu produkowanego w Polsce, docierającego do ponad 3 mln odbiorców. Teoretycznie można sobie wyobrazić, że węgiel trafia do niej nie z polskiej odkrywki, ale z pobliskich kopalń w Czechach, jednak wymagałoby to czasu i kolejnych inwestycji w infrastrukturę, by przyjąć codziennie setki ciężarówek z węglem lub dziesiątki pociągów towarowych. Tymczasem idzie zima, a na dodatek ciężko przecenić wymiar polityczny takiej operacji. Jak bowiem sprowadzać węgiel brunatny z kraju, który *de facto* zamyka nam kopalnię? A w dodatku, co podnoszą stale prawicowe media, sam ma kilka własnych odkrywek zatruwających środowisko naturalne. Kopalnie węgla brunatnego są też po stronie Nie-

miec, a kraj ten wydobywa go najwięcej na świecie (Polska jest na szóstym miejscu, Czechy na dziesiątym).

Porozumienie z Czechami i miliony euro, jakie zapłacimy im za naprawę szkód, są jedynym rozwiązaniem, by Polska mogła wyjść z twarzą z sytuacji i nie płacić wysokich kar do unijnej kasy. Jak podkreśla Zasuń, kopalni w Turowie nie można tak po prostu zamknąć. Nawet po wstrzymaniu produkcji trzeba by z niej odpompowywać wodę, aby nie doszło do zalania odkrywki, a to oznacza, że wody podziemne w Czechach szybko by się nie odbudowały. Podobny wniosek wynika z opinii przygotowanej dla rządu przez specjalistów z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie pod kierunkiem prof. Marka Cały. Ostrzegają oni, że „natychmiastowa realizacja wniosku Republiki Czeskiej wywołać może katastrofalne i nieodwracalne skutki”. Przewidują dalsze pogorszenie warunków wodnych i powstanie osuwisk. Problem może rozwiązać dopiero specjalny ekran przeciwi-filtracyjny, blokujący odpływ wód z terenu Czech do turowskiego leja, jednak ukończenie jego budowy nastąpi dopiero w 2023 r.

O ile kopalnia będzie nadal działać. Jeśli nie będzie, oznacza to poważne tapping społeczno-gospodarcze w regionie, w którym kompleks kopalni i elektrowni daje pracę 8 tys. ludzi. I dlatego właśnie tak ważne okazało się porozumienie

Polska fotowoltaika na rozdrożu

KIEDYŚ SIECI ENERGETYCZNE

działały w jedną stronę: od elektrowni do klienta. Teraz, gdy mamy w kraju coraz więcej prosumentów, jednocześnie konsumujących i produkujących prąd, napotykamy na bariery technologiczne uniemożliwiające ruch dwukierunkowy. Polski system energetyczny nie jest w stanie w okresie wzmóżonej produkcji przyjmować prądu z ponad 600 tys. rozproszonych urządzeń.

WEDŁUG AGENCJI RYNKU

ENERGII moc instalacji foto-

woltaicznych wzrosła w Polsce w latach 2013-20 z 4 MW do 3960 MW, a dziś sięga niemal 5000 MW. Z kolei z wyliczeń portalu WysokieNapiecie.pl wynika, że tylko w ubiegłym roku inwestycje w ten sektor rynku energetycznego wyniosły 10 mld zł, z czego 6 mld przypadło na małe gospodarstwa domowe, a reszta na firmy oraz samorządy. Co prawda rządowe dotacje z programu „Mój Prąd” już się wy-czerpały, ale być może pojawią się następne edycje projektu.

WIĘKSZYM PROBLEMEM

jest fakt, że krajowe sieci energetyczne dochodzą do granicy możliwości integrowania z systemem kolejnych przyłączy. Zdarzało się już nawet tak, że podczas słonecznych i wietrznych dni trzeba było wyłączać z sieci niektóre farmy wiatrowe i instalacje fotowoltaiczne. Jeśli nie będzie nowych inwestycji w sieć i magazyny zielonej energii, to przy dzisiejszym tempie rozwoju OZE takie wyłączenia staną się normą. Dla małych producentów energii oznaczać to będzie straty, bo tylko właściciele dużych farm słonecznych mogą liczyć na odszkodowania. Państwowe spółki zapowiadają co prawda

inwestycje w infrastrukturę rzędu 43 mld zł w najbliższych pięciu latach, ale nie ma pewności, iż tak się stanie.

NIEPOKÓJ budzą również zapowiedziane przez rząd zmiany sposobu rozliczania energii. Dziś prosumenci mogą przekazywać do sieci nadwyżki, a potem w pochmurne dni odebrać 80 proc. z oddanego prądu – za darmo. Rząd chce, by od przyszłego roku nadwyżki sprzedawane były pośrednikom w handlu energią, a w okresie niedoboru – odkupywane. Zapewne po wyższej cenie.

© KĘS

z Czechami, którzy w obliczu trwającej tam kampanii wyborczej dali się poznać jako twardzi negocjatorzy.

Gaz na giełdach trzy razy droższy

Awantura z Pragę przytrafiła się nam akurat w momencie, gdy prąd stał się w Europie dobrem deficytowym, jego ceny (a także gazu i węgla) biją rekordy, a coraz więcej społeczeństw dotkniętych wcześniej pandemią ogarnia lęk przed podwyżkami – i w konsekwencji pogorszeniem sytuacji materialnej.

– Za dzisiejsze ceny gazu, które w ciągu roku wzrosły na europejskich giełdach niemal trzykrotnie, odpowiada gwałtownie rosnący popyt w związku z wychodzeniem gospodarek z pandemii. Jest on najwyższy od pięciu lat, ale silny wzrost widać też w Azji, która za dostawy gazu skroplonego jest dziś gotowa płacić jeszcze więcej niż my – mówi Agata Łoskot-Strachota, analityk rynku gazu w Ośrodku Studiów Wschodnich. – Cenę i popularność gazu napędza też fakt, że to paliwo czystsze od węgla, a na dodatek ceny tego ostatniego również znacząco wzrosły. Istotne jest też, że mierzyliśmy się w tym roku z bardzo ostrą zimą, w efekcie czego poziom zapalenia europejskich magazynów z gazem jest najniższy od kilkunastu lat. Dotyczy to także Rosji, największego eksportera, który sam zmagą się z dużym popytem wewnętrznym, dopiero uzupełnia własne braki w magazynach i realizuje tylko długoterminowe kontrakty, nie sprzedając dodatkowych ilości gazu na giełdach i nie zwiększając przepływu przez gazociąg jamalski i Ukrainę. To może być element ich gry politycznej, demonstrującej, jak wiele w Europie od nich zależy.

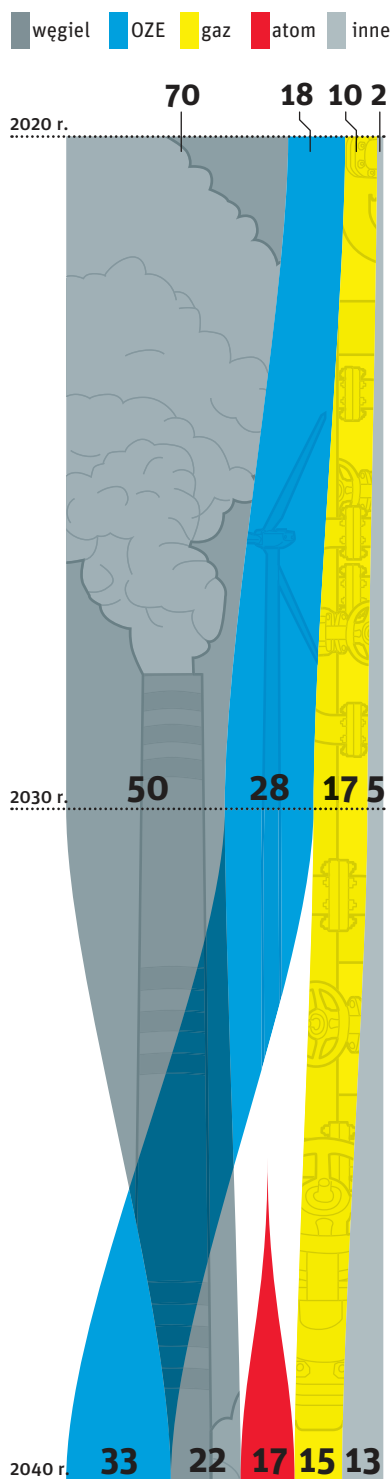
Na rolę Moskwy w dzisiejszym kryzysie zwraca też uwagę Paweł Musiałek z Klubu Jagiellońskiego. – Rosjanie chcą pokazać, jak bardzo są ważni i że to od nich zależy bezpieczeństwo energetyczne Europy. Choć dziś już szantaż gazowy z ich strony nie jest możliwy, to nadal mają wpływ na manipulowanie rynkiem, który jeszcze wzrośnie po oddaniu do użytku Nord Stream 2.

Ceny gazu i kłopot z jego pozyskaniem już przekładają się na europejskie ceny prądu, żywności, a także na ograniczenia w „gazochłonnej” produkcji nawozów czy amoniaku. Nie bardzo też wiadomo, kiedy ceny wyhamują, gdyż idzie kolejna zima. Hiszpania już ustaliła górny limit cen energii dla swoich oby-

MIKS ENERGETYCZNY POLSKI

w latach 2020-2040

(W PROCENTACH)



INFORMACJE SĄ WYPADKOWĄ RAPORTÓW AGENCJI RYNKU ENERGII ORAZ RZĄDOWYCH STRATEGII ENERGETYCZNYCH Z LAT 2018-2020

LECH MAZURZYK DLA „TP”

wateli i zaapelowała do Komisji Europejskiej o wspólną politykę energetyczną oraz stworzenie scentralizowanej platformy dla wspólnych zakupów. Ten pomysł wspierają Grecja, Portugalia, Rumunia i Włochy.

W obliczu kryzysu energetycznego Francja, Grecja, Hiszpania i Włochy zdecydowały się wprowadzić specjalne programy pomocy dla mieszkańców. Rząd w Madrycie postanowił obniżyć podatki na energię, co ma przynieść odbiorcom niemal 1,5 mln euro oszczędności. Chce też o połowę zredukować VAT dla odbiorców detalicznych. Z kolei Grecja planuje bezpośrednie subsydia dla gospodarstw domowych kosztujące budżet 150 mln euro, a także specjalne rabaty.

Co warto odnotować, rynek energii jest już tak zintegrowany, iż ceny w poszczególnych krajach wzrastają niezależnie od tego, czy gospodarka oparta jest na gazie, drożącym nieekologicznym węglu (jego cena również wzrosła trzykrotnie), czy też na tanim w produkcji, czystym atomie. Przykładem jest Francja, gdzie elektrownie jądrowe wytwarzają trzy czwarte prądu w kraju, a on i tak drożeje na giełdzie. Nie mogąc tego opanować, władze postanowiły przeznaczyć 100 mln euro na wsparcie najbiedniejszych rodzin.

Najtrudniej jest we Włoszech. Ponad połowa energii pochodzi tam z gazu i już przed wakacjami miejscowi odbiorcy otrzymali podwyżkę rachunków o 10 proc. W październiku koszty mają wzrosnąć ponownie, być może nawet o 20 proc.

Specyficzna sytuacja panuje w Wielkiej Brytanii, gdzie ceny energii na giełdzie są najwyższe w Europie i padło tam już kilka mniejszych firm dostarczających energię, bo nie były w stanie sprostać cenom w hurcie, a tym bardziej przenieść kosztów na odbiorców. Kryzys energetyczny na Wyspach został jednak przyćmiony przez kryzys logistyczny. W związku z brexitem brakuje tam niemal 100 tys. kierowców z Unii, którzy kiedyś rozwozili cysternami benzynę. Ich brak okazał się dotkliwy, gdy wzrósł popyt, a potem doszło do paniki i ludzie zaczęli na gwałt wykupywać ze stacji paliwo (zob. tekst w dziale Świat). Nawet jeśli brytyjski kryzys ma w dużej mierze podłoże emocjonalne, to nie wiadomo, czy nie zmusi rządu w Londynie, by ponownie zastanowił się nad rewolucyjnym planem włączenia do dzisiejszych rachunków odbiorców

→ prądu specyficznej składki, z której mają być budowane elektrownie atomowe, by sprostać wymaganiom „zielonego ładu”. Chodzi o sumę 20 mld funtów.

Rok 2050 to abstrakcja

W Polsce na razie paniki nie widać, choć nie ma wątpliwości, że przed odbiorcami energii ciężki czas. 16 września Urząd Regulacji Energetyki zatwierdził (trzecią w tym roku) podwyżkę cen gazu dla gospodarstw domowych o 7,4 proc., a tylko kwestią tygodni jest wzrost ceny prądu, być może o ponad 10 proc. Czy w związku z tym Polacy mogą liczyć na jakieś rekompensaty? Nie wiadomo.

Wiadomo natomiast, że kryzys energetyczny z jednej strony rodzi pytanie: czy nie powinniśmy szybciej rozwijać odnawialnych źródeł energii? A z drugiej: czy trudna sytuacja ekonomiczna w przypadku przedłużającego się kryzysu pozwoli państwom UE sprostać niezwykle kosztownym inwestycjom w OZE, których wymaga Europejski Zielony Ład?

W tej chwili nic nie wskazuje, by Komisja Europejska chciała zaprzestać nacisków na osiągnięcie neutralności klimatycznej w 2050 r. Dla Polski to ogromne wyzwanie, zwłaszcza że nasza oparta na węglu gospodarka startuje z o wiele niższego poziomu niż w innych krajach europejskich, dlatego poniesiemy dużo większe koszty.

– Europa Zachodnia jest bardziej zaawansowana w tych przemianach, posiada nowocześniejsze technologie, pozwalające minimalizować koszty i zyskiwać na eksporcie wiatraków czy też paneli fotowoltaicznych. My zaś w tym wyścigu startujemy z dalekiego miejsca, na dodatek z ciężkim workiem węgla na plecach – uważa Paweł Musiałek. – Koszty, jakie w wyniku tej operacji poniosą obywatele, będą rosły szybciej niż

pensje. To zaś może spowodować opór społeczeństwa i spowolnienie transformacji, bo wyborcy nie będą głosować na polityków idących za radykalnym planem neutralności klimatycznej Europy w 2050 roku. Dlatego powinniśmy walczyć w Unii o zagwarantowanie mechanizmów kompensacyjnych.

Paradoksem dzisiejszego kryzysu jest to, że gwałtownie rosnący popyt na energię wywołał w Europie *boom* na zakupy nieekologicznego węgla do produkcji prądu. W efekcie hałdy przy naszych kopalniach znikają w ekspresowym tempie, tak dzieje się też w innych krajach. W Niemczech, gdzie gaz także kosmicznie zdrożał, a farmy wiatrowe produkują mniej energii niż przed rokiem, zaczęto uruchamiać nawet zamknięte bloki węglowe w elektrowniach. Nie oznacza to odchodzenia od ambitnych planów Europejskiego Zielonego Ładu, ale pokazuje, że w obliczu nagłego kryzysu nie ma sentymentów. Zresztą na razie perspektywa roku 2050 wydaje się dość abstrakcyjna.

– Nikt z nas nie wie, jak będzie wyglądał świat za 29 lat, dlatego trudno mi powiedzieć, czy plan Komisji Europejskiej jest realny. Istnieje zbyt wiele czynników nieprzewidywalnych. Musimy się raczej skupić na celu na rok 2030. Politykom, nie tylko zresztą polskim, łatwiej mówić o dalekich planach i datach, bo to nie oni będą rządzić, gdy ten czas nadejdzie – podkreśla Rafał Zasuń.

Odejście od węgla jest jednak wyborem cywilizacyjnym i dopóki jesteśmy w Unii Europejskiej, musimy iść w tym samym kierunku. Zdaje sobie z tego sprawę również Zjednoczona Prawica. W efekcie rząd PiS w swojej strategii energetycznej zapisał zamykanie kopalń i nie podjął żadnej decyzji o budowie elektrowni węglowej, nie licząc tej w Ostrołęce, przekształconej w gazową. Zdaniem Pawła Musiałka nie

odbywa się to w świetle kamer z uwagi na sentyment do węgla u wielu wyborców PiS oraz siłę lobby górniczego. Jednak dziś, kiedy koszty górnictwa i energetyki węglowej rosną bardzo dynamicznie, na transformację energetyczną mamy środki unijne, a w ramach Krajowego Planu Odbudowy na termomodernizację i walkę ze smogiem możemy wydać 3 mld euro – łatwiej o zmianę tego myślenia. Kiedyś wizja kupna kotła gazowego za niemal 10 tys. zł przerażała, dziś – dzięki europejskim funduszom – sytuacja jest już inna.

Hospicjum dla węgla

– W ciągu ostatniej dekady udział węgla w naszym miksie energetycznym spadł z niecałych 90 proc. do 70 proc. W ostatnich dwóch latach Polska stała się też państwem, w którym najszybciej w Europie rósł udział instalacji fotowoltaicznych. Dziś całkowity udział OZE w miksie przekracza 17 proc., gazu zaś 10 proc. I te wartości będą stale rosły, zwłaszcza że przygotowujemy regulacje dla rozwoju energetyki wiatrowej na morzu – podkreśla Musiałek.

W jego opinii losy polskiej energetyki opartej na węglu są już przesądzone, gdyż część bloków w elektrowniach pamięta jeszcze czasy Gierka i jest narażona na coraz częstsze awarie. Rząd zaplanował w najbliższych latach wyłączenia kolejnych bloków, ale pewnie będzie je musiał likwidować jeszcze szybciej. Banki pod naciskiem Unii nie kredytują już inwestycji węglowych, ale naprawdę kluczowym czynnikiem są opłaty za uprawnienia do emisji CO₂, które od trzech lat stale rosną, a ostatnio przebiły barierę 60 euro za tonę, czyli kosztują ponad dwa razy więcej niż rok temu. W efekcie polskie przedsiębiorstwa muszą coraz więcej płacić za emisję CO₂, a produkcja węgla staje się coraz bardziej deficytowa. Także z uwagi na wysokie koszty pracy, rządowe dopłaty do produkcji, przerost zatrudnienia, coraz trudniej dostępne złoża i przestarzałe technologie. Stąd też pomysł rządu, by utworzyć Narodową Agencję Bezpieczeństwa Energetycznego oraz przerzucić do niej stare, wysłużone i awaryjne jednostki, a potem je wygasić. To ma być takie energetyczne hospicjum, które odciąży PGE, Tauron, Eneę i Energeę. Pozbędą się one ponad 50 proc. nieopłacalnych dziś jednostek, czyli takich, w których koszt wytworzenia energii wraz z kosztem pozwoleń na emisję CO₂ jest wyższy niż cena hurtowa

Wyrazy współczucia z powodu śmierci siostry

Ś.†P.

Felicji Styki

córce Hani, synom Hubertowi i Markowi wraz z rodzinami

składa brat

JERZY PELC Z RODZINĄ

POŻEGNANIE

prądu. Nie dotyczy to akurat rentownego wciąż Turowa i Bełchatowa, które pracują na tańszym, odkrywkowym węglu brunatnym, którego złoża są przy elektrowniach.

Zdaniem Pawła Musiałka stoimy właśnie w obliczu strategicznej decyzji: czym zastąpić węgiel. – I tu jest mój spór z najbardziej radykalnymi aktywistami, ponieważ ja uważam, że nieodzownym elementem tych zmian powinny być nie tylko odnawialne źródła energii, gdyż nie są one stabilne. Potrzebujemy wsparcia energetyki opartej na gazie – uważa ekspert Klubu Jagiellońskiego. – W ostatnich latach poczyniliśmy wiele inwestycji dywersyfikujących źródła dostaw tego paliwa. Mamy terminal w Świnoujściu, dokąd płynie statkami gaz LNG z Kataru oraz USA. Pod koniec przyszłego roku ma być też oddany rurociąg Baltic Pipe, którym popłynie gaz ziemny z Norwegii, dzięki czemu nie musimy już podpisywać nowych umów z Gazpromem. Będziemy też mieli nowe połączenia ze Słowacją oraz najprawdopodobniej kolejny terminal gazowy koło Gdańska. Odpadnie nam więc główna przyczyna, dla której nie mogła się rozbudowywać energetyka gazowa.

Rafał Zasuń dodaje, że na Zachodzie coraz popularniejsze są małe elektrociepłownie gazowe, które nie tylko produkują prąd, ale też ogrzewają domy, na dodatek nie obciąża się ich opłatami za emisję CO₂. – Są tanie i niemal bezobsługowe. Nie wymagają dużej kadry zarządzającej oraz nie generują etatów dla związkowców, więc w Polsce inwestują

Za kryzys gazowy odpowiada rosnący popyt, a także polityka Rosji demonstrującej swoją rolę gwaranta bezpieczeństwa energetycznego Europy.

w nie firmy prywatne. Państwowe wciąż wolą mieć coś dużego, nawet gdy rentowność inwestycji stoi pod znakiem zapytania – mówi Zasuń.

Atomowe mrzonki

Jest tylko jeden szkopał. Tak mocne stawianie na gaz – w zdecydowanej większości importowany – oznacza, że będziemy bardziej wrażliwi na nagłe wzrosty jego cen. Poza tym Komisja Europejska traktuje dziś gaz jako paliwo przejściowe (na 29 lat), emitujące dwa razy mniej zanieczyszczeń niż węgiel, ale nadal szkodzi. Coraz więcej państw mocno jednak promuje gaz ziemny i walczy o to, by Unia współfinansowała też elektrownie i elektrociepłownie gazowe. Paradoksalnie, biorąc pod uwagę nasz konflikt o Nord Stream 2, sojusznikami Polski w tej rozgrywce mogą się okazać Niemcy, które same mocno inwestują w ten sektor. – Z drugiej strony, zupełnie nie po drodze nam z Niemcami w sprawie neutralnego dla środowiska atomu. Nasi sąsiedzi są jego przeciwnikiem z uwagi na

nastawienie społeczeństwa, które z powodów historycznych nie chce być łączone z technologią mogąą doprowadzić do katastrofy – uważa Musiałek.

Polska, jak oświadczył podczas kwietniowego szczytu klimatycznego w USA prezydent Andrzej Duda, planuje otwarcie pierwszej elektrowni atomowej w 2033 r. Nie wiadomo jednak, czy te plany kiedykolwiek się ziszczą. Koszty takich inwestycji są ogromne, a my nie mamy w tej dziedzinie ani tradycji, ani odpowiednich technologii oraz specjalistów. Poza tym nie wiemy, czy polityka unijna pod naciskiem Niemiec nie będzie jej coraz bardziej niechętna. Być może więc nie ma sensu wikać się w tę kosztowną technologię, bo uwiąże nas na długie dziesięciolecia, biorąc pod uwagę czas budowy, użytkowania, a potem rozebrania instalacji i utylizacji odpadów promieniotwórczych.

Inną opcją mogłyby być małe reaktory jądrowe. Ich budowę zapowiedzieli Zygmunt Solorz-Żak i Michał Sołowow, którzy powołują spółkę do budowy „małego atomu” pod Koninem. Przedsięwzięcie ma być oparte na obiecującej technologii SMR, z której w Polsce chce też skorzystać światowy koncern Hitachi. Niestety, technologia ta nigdzie dotychczas nie została jeszcze zastosowana, nawet w USA, gdzie dopiero kończą się prace badawcze. Pierwszy reaktor ma powstać w Kłodzku w 2028 r. Debatowanie dziś o roli „małego atomu” dla polskiego miksu energetycznego nie ma zatem sensu. Zanim to nastąpi, czeka nas jeszcze jeden kryzys. © MAREK KĘSKRAWIEC

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Łamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kačka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Radość Tory*



OSTATNIE DWA ROZDZIAŁY KSIĘGI POWTÓRZONEGO Prawa nie są odczytywane w szabat, lecz podczas święta zwanego Simchat Tora, czyli Radość Tory. Zawierają one pożegnalne błogosławieństwo, którego Mojżesz udzielił szczepom Izraela. Pięć pokoleń wcześniej, pod koniec Księgi Rodzaju, podobne błogosławieństwo, skierowane do swoich męskich potomków – protoplastów szczepów – wygłosił na łożu śmierci ostatni z Prajoców. Jakub-Izrael był już wówczas złożony chorobą, natomiast u Mojżesza, mimo stu dwudziestu lat, „nie przytępiło się oko jego, i nie znikła świeżość jego” (Pwt 34, 7; Cyłkow).

Czy tak chcieli zapamiętać swojego przywódcę stojący u bram Ziemi Obiecanej Izraelici? Nawet jeśli Mojżesz rzeczywiście wciąż był pełen wigoru, nadszedł czas, by zszedł ze sceny. Możemy boleć wraz z nim nad tym, że nie postawi stopy za Jordanem. Pamiętamy jednak decyzję Najwyższego: prócz Kaleba i Jozuego, pokolenie urodzone w Egipcie umrze na pustyni. Wszyscy – więc również Miriam i jej bracia. Do kierowania podbojem Kanaanu potrzebny jest nowy przywódca, obdarzony innymi cechami niż lider pustynny. Rabini w Talmudzie mówią wprost: „Oblicze Mojżesza było jak słońce, Jozuego – jak księżyc”. Nikt nigdy nie może się równać z Amramowym synem, a spełnił on już swoją misję, jeśli więc Izraelici – zarówno dosłownie, jak i symbolicznie – mają iść dalej, nie może już być wśród nich postaci, która przyćmiewa wszystko i wszystkich. Pustynny przywódca wchodzi na szczyt góry Nebo i stamtąd ogląda Ziemię Obieczaną. Umiera od Bożego pocałunku i sam Najwyższy zajmuje się jego pochówkiem. Dzięki temu nikt nie zna dokładnej lokalizacji grobu i nie zamieni się on w miejsce kultu największego z proroków.

Kiedy tylko kończymy czytać o zamykających Pięcioksiąg ostatnich chwilach Mojżesza, natychmiast rozpoczynamy czytanie Tory na nowo, od opisu stworzenia świata i odpoczynku Bożego w siódmym dniu. Wrócimy do tego fragmentu w najbliższy szabat. Simchat Tora zarazem kończy i rozpoczyna roczny cykl czytania Pięcioksięgu. Na tym etapie Mojżesz przekazał nam już Słowo Boże. W pewnym sensie więc to nie Jozue zastępuje Mojżesza, lecz Tora. Odtąd przywilej jej interpretacji – kluczowe zadanie judaizmu – spoczywa na naszych barkach.

Ostatnie zdanie Tory tak podsumowuje pustynnego przywódcę: „I nie powstał więcej prorok w Izraelu jako Mojżesz, którego znał Wiekuisty z oblicza w oblicze [czyli: twarzą w twarz], tak ze względu na wszystkie znamiona [czyli: znaki] i cuda..., jak ze względu na wszystką siłę przemożną, i na wszystkie czyny wspinań i wielkie, które spełnił Mojżesz w oczach całego Izraela”. Umarł Mojżesz, niech żyje Tora! ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Daj biednym*



DO JEZUSA PRZYBIEGŁ JAKIŚ CZŁOWIEK „i padając przed Nim na kolana, zapytał: »Nauczycielu dobry, co mam robić, aby osiągnąć życie wieczne?«. Jezus mu odrzekł: »Czemu nazywasz Mnie dobrym? Nikt nie jest dobry, tylko jeden Bóg«”. Następnie zapytał go, czy zna przykazania, na co ten odpowiedział: »»Nauczycielu, przestrzegałem tego wszystkiego od młodości«. Jezus przypatrzawszy się mu, umiłował go i powiedział mu: »Jednego ci brakuje: odejdz, ile masz, sprzedaj i daj biednym, i będziesz miał skarb w niebie, i chodźże towarzyszyć mi. On zaś sposępnawszy na to słowo odszedł, był bowiem mającym posiadłości liczne«” („Grecko-polski Nowy Testament”).

Nie wiemy, jakiej odpowiedzi spodziewał się ten człowiek, ale z całą pewnością nie takiej, jaką usłyszał. Aż tak wiele, właściwie całego dorobku życia, dla przyszłości, nawet jeśli miałyby to być wieczność, poświęcić nie był gotów. Słowem, odpowiedź rozczarowała go i to wystarczyło, by z Jezusem dać sobie spokój. To nie dla mnie – pomyślał. Czytając powyższą historię, łatwo zauważyć (a może niełatwo?), że dotyczy ona również nas, naszej więzi z Bogiem. Pewnie nieraz mieliśmy Boga dość, gdyż nie tylko że nam nie pomaga, to jeszcze przeszkadza, albo wprost rujnuje nam życie.

Przy jakiejś okazji Franciszek pytał Boga, dlaczego robi wszystko, byśmy przestali w Niego wierzyć. Mówi też papież, że szukającym Boga i już wierzącym w Niego grozi pokusa bałwochwaltwa: „To ona pobudza nas do szukania Boga dla własnego użytku i korzyści, do rozwiązywania problemów, do posiadania dzięki Niemu tego, czego sami nie możemy uzyskać. Ale w ten sposób wiara pozostaje powierzchowna i skoncentrowana na cudach (...). W centrum tej niedojrzałej wiary nie znajduje się Bóg, ale nasze własne potrzeby, nasze interesy. Słusznie przedstawiamy nasze problemy Bożemu sercu, ale Pan, który działa daleko poza naszymi oczekiwaniami, pragnie żyć z nami przede wszystkim w relacji miłości. A prawdziwa miłość jest bezinteresowna, jest darmo dana: nie kocha się po to, by otrzymać w zamian jakąś korzyść!”. Co w takim razie dzisiaj, w kontekście wypowiedzi papieża, znaczy sprzedać wszystko i towarzyszyć Jezusowi? I jaki związek zachodzi między stylem życia i nadzieją na osiągnięcie nieba?

W Rzymie podczas zgromadzenia plenarnego Rady Konferencji Episkopatów Europy prof. Isabel Capelo Gil, rektor Portugalskiego Uniwersytetu Katolickiego, mówiła, że trzeba przestać tracić czas na nostalgiczne tęsknoty za „przeszłością, która nigdy naprawdę nie była tak idylliczna, jak niektórzy są skłonni wierzyć”, i uwierzyć, że dzisiaj „Europa staje się Europą na Lampedusie i w Calais”.

Chcemy zauważyć, że również w okolicach Usnarza Górnego. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Pamięć i modlitwa

Niech wzorem
wyciszenia serca będzie
dla ciebie ten, kto trzyma
lustro i wpatruje się w nie.

HEZYCHIUSZ Z SYNAJU



Kto się może poznać
na wartości
drogocennej perły?

POWIEDZENIE SUFICKIE



„PAMIĘTAJ!” TO bardzo ważne polecenie Boga. Pada w Biblii wielokrotnie, niemal jak refren. Przypomniało mi się ostatnio, kiedy słuchałem śródowej katechezy papieża Franciszka. W pewnym momencie Ojciec Święty zatrzymał się, oderwał wzrok od przygotowanego, drukowanego tekstu i kilkakrotnie powtórzył: „Nie ma modlitwy bez pamięci!”.

W jakim sensie modlitwa – i to w intuicji Franciszka koniecznie – potrzebuje pamięci?

W jaki sposób pamięć, przypomnienie sobie staje się modlitwą?

Szukając odpowiedzi na te pytania, możemy sięgnąć najpierw do polecenia wydanego przez „dwóch mężów w lśniących szatach” kobietom, które w poranek wielkanocny przychodzą do grobu Jezusa i z zaskopowaniem stwierdzają, że jest pusty. Polecenie brzmi: „Przypomnijcie sobie, jak wam mówił jeszcze w Galilei: Syn Człowieczy musi być wydany w ręce grzeszników i ukrzyżowany, lecz trzeciego dnia zmartwychwstać” (Łk 24, 6-7).

Pamięć modlitewna wydobywa z nas Słowo Pana. Usłyszane kiedyś i zachowane (w umyśle, w „sercu”)

wraca do nas, staje się aktualne, mocne, żywe – objaśnia nam sytuację, której nie rozumiemy i która nas przerasta. Jakże nie być Bogu wdzięcznym? Nie tylko za to, że kiedyś – a więc zawczasu – dał nam Słowo, w którym zawarł odpowiedź na nasze dzisiejsze pytania. Jeszcze bardziej trzeba Mu dziękować za to, że je nam przypomina.

Właśnie tak! Gdyż przypomnienie Słowa jest „pracą”, której dokonuje w nas Duch Święty. Tę „pracę Ducha” w nas obiecał nam Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy. Zapowiedział nam wtedy: „On przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałem” (J 14, 26). Przypominanie (sobie) jest więc modlitwą *sensu stricto*, gdyż jest działaniem Ducha Świętego w nas – jest łaską, jest Bożą aktywnością, jest doświadczeniem Bożej miłości. Jest komunią z Bogiem w Jego działaniu.

Nasza pamięć jest świątynią Słowa i „przestrzenią” działania Ducha Świętego. Stąd: „Nie ma modlitwy bez pamięci”.

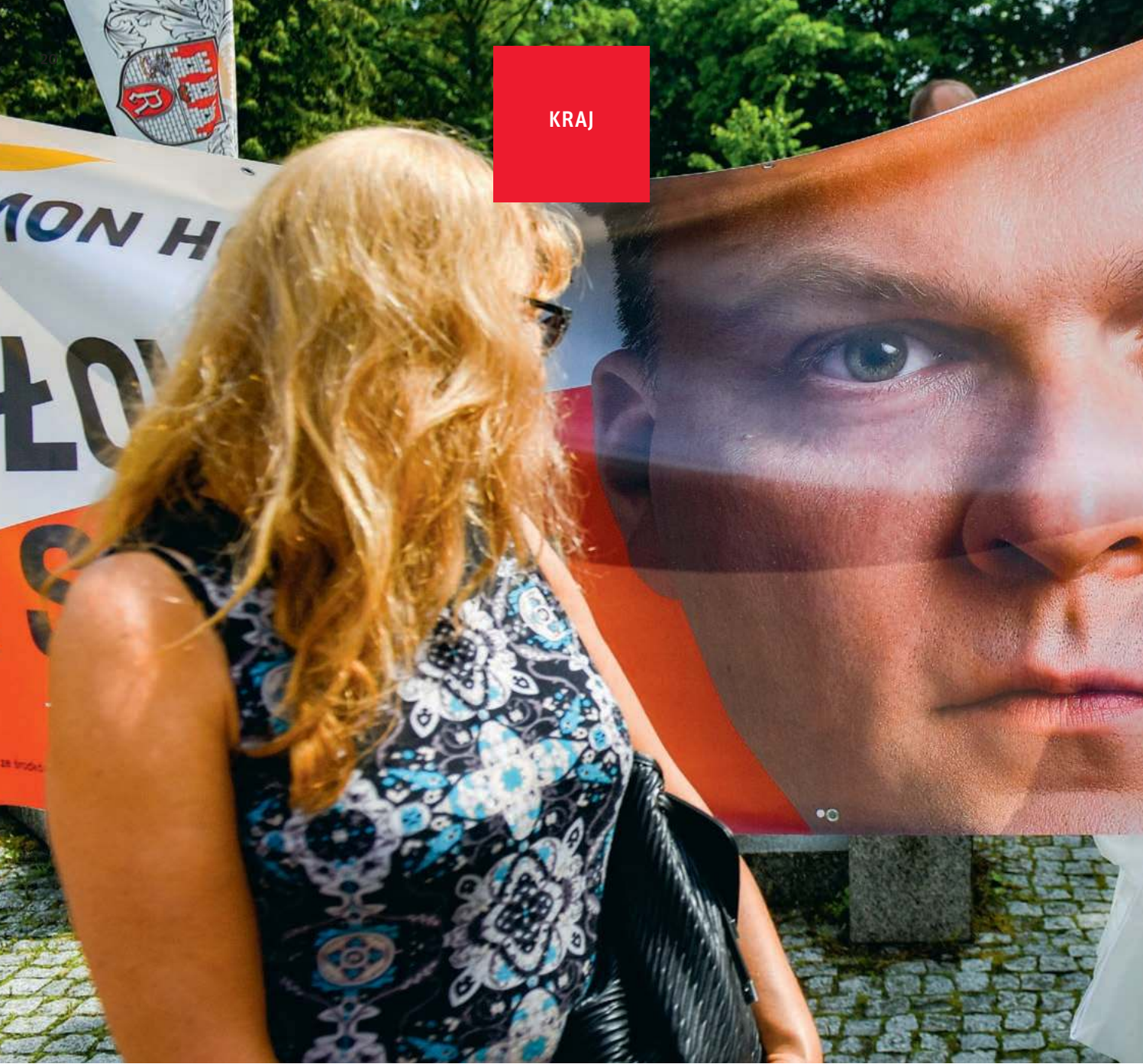
Kobiety u grobu „przypomniały sobie Jego [Jezusa] słowa” (Łk 24, 8). Zademonstrowały w ten sposób nie tyle brak „sklerozy”, co przepiękną uległość Duchowi Świętemu i jakoś modlitwy, która jest zdolna przeprowadzić nas przez największą trudność. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (10 – 17 X)

28. niedziela zwykła: Mdr 7, 7-11;
Ps 90; Hbr 4, 12-13; Mk 10, 17-30;
Poniedziałek: Rz 1, 1-7; Ps 98; Łk 11, 29-32;
Wtorek: Rz 1, 16-25; Ps 19; Łk 11, 37-41;
Środa: Rz 2, 1-11; Ps 62; Łk 11, 42-46;

Czwartek: Rz 3, 21-30a; Ps 130; Łk 11, 47-54;
Piątek: Rz 4, 1-8; Ps 32; Łk 12, 1-7;
Sobota: Rz 4, 13, 16-18; Ps 105; Łk 12, 8-12;
29. niedziela zwykła: Iz 53, 10-11;
Ps 33; Hbr 4, 14-16; Mk 10, 35-45.

Wybrał PIOTR SIKORA



KRAJ

SOLÓWKA WŚRÓD POPISÓW

Szymon Hołownia, sam będąc politykiem, nieustannie demaskuje i krytykuje sposób uprawiania polityki w Polsce. Tyle razy obiecywał jego zmianę, że wątpliwa staje się trafność tego postulatu.

DARIUSZ KOSIŃSKI

*Kampania prezydencka Szymona Hołowni.
Radom, 25 czerwca 2020 r.*



OMAR MARQUES / GETTY IMAGES

WGRUDNIU TEGO ROKU MINĄ DWA lata, odkąd Szymon Hołownia ogłosił w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” swoje wejście do polityki. Teraz, na początku września, odbył się pierwszy kongres założonego przez niego ruchu Polska 2050, będący próbą przedstawienia i ustanowienia charakteru oraz roli, jaką to ugrupowanie ma zająć na scenie politycznej. Te dwa spektakularne wydarzenia można uznać za graniczne punkty fazy, w której nowy polityczny aktor miał szansę stworzenia wyrazistej postaci wprowadzającej do teatru polskiej polityki własne ciągi dramatyczne. Światła kon-

gresowej sceny pogasły, przez miesiąc można było przyglądać się temu, czy związane na niej wątki zostaną splecione w ważne i skupiające uwagę fabuły, nową opowieść o Polsce. Wydaje się jednak, że nic takiego nie nastąpiło.

Po dwóch latach starań Szymon Hołownia nadal istnieje w widowisku polityki współczesnej nie jako bohater pierwszoplanowych akcji i głównych konfliktów, ale ktoś, kto uparcie wraca na scenę i próbuje ją zdobyć dla siebie, ale choć jego poszczególne występy budzą nawet ciekawość, to niestety, gdy najważniejsi, starzy antagoniści zabierają głos, o tej sympatycznej i wciąż wiele obiecującej figurze jakoś łatwo się zapomina.

Zdaje sobie sprawę, że Szymon Hołownia właśnie takiego – teatralno-spektakularnego – postrzegania i opisywania swojej działalności politycznej chciałby uniknąć, bo ciąży mu jego medialna i widowiskowa przeszłość. Na scenie publicznej dąży wbrew niej i wbrew swojemu dotychczasowemu emploi do zaistnienia jako polityk zajmujący się nie „graniem czegoś i w coś”, ale rozwiązywaniem „realnych problemów obywateli”. Obawiam się jednak, że właśnie jego polityczna historia zaprzecza temu podstawowemu dążeniu, a on sam stał się postacią, w której ujawniają się istotne nierozwiązywalne dylematy współczesnego życia zbiorowego.

Co tu mówić?

Kongres Polski 2050 nie przyniósł oczekiwanego sukcesu dokładnie w tym punkcie, który był dla jego organizatorów najważniejszy: nie doprowadził do jednoznacznego obsadzenia Szymona Hołowni i jego ruchu w mocnej, określonej roli, której rozgrywanie pozwoliłoby im na stałą obecność w najważniejszych momentach politycznego napięcia. Wprawdzie zdołali wypowiedzieć swoje, całkiem zręczne, samookreślenie – „zieloni demokraci” – ale po upływie prawie miesiąca wiadać jasno, że kongres nie przyczynił się do wzrostu ich mocy, zmiany miejsca na scenie, a tym bardziej – samej sceny.

Dwa jego najczęściej komentowane elementy to postulat przyznania prawa wyborczego szesnastolatkom oraz nieszczęsna „Jaśmina”. Pierwszy – co najmniej ryzykowny, bo ewentualne zyski w postaci głosów ludzi mających w tej chwili lat szesnaście, a za dwa lata już pełnoletnich i biorących udział w wyborach mogą nie zostać zrównoważone przez potencjalne zniechęcenie starszego elektoratu (zwrot ku „małolatom” łatwo odczytać jako wotum nieufności dla dojrzałych). Drugi – niestety dramatycznie fatalny, niemal modelowo „memogeniczny”. Wysyłane przed kongresem przez ludzi Polski 2050 sygnały kazały się spodziewać jakiegoś naprawdę wyjątkowego „gościa specjalnego”, co oczywiście budziło liczne plotki i oczekiwania, na czele z pojawiającym się najczęściej przekonaniem, że ruch pokaze kolejny, spektakularny transfer parlamentarny.

Zamiast tego „special guest star” ukazała się... aplikacja służąca nie bardzo wiadomo do czego, więc natychmiast uznana za narzędzie do gromadzenia danych użytkowników. Nadmuchany pogłoskami balon oczekiwań nie pękł, ale żałośnie sflaczał, sam zaś protagonista z ambicjami do odgrywania wiodących ról na wielkich scenach został sprowadzony do pozycji estradowego prestidigitatora, roli, której miał uniknąć nade wszystko.

Kongres Polski 2050 nie przyniósł więc spodziewanych dramatycznych rezultatów i nie stał się wydarzeniem. Wystarczy porównać zasięg i siłę jego medialnego zaistnienia choćby do takiej pozornie drobnej, lecz o wiele głośniejszej i dłużej komentowanej sprawy, jak udział czołowych polityków PO w urodzinach Roberta Mazurka. To oczywiście historia, która nie dotyczy bezpośrednio żadnego ważnego problemu z życia obywateli. Ale mocna reakcja Donalda Tuska natychmiast wytworzyła wciągającą fabułę, dzięki której mówiono o niej o wiele dłużej i częściej niż o Hołowni i jego Jaśminie. Lider PO stworzył kolejne atrakcyjne (także przez swoją prostotę) przedstawienie, na dodatek rozgrywając je jako serial (wezwanie na dywanik, zawieszenie, oczekiwanie na ostateczną decyzję, a nawet przełamanie napięcia esemesem od teściowej). ➔

→ Aż chciałoby się powiedzieć: tak się to robi, panie Szymonie...

Meta

Mozna oczywiście przedstawienie kongresowe ukazać w perspektywie pozytywnej i uznać, że Hołownia świadomie zszedł z pola oddziaływania sił rządzących sceną polityczną (nie tylko w Polsce) i podjął próbę ich zdemaskowania, jako skupionych na sobie i wytwarzanym przez nie widowisku, a nie na zagadnieniach i problemach rzeczywiście decydujących o przebiegu i jakości życia obywateli. Nie wydaje mi się, by taki meta-komunikat kongresowi towarzyszył, ale zasadniczo byłby on zgodny ze sposobem, w jaki Hołownia od dwóch lat buduje swoją pozycję. Musi zaistnieć na scenie politycznej, ale jednocześnie usiłuje się zdystansować od wszystkiego, co już jest na niej grane, nieustannie dowodząc, że ten polityczny „teatrzyk” tak naprawdę wcale go nie interesuje.

Od początku jest to pozycja bardzo trudna i niewygodna. W roku 2020 była ona uzasadniona dramatem, do którego Hołownia dołączał – wyborami prezydenckimi. Do udziału w nich – trzeba to przyznać – miał dobrze wymyśloną rolę i pozycję. Równie młody, fizycznie i medialnie reprezentujący niemal ten sam typ co Andrzej Duda, miał nad nim oczywistą przewagę nowości, doświadczenia medialnego i pozytywnie przyjmowanej przez wielu wyborców bezpartyjności. Na dodatek wykonał ogromną robotę objazdu po Polsce powiatowej i gminnej, by zdjąć z siebie gębę metropolitalnego celebryty. Niezależnie od tego, jakie miejsce przyznawały mu początkowe sondaże, gdyby nie decyzja PO o wymianie kandydata, Hołownia miałby wielkie szanse na wejście do drugiej tury i wygranie z Dudą.

Pojawienie się reprezentującego niemal to samo *emploi* Rafała Trzaskowskiego pozbawiło go tej szansy, a przegrana sprawiła, że został zmuszony do występowania w innym przedstawieniu niż to, do którego się przygotowywał. I znów dowiódł, jak pracowitym i zdolnym jest organizatorem: zdołał zagospodarować kapitał poparcia zgromadzony w wyborach (co Trzaskowskiemu zupełnie się nie udało). Ma więc w zasadzie wszystko, co może decydować o sukcesie polityka. Z wyjątkiem najważniejszego – wyrazistej tożsamości na zdefiniowanej już scenie.

Istnienie liczącej się
grupy społecznej,
która ma dość spektakularnej
nawalanki i chce rozmawiać
o sprawach poważnych,
**nie przekłada się
na konkretne polityczne
wybory Polaków.**

W jakiejś mierze ten zasadniczy problem wiąże się z przeszłością Szymona Hołowni, w której jest wiele, wzajemnie niespójnych lub – dla niektórych – wręcz sprzecznych scenariuszy i ról. Niedoszły psycholog i niedoszły dominikanin. Dziennikarz mediów liberalnych i szef religijnej telewizji. Autor popularnych książek katechetycznych, konsekwentnie łączący głęboką wiarę i rozległą wiedzę z konwencjami i elementami kultury masowej. Poważny publicysta i prezen-ter rozrywkowych programów telewizyjnych dla masowej widowni. Jednym słowem – człowiek przekraczający granice między sferami wciąż w polskim życiu odrębnymi, a nawet wrogimi. Intelktualista, celebryta i rekoлекcjonista – przekonujący w każdej z tych ról, ale, niestety, z osobna.

Doceniam sukcesy Szymona Hołowni w działaniach na rzecz zanegowania fałszywej opozycji między kulturą popularną a „wysoką”, w tym także religijną. Ale nie mogą one zmienić tego, że granica ta nadal istnieje i dla wielu ludzi jej przekraczanie jest problematyczne. Co gorsza, publiczności tych różnych scen nie są zbieżne.

Ta niezbieżność publiczności ujawniła się jako problem właśnie w momencie, gdy Hołownia postanowił wkroczyć na scenę polityczną, obserwowaną (przynajmniej pobieżnie) przez najszerze spektrum widzów. Dla części z nich jego kandydatura była niezrozumiała, bo co do polityki miał mieć telewizyjny celebryta, żyjący z tego, że wytwarza iluzję? U innych zaś zdziwienie budziła decyzja wejścia w polityczną grę, podjęta przez cie-szącego się jak najbardziej udaną karierą publicystę i intelektualistę, a więc kogoś profesjonalnie zajmującego się komentowaniem tej gry i jej skutków. U wszyst-

kich zaś pewien dysonans mógł się wiązać i wciąż chyba wiąże z faktem, że człowiek, który odniósł wielki sukces na scenie medialnej, prowadzi swoją kampanię polityczną, jednocześnie wykorzystując ją i dystansując się od niej.

Jedynym, co łączy te wszystkie niespójności, jest właśnie ta paradoksalna strategia metapolityczna, polegająca na tym, że Hołownia, sam będąc politykiem, niemal nieustannie demaskuje i krytykuje podstawowe uwarunkowania prowadzenia takiej działalności w Polsce. Choć deklaruje, że istotnie interesuje go rozwiązywanie problemów, to stałym tematem jego wystąpień, a zarazem cechą decydującą o ich stylu jest relacja do tego, co – w sposób często ukryty – decyduje o kształcie, tematyce i (nie)skuteczności polskiego życia politycznego. Występując w konwencjonalnej roli, zarazem się od niej dystansuje, wskazując na swoją pozasceniczną tożsamość oraz mechanizmy rządzące przedstawieniem. Robi to oczywiście, by zakwestionować owej sceny jedynność i doprowadzić do powołania zupełnie innej, na której on sam będzie wreszcie grał własną sztukę skomponowaną według jego zasad.

Będąc metapolitykiem obecnej doby, wskazuje jednocześnie na możliwą przyszłość. W kontekście wyborów prezydenckich, a zwłaszcza rozpaczliwie żadnej prezydentury Andrzeja Dudy była to strategia potencjalnie fortunna. W kontekście całości życia politycznego wymagającego planowania w dłuższej perspektywie i jednocześnie stałej obecności na wielu polach – o wiele trudniejsza. Przedłużająca się metagra traci atrakcyjność i zamienia w nużące niezdecydowanie. A co gorsza, obietnica przyszłej zmiany była formułowana już tyle razy, że coraz bardziej wątpliwa staje się trafność samego tego postulatu.

Inna polityka jest możliwa?

Podobnie jak wielu pojawiających się wcześniej i wciąż istniejących na scenie politycznej aktorów, Szymon Hołownia buduje podstawy swojej obecności na niej przez opozycję wobec spektakularnej wojny PO-PiS-owej i odwoływanie się do wiary, że „inna polityka jest możliwa”. To niedysiejsze hasło partii Razem przyświecało wszystkim, którzy próbowali zmieniać reguły gry w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Od prawa do lewa usiłowali oni przeciwstawić się zawiązanemu

w roku 2005 przez PO i PiS dramatowi, który w kwietniu roku 2010 nieodwołalnie urealnił się ciałami ofiar katastrofy smoleńskiej. Odwołanie takie wydaje się logiczne, a przeciwstawianie konfliktowi, który niszczy życie społeczne w Polsce, wręcz może się jawić jako podstawowy nakaz etyczny i polityczny. A jednak nikt z tych, którzy tak działali, nie odniósł sukcesu.

Szymon Hołownia jako kandydat na prezydenta w 2020 r. był go najbliższy. Ale ten moment potencjalnego tryumfu minął, przedłużające się zaś dystansowanie i obietnica innego teatru, na innej scenie, powoli przestają działać. Znowu okazuje się, że istnienie (pozornie oczywiste) liczącej się grupy społecznej, która ma dość spektakularnej nawałanki i chce rozmawiać o sprawach poważnych, nie przekłada się na konkretne polityczne wybory Polaków. Obserwując tę coraz mniej skuteczną próbę zaistnienia na obecnej scenie poprzez obietnicę sceny przyszłej, zaczynam się utwierdzać w przekonaniu, że hasło partii Razem było jednak oparte na złudzeniu.

Inna polityka nie jest teraz możliwa, bo chodzi o spektakl, którego długotrwałą atrakcyjność zapewnia ostry i angażujący konflikt. Zmiana prawa, przygotowywanie budżetów, rozwiązywanie problemów i kryzysów, długofalowe planowanie, regulowanie relacji między grupami społecznymi – należą do innej sfery, którą w uproszczeniu nazwiemy zarządzaniem. Zarządzanie ma oczywiście związek z polityką, bo kontrolowanie jego kierunków i celów wymaga zdobycia władzy. Jednak sama polityka jako działanie, którego cel i sens stanowi owa władza, to dziś spektakl dramatyczny rozgrywany na scenie medialnej według tych samych mechanizmów, które w naszej, globalnie rozlanej kulturze euroamerykańskiej zapewniają podtrzymanie napięcia i skupienie uwagi widzów.

Sercem tych mechanizmów (co kiedyś wiedział każdy aspirujący do popularności dramaturg, a dziś wie każdy początkujący scenarzysta filmowy) jest ostry konflikt wyrazistych postaci. Jeśli na czymś polega przechwalony geniusz polityczny Jarosława Kaczyńskiego, to właśnie na tym, że jako pierwszy to zrozumiał i rozwałił postsolidarnościową zgodę, inicjując dramat wojny na górze. Ale dopiero gdy dostał się w samo centrum politycznej sceny i jednocześnie

Po powrocie Donalda Tuska
jest jasne, że nadchodzi
dawno oczekiwany pojedynek
superbossów, kolejne,
być może ostatnie,
**starcie tytanów
na naszą miarę
uszytych.**

napotkał odpowiedniego kandydata na przeciwnika, spektakl polityczny mógł nabrać pełni mocy i skuteczności. Skuteczności tak wielkiej, że od szesnastu lat rządzi w Polsce koalicja o wdzięcznej i samo się demaskującej nazwie PO-PiS.

Obawiam się, że Szymon Hołownia też nie ma wielkich szans na przerwanie tej dominacji. Nie widać żadnych symptomów pozwalających domniemywać, że rozpisze nowy dramat, którego będzie dominującym bohaterem. Jedyne, co obiecuje i zapowiada, to zastąpienie polityki zarządzaniem – z obietnicą włączenia w procesy zarządcze obywateli.

Polacy jednak wcale nie mają ochoty angażować się w zarządzanie państwem. Mają za to na głowach sprawy dla nich o wiele ważniejsze, które postrzegają jako własne, od polityki niezależne. To zapewne błąd podtrzymywany we własnym interesie przez polityków odgrywających ludzi mocnej ręki i umacniających przekonanie, że im należy dać władzę, by samemu nie musieć się zajmować zarządzaniem (to strategia Zbigniewa Ziobry).

Ale zarazem jest to realne uwarunkowanie, którego nie da się zmienić szybko, bo nie udało się to w znaczącym stopniu przez dwadzieścia kilka lat rządów liberalnych, a rządy konserwatywne – jak widać – działają konsekwentnie na rzecz jego utrzymania. Polacy przywykli, że władza zajmuje się rządzeniem, Kościół zbawieniem, a ty, człowiecze, łba sobie tym nie zaprzataj i rób swoje. Trudno się więc spodziewać, że pojawi się jakaś nowa niespektakularna, obywatelska polityka. Trudno mieć też nadzieję, że obietnica politycznego zbawienia składana przez niedoszłego dominikanina zostanie spełniona.

Oczywiście na mesjanistycznej obietnicy też – jak wiadomo – zbudować

można silną wspólnotę. Tyle tylko że wymaga to jednak charyzmy i znacznej dozy irracjonalności. Pierwszej Hołowni wciąż brakuje, przed drugą ucieka. Konsekwentnie prezentując się jako sympatyczny chłopiec (nie mówię o wieku, ale o *emploi*), który proponuje realne, a więc z konieczności złożone rozwiązania, nie ma więc szans na porwanie tłumów obietnicą przyszłego zwycięstwa. Trudno się spodziewać głębokiego zaangażowania na przykład w przywrócenie kompromisu aborcyjnego, gdy już rok temu konflikt wokół aborcji został rozpisany na nowo według linii jednoznacznego pro- i anty-.

To samo dzieje się także na innych frontach, a po powrocie Donalda Tuska jest jasne, że nadchodzi dawno oczekiwany pojedynek superbossów, kolejne, być może ostatnie, starcie tytanów na naszą miarę uszytych. Prymus, który wchodzi na ten ring i proponuje, by pogadać na poważnie o szachach, naraża się jedynie na kuksańca od zwolenników rodeo bądź gały.

Obawiam się, że nawet jeśli po tej decydującej batalii nastąpi w polskiej polityce jakaś zasadnicza zmiana (tylko skrajni cynicy na nią nie czekają), to dla Szymona Hołowni będzie za późno. Będzie już zbyt opatrzone, zbyt mocno kojarzony z wieloznacznością i wielotożsamością, by odegrać rzeczywiście znaczącą rolę, godną jego ambicji i niekłamanych talentów. Być może wchłonie go większa partia (jak PO wchłonęła grającą w nieco podobną grę Nowoczesną – oby tylko nie skończył jak jej lider...). Być może pozostanie siłą odrębną i Monika Olejnik będzie go regularnie zapraszała jako ciekawego komentatora.

Ale najbardziej prawdopodobne wydaje mi się, że stanie się kimś w rodzaju elitarniej i eleganckiej wersji Pawła Kukiza, który przecież też wszedł mocno na scenę polskiej polityki z tą samą metagrą i tą samą obietnicą przyszłej sceny alternatywnej. Oczywiście różni obu mocna opozycja plebejskości i wielkomiejskości (Hołownia to wręcz uosobienie tego „Monte Carlo”, którego Kukiz szczerze nienawidzi), ale obawiam się, że za kilka lat lider Polski 2050 może stać się wersją tej samej antysystemowości żyjącej jednak z systemu, tyle że z kulturalnego miasta dla słusznie myślących pań i panów.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Co się dzieje na granicy

MARYSIA ŻŁONKIEWICZ,
AKTYWISTKA GRUPY GRANICA:

Niektórzy migranci i uchodźcy są wyrzucani przez Straż Graniczną jeszcze po stronie polskiej, w jakimś trudno dostępnym miejscu. Po to, żeby ich zniechęcić.



AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

Wolontariusze z Grupy Granica podczas działań w okolicy wsi Łosośna, 21 września 2021 r.

MARCIN ŻYŁA: Kim jesteście?

MARYSIA ŻŁONKIEWICZ: Grupą organizacji i aktywistów pracujących na rzecz uchodźców i migrantów. Kiedy okazało się, że na granicy z Białorusią są ludzie potrzebujący pomocy, szybko tu przyjechaliśmy. Potem dołączyli inni. Działamy pod szyldem „Grupa Granica”.

Co dokładnie robicie?

Codziennie otrzymujemy kilkanaście próśb o pomoc od ludzi, którzy utknęli w lesie. Jeździmy do nich z jedzeniem i ciepłą odzieżą. Pytamy, czy chcą się starać o ochronę w Polsce, proponujemy prawnika.

Obserwujemy też działania Straży Granicznej, w tym nielegalne zawracanie ludzi do granicy. Rozmawiamy z mieszkańcami. Jest również grupa, która wspiera nas w działaniach medialnych, zbiorcach na rzecz uchodźców, pomaga osobom znajdującym się w ośrodkach dla cudzoziemców.

Jak dowiadują się o Was ludzie, którzy przekraczają granicę?

Część uchodźców lub ich rodzin pisze do nas za pośrednictwem mediów społecznościowych. Uruchomiliśmy numer alarmowy, który przekazują między sobą. Po wyrzuceniu do Białorusi spotykają się kilkaset metrów od granicy, na obrzeżach dawnej sowieckiej „systemy”, gdzie również dzielą się kontaktem do nas. Tam nocują i czekają na kolejną

próbę przekroczenia granicy. Ale jest to też miejsce, w którym są przetrzymywani, bo ogrodzonego z dwóch stron terenu pilnuje białoruskie wojsko.

O co proszą?

Najpierw często piszą tylko: „please, help”. Bywa, że trudno się zorientować, czego potrzebują, bo są tak wycieńczeni, że nie potrafią wymienić potrzebnych rzeczy. Proszą oczywiście o jedzenie. Po stronie białoruskiej dostają od służb po dwie kromki chleba na dobę. Polska Straż Graniczna dotychczas przetrzucała ich z powrotem, najczęściej nie dając ani jedzenia, ani picia. Lepiej traktowała tylko rodziny z dziećmi.

Teraz się to zmienia?

Odnoszę wrażenie, że Straż Graniczna stara się już działać według procedur, które za kilka dni zalegalizuje nowelizacja ustawy o cudzoziemcach – zatrzymanych przywozi się do jednostki, wydaje posiłek, sprawdza stan zdrowia, po czym wywozi. Sytuacja zmienia się szybko. Jeszcze do niedawna uchodźcy i migranci mówili nam, że na samej granicy Białorusini traktują ich lepiej niż służby polskie.

W jakim sensie lepiej?

Mówili, że tak jak Polacy bili ich, szczuli psami i grozili bronią, ale przynajmniej dawali jeść. W każdym razie – dopóki nie mówiło się im, że chce się wrócić do Mińska.

Byliście świadkami bicia ludzi przez polskich funkcjonariuszy?

Nie. Mamy jednak świadectwa wielu uchodźców, pochodzących z różnych krajów, filmy z ich telefonów komórkowych, zdjęcia siniaków na ich ciałach. Gdy mówią o przemocy, zawsze dopytujemy, czy sprawcami były polskie, czy białoruskie służby.

Są tego świadomi?

Tak. Wiedzą, po której stronie granicznego drutu żyletkowego się znajdują.

A są świadomi tego, jak wykorzystuje ich Alaksandr Łukaszenka?

Niektórzy tak, niektórzy nie. Na pewno wszyscy wiedzą o tym już na miejscu – gdy okazuje się, że nie wolno im wrócić do Mińska, a w strefie nadgranicznej są uwięzieni. Te koczowiska to straszne miejsca. Niemal nie ma jedzenia, wody. Niektórzy ludzie leżą na ziemi w deszczu i nie mają siły się ruszać. Ci, którzy nie chcą już przekraczać granicy, są brutalnie bici. Znajdują się w potrzasku. Jeden z uchodźców powiedział nam, że to obozy jak z filmów o zombi.

Zanim dotrą do Białorusi, nie wiedzą tego wszystkiego?

Ci, którzy przybywają w ostatnich dniach, coraz częściej wiedzą. Raz znaleźliśmy w lesie porzucone rzeczy, których właściciel musiał się dobrze przygoto-

wać do podróży – były tam np. kupione w Turcji lekarstwa przeciwgorączkowe i ciepłe ubrania. Ludzie piszą na Facebooku, jak wygląda sytuacja i że trzeba się przygotować na spędzenie wielu dni w lesie.

Natomiast zdecydowana większość tych, których spotykamy na granicy, utknęła na niej kilka tygodni temu, i moim zdaniem tej wiedzy nie posiadała. Oni myśleli, że po przekroczeniu granicy poproszą w Polsce o ochronę. Nie byli przygotowani na warunki, w jakich się znaleźli.

Staracie się zniechęcić do podróży kolejne osoby?

Opisujemy sytuację na grupach na Facebooku. Ale nie czuję, żeby moja rolą było zniechęcanie do wyjazdu. Nie mogę wysyłać ludziom takiego SMS-a, jak polski rząd – „go back to Minsk” – ponieważ uważam, że człowiek musi sam ocenić, w jakiej jest sytuacji życiowej. Część z tych ludzi była bardzo zagrożona w miejscach swojego zamieszkania.

No dobrze, ale tutaj, na granicy, skoro już wiedzą, jak źle wygląda sytuacja...

Wiedzą, ale wciąż niewiele. Na przykład czytają, że trzeba się przygotować na spędzenie dwóch tygodni w lesie, ale często nie zdają sobie sprawy z tego, co to w Polsce oznacza.

Tym bardziej wydaje mi się, że informowanie o warunkach przekłada się na odpowiedzialność za zdrowie i życie tych, którzy wyjazd dopiero planują. Czy rolę organizacji pozarządowych nie powinno być aktywne zniechęcanie ludzi do podróży?

Nie chcę nikogo zniechęcać, bo nie wiem, w jakiej ktoś jest sytuacji oraz przed jakim zagrożeniem ucieka. Mogę natomiast przedstawić te warunki – nie tylko pisząc o tym, że u nas w lesie jest zimno, ale też tłumacząc, co to właściwie znaczy.

Część z tych osób przyjeżdża z miejsc, w których nic im nie grozi.

Część z tych osób została totalnie oszukana. Niektórym mówiono, że mogą tu przyjechać i odwiedzić rodzinę w Niemczech. Rozmawialiśmy z bratem pewnego chłopaka, Kurda, który

przyleciał tu w celach turystycznych. Po prostu chciał zobaczyć państwo europejskie, myślał, że pojeździ sobie po Białorusi i wróci. Ale służby zapakowały go do autokaru, przewiozły na granicę i próbowały go przerzucić do Polski. Oni zostali oszukani.

I dali się oszukać. Gdyby rząd Korei Północnej skusił mnie ofertą turystyczną, a potem uwięził, mógłbym mieć pretensje tylko do siebie.

Myślę, że ten człowiek mógł o tym nie wiedzieć. Oficjalnie loty z Bliskiego Wschodu do Białorusi były przedstawiane jako turystyczne. Mógł też nie dotrzeć do informacji od ludzi, którzy piszą o tym, co się dzieje na granicy z Polską. Dużo częściej reklamują się oszuści piszący: „wpląć mi pieniądze teraz w Iraku, ja wszystko zorganizuję i znajdziesz się w Szwecji”. I niektórzy wplacają.

Nawet jeśli nie mają kontaktu z nikim, kto w ten sposób do Szwecji dotarł?

W mediach społecznościowych można takie świadectwo sfałszować. Sama czytałam arabskojęzyczne posty: „Alhamdu lillah, dzisiaj przewiozłem trzy osoby do Niemiec”. Kto to sprawdzi?

Może jednak ktoś powinien? Polski rząd obrzydliwie dehumanizuje uchodźców i migrantów, tak jak np. na słynnej konferencji prasowej, ale z drugiej strony całkowite przerzucenie odpowiedzialności na mechanizm i mówienie, że to oni są oszukiwani, też pachnie odbieraniem ludziom podmiotowości.

Powtórzę: jestem za tym, żeby ludzie mogli świadomie podejmować decyzje i ponosić za to odpowiedzialność, ale część z nich nie ma pełnej informacji. Do-

chodzą jeszcze kwestie zrozumienia międzykulturowego, rozmów przez translatora itd.

Film, na którym widzę, jak służby szczują psami, skutecznie by mnie zniechęcił.

Ale mógłbyś też pomyśleć: „W moim kraju służby też szczują psami, a przy głupim zatrzymaniu za przekroczenie prędkości mierzyli do mnie ostatnio z karabinu”. Wczoraj rozmawiałam z mężczyzną z Gwinei, który mówił, że polscy funkcjonariusze celowali do niego z broni. Zapytałam, czy strzelali. Kongijka, która mu towarzyszyła, zaśmiała się: „Nie, oni tylko tak grożą”. Myślę, że człowiek, do którego po raz pierwszy mierzy się z karabinu, odpowiada inaczej niż oni.

Co się dzieje z zatrzymanymi przez Straż Graniczną?

Najpierw trafiają do tzw. punktów rejestracji cudzoziemców – te instytucje nie są w ogóle ujęte w polskim prawie. Są przetrzymywani w jednostkach wojskowych, na świetlicach i w jadalniach. Ale nie tylko. Wysyłają nam np. pinezkę w Google Maps z lokalizacją komendy policji, zaraz potem zdjęcie z widokiem z okna, a kiedy przyjeżdża tam nasz prawnik, dowiaduje się, że „nie ma ich tu, bo uchodźcami zajmuje się tylko Straż Graniczna”.

Większość z nich jest następnie wyrzucana za granicę białoruską, ale niektórzy jeszcze po stronie polskiej, w jakimś trudno dostępnym miejscu. Tak było z grupą, która została pozostawiona w rezerwacie bagien w Puszczy Białowieskiej.

Uważasz, że celowo zostawia się ich w trudniejszym terenie?

Tak, żeby zniechęcić. Choć większość z zatrzymanych jest odwożona na granicę i w obecności funkcjonariuszy musi przejść na drugą stronę. Najmniej liczna część jest przewożona do ośrodków. Niektórzy trafiają do szpitala, a stamtąd zwykle do ośrodka.

To straszne, że te osoby muszą być w stanie takiego zagrożenia życia, żeby ich zabrała karetka – dopiero wtedy mogą przystąpić do procedury azylowej w Polsce. A wcześniej, kiedy są w lepszym stanie zdrowia, działania państwa świadomie to zdrowie pogarszają przez wielokrotne przerzucanie ich przez granicę. ➔



ARCHIWUM PRYWATNE

MARYSIA ZŁONKIEWICZ jest aktywistką Grupy Granica od wielu tygodni działającej na pograniczu białoruskim.

Batkanistka i kulturoznawczyni, współtwórczyni strony uchodzczy.info.

→ Jak wyglądają rozmowy z dyspozytorami numeru 112?

Najczęściej dyspozytor niezbyt nam wierzy w to, co mówimy. I przerzuca odpowiedzialność na Straż Graniczną. 28 września się udało – karetka pojechała po tych ludzi pod Włodawą. Z bagien wyłowiono cztery osoby.

Działacie w strefie stanu wyjątkowego?

Staramy się nie działać. Jesteśmy w kontakcie z mieszkańcami, którzy mieszkają na tym obszarze.

Ile osób może przechodzić przez ten kordon i podróżować dalej?

Codziennie otrzymujemy informacje od kilkunastu-kilkudziesięciu osób, które są już poza strefą stanu wyjątkowego i proszą o pomoc.

Przyjeżdżacie do nich. A potem co się dzieje?

To zależy, w jakim są zdrowiu i czy na miejscu jest Straż Graniczna. Na początku informowaliśmy Straż Graniczną. Wydawało się nam, że gdy będziemy mieć podpisane przez tych ludzi pełnomocnictwa, spisane i nagrane ich historie, kiedy obok będą dziennikarze, nie zostaną oni wyrzuceni na granicę. Byliśmy naiwni, wierzyliśmy, że w Polsce przestrzega się prawa.

Potem jednak stwierdziliśmy, że skoro Straż Graniczna odwozi ludzi na granicę, uniemożliwiając im złożenie wniosków o azyl, to nie możemy jej informować i narażać tym samym uchodźców i migrantów na pogorszenie stanu ich zdrowia, a może nawet na utratę życia. Prawnie nie mamy takiego obowiązku.

Teraz, jeśli jest zagrożenie życia, dzwoniśmy po karetkę, która informuje Straż Graniczną. Ale kiedy dojdą do siebie, Straż wyrejestrowuje te osoby ze szpitala i wiemy, że wywozi na granicę.

Ludzi cofa się o jakiejś określonej porze?

Dotychczas najczęściej wieczorem lub w nocy. Teraz w strefie stanu wyjątkowego świadków już nie ma, więc coraz częściej dzieje się to w dzień. Wielu strażników granicznych poszło ostatnio na L4, żeby nie brać w tym wszystkim udziału.

©P Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

Spokojnie, to tylko kryzys

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Gdyby polską demografię mierzyć danymi z ostatniego roku, używane chętnie do jej opisu słowo „katastrofa” mogłoby się okazać zbyt łagodne.

NIE INACZEJ BYŁOBY Z INNYMI UWIELBIANymi przez część dziennikarzy, a znienawidzonymi przez demografów określeniami: „demograficznym tsunami” czy – użytym ostatnio przez popularny portal – „demograficznym zderzeniem z ziemią”. Używane chętnie od dawna, ostatnio padają jeszcze częściej. A to za sprawą danych z 12 ostatnich miesięcy. Tyleż alarmistycznych, co zwodniczych.

Depopulacja

Od sierpnia 2020 do lipca 2021 r. urodziło się w Polsce niecałe 340 tys. dzieci, zmarło zaś niemal 540 tys. osób. Owa 200-tysięczna, porównywalna z liczbą mieszkańców Torunia czy Rzeszowa wyrwa, jakiej nie notowaliśmy od wojny, to efekt dramatycznej epidemicznej nadwyżki zgonów oraz – również związanego z koronawirusem – spadku urodzeń. A i tak to drugie ze zjawisk miało szansę odcisnąć się na statystykach ledwie od stycznia, wszak to pierwszy punkt na osi czasu, do którego zdążyło minąć od początku pandemii dziewięć miesięcy. I rzeczywiście: w pierwszym półroczu A.D. 2021 urodziło się o kilkanaście tysięcy dzieci mniej niż w analogicznym okresie roku 2020.

– Ludzie działają racjonalnie – tłumaczy prof. Piotr Szukalski, demograf z Instytutu Socjologii UŁ. – Jeśli trwa kryzys zdrowotny, niepewność ekonomiczna, jeśli czujemy fizyczne wręcz zagrożenie, a w dodatku pojawiają się prawne ograniczenia, jak restrykcje dotyczące zawierania małżeństw, to wstrzymanie się od ważnych życiowych decyzji można uznać za racjonalne.

Na szczęście owe 12 miesięcy to okres nieporównywalny z żadnym innym. Po pierwsze dlatego, że objął dwie najbardziej śmiertelne fale COVID-19. Po drugie, bo niósł ze sobą dość powszechny nastrój bezradności.

Dziś są szczepienia, a wahadło nastrojów się przechyliło. Co może i spędza sen z powiek epidemiologom, lecz decyzjom prokreacyjnym może sprzyjać.

Kompensacja

Demografowie przewidują nawet tzw. kompensację, czyli odbicie od negatywnej tendencji. Czymś takim – zachowując proporcje – był powojenny wyz: będące pokłosiem kryzysu odkładanie decyzji o posiadaniu dzieci dało spektakularny efekt niedługo później.

– Musimy jednak pamiętać, że taka kompensacja nie następuje od razu po ustaniu kryzysu, i że nigdy nie jest stu-procentowa – zastrzega prof. Szukalski. – Większość osób zrealizuje swoją decyzję z opóźnieniem, ale nie wszyscy: nie robi tego małżeństwo, które nie przetrwało próby trudnego czasu. Ani 40-letnia kobieta, której po upływie dwóch kolejnych lat jeszcze trudniej będzie zająć w ciążę.

Bez wątpliwości więc koronawirus – *per saldo* – odbija się niekorzystnie na demografii, choć nie tak bardzo, jak sugerują dane za ostatni rok. Ta negatywna, epidemiczna presja nałoży się na zjawiska istniejące od dawna – np. niską dzietność. Tu na poprawę nie ma co liczyć, choćby rząd robił kolejne prorodzinne szpagaty (jak następny element Polskiego Ładu, czyli zapowiedź zwolnienia z podatku małżeństw z minimum czwórką dzieci). W najbliższych latach po prostu nie będzie komu rodzić, bo wyjątkowo liczne roczniki kobiet urodzonych na przełomie lat 70. i 80. przekraczają właśnie czterdziestkę.

Te wszystkie informacje to oczywiście nie żadne „tsunami” – choćby dlatego, że do zmian demograficznych możemy się od dawna przygotowywać. Ale o bezchmurnym niebie i flaucie też nie może być mowy.

©P



Tajemnica rąk

TEKST ANNA GOC | ILUSTRACJE MAGDA WOLNA DLA „TP”

„Rodzice chcieli, żebym nauczyła się mówić i była jak oni. Czułam się jak rodzinny pies. Wszyscy dookoła byli słyszący. Siedziałam więc przy stole i patrzyłam” – mówi głucha od urodzenia kobieta.

MOŻNA ZACZĄĆ OD WYOBRAŹNI. Jak to musi być, gdy ludzie wokół otwierają i zamykają usta, a z tych ust wydobywa się jakaś tajemnica.

Nie zwraca się zresztą na te czyjeś usta specjalnej uwagi, chyba tylko wtedy, gdy za bardzo zbliżają się do naszej twarzy. Są na wysokości oczu, poruszają się, czasami uśmiechają. Odpowiada się wtedy uśmiechem, tyle da się zrobić. Poza tym zwykle stoi się i patrzy.

Patrzy się na tych, których usta poruszają się obok codziennie. Po pewnym czasie zauważa się, że usta czasami poruszają się tak samo, a wtedy dzieje się też to samo. Na przykład dostaje się zupę (słowo „zupa” nie jest znane) albo idzie się spać

(słowo „spać” nie jest znane). Niektórym ruchom ust towarzyszą ruchy ciała. Lubi się je bardziej, bo łatwo je naśladować: machanie ręką, wskazywanie palcem, łapanie się za głowę.

Patrzy się też na nowych ludzi, których usta poruszają się jakoś mniej wyraźnie. Raz wolniej, raz szybciej. Raz szerzej, raz spod wąsa. Nie przepada się za nimi i w związku z tym nie zwraca się na nie szczególnej uwagi.

Do pewnego czasu.

Pojawiają się nowe budynki (słowa „przedszkole” i „szkoła” nie są znane) i nowi ludzie (słowa „nauczyciel” i „logopeda” nie są znane). Ci nowi ludzie robią wszystko, by być ze swoimi ustami jak

najbliżej nas. Coraz trudniej je ignorować. Po jakimś czasie zaczyna się rozumieć, że ignorowanie ich nie jest w naszym interesie, więc się patrzy, nawet wtedy gdy usta widzi się z boku albo nie widzi się ich wcale, bo ich właściciel stoi do nas tyłem.

Patrzy się też na usta innych dzieci. Ze zdumieniem przyjmuje się fakt, że dzieci i dorosłych łączy ta sama tajemnica ust.

Od tego patrzenia robi się jakoś niedobrze, więc woli się patrzeć, ale w inną stronę. Tam, gdzie nie ma żadnych ust.

I tak to trwa, nawet przez pierwszych kilka lat.

MOŻNA PODAĆ DANE. Z badań wynika, że głuche dzieci są w stanie odczytać około 20 proc. komunikatu z ruchu ust. Muszą jednak znać słowa, które odczytują. Jeśli znają tylko niektóre, znaczenia reszty zdania próbują się domyślać. Do rzadkości należą osoby, które odczytują z ruchu ust pełny komunikat. Osoby głuche przyznają, że nigdzie nie czuły się tak samotne, jak wśród słyszących.

– Moi rodzice – zaczyna Anna, głucha od urodzenia – bardzo chcieli, żebym nauczyła się mówić i była jak oni. Czułam się wtedy jak rodzinny pies. Zabierali mnie ze sobą, gdy jechali w odwiedziny, ➔

→ i sadzali przy stole. Wszyscy dookoła byli słyszący. Siedziałam więc i patrzyłam. Nie rozumiałam, o czym rozmawiają. Błagałam, żeby pozwolili mi zostać w domu. Ale nigdy się nie zgadzali.

Anna trafia do szkoły dla słyszących. Tam przepisuje wszystko z tablicy albo z książki do zeszytu, jak szlaczki. A po szkole spotyka się z korepetytorami (język polski – cztery godziny tygodniowo, matematyka – dwie, geografia – dwie, biologia – dwie, i tak dalej). Dzięki temu ma odrobione lekcje, których potem uczy się na pamięć. Nie ma żadnych koleżanek, bo nie potrafi się z nimi porozumieć. – Dzieci śmiały się z mojej głuchoty – pisze.

MOŻNA WRÓCIĆ DO WYOBRAŹNI. Po jakimś czasie takiego patrzenia w inną stronę zaczyna się coś dziać. Ludzi siedzących blisko naszej twarzy jest coraz więcej, a rodzice zaczynają być smutni bardziej niż wcześniej. Teraz swoim smutkiem przypominają nawet trochę nas. Ewidentnie sprawdzili i wyszło, że to coś jest nie tak. A ponieważ sprawdzali blisko nas, może się okazać, że to coś nie tak z nami. Przechowywaliśmy to od dawna, więc nie jesteśmy aż tak znowu bardzo zdziwieni. (Słowa „pedagog”, „logopeda”, „psycholog” nie są dalej znane, przynajmniej z nazwy).

Wsiada się z rodzicami do samochodu albo pociągu i jedzie nową drogą do nowego budynku (słowo „szkoła” chyba dalej nie jest znane, ale widziało się już taki szlaczek, a słowa „internat” na razie się nie zna i jeszcze się nie wie, czy chce się je znać kiedykolwiek).

W zależności od tego, jak długo się jedzie, dzień może potoczyć się na dwa sposoby. Jeśli krótko, jest szansa, że samochód rodziców pojawi się za oknem nowego budynku po południu, a wtedy wróci się na noc do własnego łóżka. Jeśli jedzie się dłużej, może się okazać, że ma się nowe łóżko, a obok tego łóżka stoją łóżka innych dzieci, które się widzi po raz pierwszy, ale odtąd będzie się je widywało codziennie, nawet przez kolejnych kilkanaście lat.

Jeśli chodzi o dzieci, to są one inne od tych, które spotykało się do tej pory. Inność ta polega na tym, że są trochę bardziej podobne do nas.

Po pierwsze, nie są często używają własnych ust. A po drugie, nie są skoncentrowane przesadnie na ustach ludzi dookoła.

Jeśli chodzi o dzieci,
to są one inne od tych,
które spotykało się do tej pory.

**Inność ta polega na tym,
że są trochę bardziej
podobne do nas.**

Zaczyna się je przez to trochę bardziej lubić niż te dzieci, które łączyła z dorosłymi jakaś tajemnica ust.

W nowym miejscu są też starsze dzieci, które – co przyjmuje się z ulgą – nie używają własnych ust, a i na usta innych nie zwracają specjalnej uwagi. Te starsze dzieci poruszają za to rękami. Gdy jedno porusza, inne patrzą na jego ręce, a potem odpowiadają też rękami. Jest więc ewidentnie jakaś tajemnica rąk.

Wyciąga się szybko wnioski: poruszanie rękami musi coś znaczyć. I drugi, ważniejszy: ja też mogę poruszać i wtedy inni będą poruszać swoimi rękami do mnie.

Używa się więc rąk coraz częściej i dzięki temu sporo rzeczy zaczyna się wyjaśniać. Że na przykład to miejsce, w którym się jest, to jest „szkoła”, a ci na środku klasy to „nauczyciele”, itd. A to poruszanie rękami to jest „język”. Można się też zorientować, że poruszanie ustami to też język, tylko inny.

Problem jest jeden, który raczej nie może nam przyjść do głowy sam z siebie. Otóż: im bardziej porusza się rękami, im bardziej zdaje się sprawę z tego, że poruszanie rękami zmienia wszystko wokół, im bardziej wchodzi się z innymi ludźmi poruszającymi rękami w jakąś tajemnicę, tym mniej zwraca się uwagę na usta.

Anna: – Nie wiem, czy mnie pani zrozumie, ale ja byłam szczęśliwa w szkole dla głuchych. Bo zobaczyłam ludzi takich jak ja, z którymi mogłam rozmawiać. Moi rodzice stwierdzili jednak, że odkąd tam jestem, mniej pracuję nad głosem. Dla tego przenieśli mnie do szkoły dla słyszących, a ja próbowałam wyskoczyć przez okno.

PRZY OKAZJI można spróbować wyobrazić sobie jeszcze coś. Chodzi o głos. Własny głos. Choć gdy się go nie słyszy, trochę trudniej uznać go za własny.

Przez wiele lat różne osoby robią bardzo dużo, by wydobyć z nas głos. Z naszym głosem jest coś grubo nie tak, bo ludzie-nieekspersi krzywią się, gdy próbujemy go używać, a ludzie-ekspersi twarzą ciepłą od troski zachęcają, żebyśmy go wydobywali dalej (zwykle). Biorą na przykład naszą rękę i przykładają ją sobie do klatki piersiowej, blisko gardła. Drugą ręką pokazują na swoje usta, które zmieniają w sposób dość widoczny kształt. Na początku nie za bardzo wiadomo, o co chodzi z tym kształtem ust i drżeniem skóry na klatce (słowo „głoska” nie jest znane). Potem kładą naszą dłoń na naszej klatce piersiowej i pokazują palcem na nasze usta. Orientujemy się, że mamy zrobić to samo. Często odbywa się to przed lustrem, więc najpierw układa się usta w zapamiętany kształt (to jest łatwe), ale, o dziwo, klatka nie chce drżeć. Próbuje się więc znowu i znowu, i znowu. Dopiero gdy uda się coś tak zakombinować z powietrzem, że klatka zaczyna lekko drżeć, obserwuje się uśmiech na twarzy osoby siedzącej naprzeciw. A jej usta układają się w słowo „pięknie”, które się odczytuje, albo i nie, w zależności o tego, czy się je zna czy nie. Tyle z wydobywania głosu jest dla nas.

Zwykle mówi się, że osoby głuche, które „pięknie mówią”, są „dobrze wyrehabilitowane”. Co wcale nie musi oznaczać, że potrafią dobrze komunikować się z otoczeniem.

Prof. Marek Świdziński, językoznawca, prekursor badań nad polskim językiem migowym: – Oralizm, XIX-wieczna, uznana przez wielu badaczy za nieskuteczną metodą nauczania głuchych języka fonicznego, jest czymś skrajnie nienaturalnym i niezgodnym z potrzebami człowieka.

MOŻE BYĆ INACZEJ. Odkąd się pamięta, wszyscy w domu migają do siebie. Zna się dużo słów, na przykład słowa „nauczyciel” i „szkoła”. Migają rodzice, rodzeństwo, czasami dziadkowie, a nawet ciocie, wujowie i kuzynki. Przez chwilę wydaje się, że wszyscy na świecie migają.

Sporo się wyjaśnia pierwszego dnia w szkole albo jeszcze wcześniej w przedszkolu.

Stoi się wtedy przed osobą, która porusza ustami zamiast rękami. W ogóle się nie wie, o co jej chodzi, więc miga się do niej na początku uparcie. Osoba dalej mówi. Miga się więc jeszcze bardziej

uparcie. Osoba mówi. Płacze się i miga dalej, a płacze dlatego, że od samego początku chodzi o to, że potrzebna jest szybko toaleta.

Potem się okazuje, że większość z nauczycieli nie miga albo miga jakoś tak inaczej. Z tego migania jakoś tak inaczej rozumie się niektóre słowa, czasem bardzo dużo słów, ale nie do końca się wie, o co chodzi.

Miga się o tym wszystkim w domu mamie, już spokojniej. Mama przychodzi do szkoły, miga do tej samej pani, do której my próbowaliśmy, ale pani dalej mówi, więc mama się denerwuje trochę bardziej niż my.

OPINIE. Głusi rodzice głuchych dzieci alarmują, że bardzo często nie są w stanie porozumieć się ani z wychowawcami, ani z dyrekcją szkoły dla głuchych dzieci. Na polski język migowy nie są tłumaczone wywiady ani komunikaty dotyczące ich dzieci.

Głuche dzieci z głuchych rodzin są dziś w szkołach dla głuchych mniejszością. To one, często jako jedyne, przychodzą do szkoły ze znajomością polskiego języka migowego, ale bez znajomości języka polskiego. W większości szkół dla głuchych lekcje są prowadzone w języku polskim. W tym języku dzieci zdają egzaminy. Ale nie uczą się języka polskiego jako obcego, co wydawałoby się oczywiste, skoro zaczynają edukację bez znajomości tego języka.

Co więcej: głuche dzieci z głuchych rodzin nie rozumieją, co się dzieje na lekcjach, które są prowadzone wyłącznie po polsku. Są więc wykluczane z dostępu do edukacji.

WRACAJĄC DO WYOBRAŹNI. Dzień po porodzie nasze dziecko leży z czymś, co przypomina pilota do telewizora. A potem przychodzi lekarz i mówi, że syn nie słyszy.

Wraca się do domu, odpala komputer i wpisuje w wyszukiwarkę zdanie „moje dziecko jest głuche”. Najpierw trafia się na strony, na których piszą, że wszystko, co czujemy, jest normalne. Złość. Normalne. Strach. Normalne. Rozpacz. Normalne. Można płakać, krzyczeć i znów płakać. Normalne. Można poczuć stratę dziecka. Normalne. A nawet przeżyć żalobę (normalne), choć nie wiadomo, jak sobie z tą żalobą poradzić, bo przecież nasze dziecko żyje.



Potem przegląda się strony ze skomplikowanym słownictwem. Zapamiętuje się: „każdy tydzień się liczy”, „im wcześniej dziecko otrzyma implant, tym ma większą szansę, że będzie słyszało i mówiło” (czyli było jak słyszące – tak to się mniej więcej czyta). „Złoty okres dla nauki języka kończy się, gdy dziecko ma dwa lata”, na innej stronie: „gdy ma pięć lat”, jeszcze na innej: „siedem lat”. Na ostatniej: „głuche dziecko nie będzie rozwijało się językowo jak słyszące”, gdzie indziej: „głuche dziecko może się rozwijać jak słyszące, wszystko zależy od tego, do jakich ekspertów trafi”.

„Wszczepienie implantu, terminy” albo „wszczepienie implantu, cena” – wpisuje się dalej w wyszukiwarkę, aż się w końcu trafia na stronę jednej z największych klinik, w której są operowane dzieci z całej Polski.

W międzyczasie czyta się fora. Rodzice są wściekli. Bo implant nie działa, „oszustwo”. Inni szczęśliwi, bo implant to „cud”, ich dziecko słyszy. Jeszcze inni: żalują, że zdecydowali się na implant, aparaty słuchowe były lepsze. Ktoś pyta: dlaczego aparaty nie są dofinansowywane,

a implanty tak. Im dłużej się szuka, tym na dziwniejsze strony się trafia. Na przykład ktoś pisze, że do głuchego dziecka trzeba mówić, nawet jak nie słyszy. Mówić w ciemności, mówić za plecami, mówić zza zamkniętych drzwi. I że takie metody były już znane trzysta lat temu. A poza tym głusi muszą się jakoś przyzwyczajać, że żyją wśród słyszących.

– Gdy się rodzi głuche dziecko – mówi Adam, słyszący ojciec głuchego Marcina – i jest to pierwsze głuche dziecko w rodzinie, i nie zna się nikogo głuchego, to się zupełnie nie wie, co robić. I w żadnym szpitalu ani w żadnej przychodni nie radzą, co należy zrobić.

Wtedy znajduje się lokalny oddział Polskiego Związku Głuchych albo inną fundację/stowarzyszenie/cokolwiek i wraca się do domu z jako takim planem. Umawia się na wizytę w klinice, w której wszczepiają implanty. I czeka się na termin.

Po operacji cieszy się, jak nigdy chyba dotąd w życiu, gdy dziecko reaguje na pisk opon samochodu, a jeszcze bardziej, gdy usłyszy śpiew ptaka za oknem. Ale po paru miesiącach zaczyna się najgorsze. ➔

→ – Marcin, nasz syn, nie słyszał dźwięków mowy. Mimo wszczepienia implantu nie potrafił ani odebrać dźwięków mowy, ani mowa się u niego nie rozwinęła – mówi Katarzyna, mama Marcina.

Wszystko zaczyna się od nowa. Najpierw: martwienie się i zadanie pytań, co dalej. Potem wpisywanie w wyszukiwarkę „moje dziecko nie słyszy z jednym implantem” albo „implant nie działa”. Dociera się do forów internetowych jeszcze gorszych niż te dotychczas, więc czyta się je na raty, powtarzając sobie, że to ostatni raz. Ale kolejnego dnia, mniej więcej przed zaśnięciem, wpisuje się znowu to samo, nie trzeba nawet pamiętać frazy, bo wyszukiwarka ją od razu podpowiada, i czyta się te strony, które nie są podświetlone jako przeczytane.

Na końcu dzwoni się do chirurga i umawia się na kolejną wizytę.

– Poradzono nam, że powinniśmy wszczepić drugi implant, może to coś da – mówi Adam.

– Okazało się, że nie ma terminów na NFZ, można prywatnie, za jakąś kosmiczną cenę – mówi Katarzyna.

– Powiedzieliśmy, że jesteśmy w stanie sprzedać dom, by nasz syn miał drugi implant, termin się znalazł, na NFZ – mówi Adam.

Gdy po kilku miesiącach od operacji syn dalej nie mówi i nie słyszy mowy, a lekarze rozkładają bezradnie ręce, zaczyna się wpisywanie w wyszukiwarkę „mój syn jest głuchy”. I „jak porozumieć się z głuchym dzieckiem?”.

Posyła się głuche dziecko do masowego przedszkola, bo tak dalej radzą eksperci. Także dlatego, że w okolicy nie ma ani jednego dla głuchych dzieci, a jeszcze nie wyguglowało się słowa „internat”.

Tylko gdy dziecko wraca codziennie, absolutnie codziennie, z płaczem, a wychowawczyni na koniec roku, tak trochę żartem, mówi, że ona zawsze najpierw tłumaczyła wszystkie zadania słyszącym dzieciom, potem dzieciom, które miały kłopoty z nauką, a na końcu synowi, bo do niego było najtrudniej dotrzeć, i że gdy jemu skończyła tłumaczyć, to inne dzieci już zrobiły zadanie, to się robi coraz dziwniej, a nawet najdziwniej na świecie.

– Marcin miał już prawie pięć lat, a my nie mieliśmy z nim żadnego kontaktu. Wszyscy eksperci dotąd odradzali nam naukę języka migowego, bo on „rozleniwia” głuche dzieci i potem nie chcą się uczyć mówić – opowiada Adam.

Na wielu uczelniach
panuje przekonanie,
**że do głuchych dzieci należy
mówić i uczyć je mówić,**
bo nic ich tak nie przygotowuje
do życia wśród słyszących.

Wpisuje się wtedy w wyszukiwarkę coraz częściej „szkoła dla głuchych, opinie”. Zapisuje się na kurs języka migowego w swoim mieście, dajmy na to zorganizowany przez jakieś stowarzyszenie. Chodzi się na zajęcia i uczy słówek.

Znajduje się szkołę dla głuchych dzieci, która jest jakieś 50 kilometrów od domu i zawozi się tam codziennie dziecko, licząc na to, że to będzie taka sama szkoła, jak ta dla słyszących dzieci, tylko w innym języku.

Potem przychodzi pandemia. I widzi się lekcje online. I jest się w szoku.

Bo nie wszyscy nauczyciele migają do głuchych dzieci, niektórzy po prostu mówią.

Bo ci, którzy migają, robią błędy albo, idąc na łatwiznę, literują słowa literka po literce alfabetem migowym, a i tu robią błędy.

Bo zauważa się, że własne dziecko miga inaczej niż my uczący się na kursie „języka migowego”.

Bo odkrywa się, że jest polski język migowy (PJM), czyli język, którym posługują się ludzie głusi. I system językowo-migowy (SJM), sztuczny kod, który ma polską gramatykę, inną od gramatyki PJM. A więc: głusi rozumieją słowa, które się miga, ale mają problem ze zrozumieniem sensu wypowiedzi. I wtedy wpada się w panikę, w złość, we wściekłość taką, że nie wiadomo, gdzie i w którą stronę ma nastąpić wyładowanie.

Bo nasze dziecko posługuje się znowu językiem, którego my tak do końca nie znamy. A posługuje się nim dlatego, że w szkole poznało głuche dzieci głuchych rodziców i one nauczyły je migać.

Wpisuje się w wyszukiwarkę „kurs PJM” i nazwę miasta. I się okazuje, że nie ma czegoś takiego.

Adam: – Zorganizowaliśmy profesjonalny kurs PJM na własną rękę. I zapisa-

liśmy się wszyscy: my, czyli słyszący rodzice głuchych dzieci, i głuche dzieci.

Przy okazji odkrywa się.

Że w szkole dla głuchych dzieci nie ma przedmiotu „polski język migowy”. A jeśli jest, to w ramach tzw. rewalidacji.

Że w szkole dla głuchych dzieci nie wszyscy nauczyciele posługują się polskim językiem migowym. Ktoś zna PJM na wysokim poziomie, ktoś na niskim, część zna SJM na wysokim lub niskim poziomie, część wcale nie miga i uważa, że w kontakcie z głuchym dzieckiem język migowy nie jest potrzebny.

Na końcu odkrywa się, że to wszystko jest zgodne z wymogami, które stawia się nauczycielom pracującym w szkołach dla głuchych dzieci, którzy są absolwentami surdopedagogiki. A na tych kierunkach dopiero od niedawna zaczyna się pojawiać PJM, dotąd był zwykle SJM, w niewielkim wyborze godzin. A poza tym na wielu uczelniach w Polsce panuje przekonanie, że do głuchych dzieci należy mówić i uczyć je mówić, bo nic ich tak nie przygotowuje do życia wśród słyszących.

NA KONIEC. Zaczyna się samemu docierać do badań, z których wynika, że większość krajów dawno temu odeszła od metod stosowanych w Polsce i wprowadziła inne, m.in. metodę edukacji dwujęzycznej. Polega ona na tym, że głuche dzieci uczy się dwóch języków. Najpierw polskiego języka migowego, który potrafią przyswoić, a potem języka polskiego jako obcego, zwłaszcza w piśmie, a jeśli to jest możliwe, także w mowie. Dotyczy to przede wszystkim dzieci, które mimo noszenia aparatów słuchowych lub wszczepienia implantu nie słyszą i nie rozumieją dźwięków mowy.

Być może trafia się także na strony internetowe polskich szkół dla głuchych, zaledwie kilku z ponad trzydziestu, które starają się stosować metodę dwujęzyczną, a także dbają o kompetencje językowe pedagogów (tak jest m.in. w Instytucie Głuchoniemych i w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym dla Głuchych przy ul. Łuckiej w Warszawie). I na informację, że tam głusi uczniowie zdają egzaminy i maturę z sukcesami.

■■■
Ministerstwo Edukacji i Nauki nie odpowiedziało na pytanie, czy jest potrzebna reforma w szkołach dla głuchych dzieci.

© 2021 ANNA GOC

DOROTA

Masłowska: Rocznica



TROCHĘ WODY UPŁYŃĘŁO W WIŚLE, ODKĄD zaczęłam pisać te teksty i odkąd cyklicznie pojawiają się one w Państwa domach, kawiarniach, bibliotekach, czytnikach, plecakach, nierzadko łazienkach (nie mam złudzeń!), a koniec końców

przez oczy przedostają się do głów („Czyta się 3 minuty”). Zawsze jednak początek mają w mojej głowie, którą systematycznie przenoszę z miejsca na miejsce po Warszawie na przeciętnych rozmiarów korpusie za pomocą dwóch takich sobie nóg. Kształtem i gabarytem przypomina ona średnią kapustę, jednak niech to nikogo nie zmyli. Wyposażona w liczne otwory i czujniki, zwrotne gałki oczne i symetrycznie osadzone radary uszu, cały czas skrupulatnie procesuje i kataloguje wrażenia i treści.

To już rok. Uświadomiłam to sobie, gdy w poniedziałek w godzinach wczesnoporannych usłyszałam jazgot szkła zabieranego przez śmieciarkę. Klepsydra kubła wywracająca się gwałtownie z charakterystycznym, przeszywającym szczeniem, fanfary, których opis uświetnił w zeszłym wrześniu rozpoczęcie tego cyklu. To straszny dźwięk, otwierający pokrywę ziemi i budzący umarłych – tak jakby i oni byli zaproszeni na tę inaugurację. Zresztą słusznie – przecież są warstwą tego miasta, jego miazgą. Chodzimy po próchnicy ich światów; nie dajmy się zwieść, że ich tu nie ma.

Tymczasem Stadion Skry, o którym w tamtym tekście pisałam, już zniknął razem ze wszystkimi odniesionymi na nim triumfami. Już obzerają się tym wszystkim buldożery. Forma felietonu jak żadna inna uwikłana jest w czas. Piszę on te teksty niejako ze mną. Piszę, a życie zapisuje się dalszym życiem, dni dniami, jesienią zimami. Na moich oczach miejski sękacz obrasta kolejnymi warstwami, szkielety budynków – taflami szklanych elewacji, naga ziemia u ich nasady – kostką bauma i samochodami, szyldy zbankrutowanych knajp – neonami nowych, a starych sklepów spożywczych – ekspansywnymi logami Zabek, które z kolei pożerają Liski. Veturilo są coraz bardziej zepsute, czerwone błyskawice splatają się z krzyżami w coraz ciśniejsze, niemożliwe do zdeszyfrowania hieroglify nienawiści, hulajnogi mkną po maseczkach ze śladami szminek, na wszystkim tym zaś lśni nieodmiennie brokat stłuczonych butelek po wódkach smakowych o szybko ewoluujących smakach (figa/mak, masło palone, jarmuż/wanilia/chia, lawenda/kozi twarożek).

Z okazji tej rocznicy, która nadeszła zaskakująco szybko, obiektyw na chwilę kieruję na proces twórczy. Przyjęcie felietonu zawsze jest trudną decyzją; oto zapraszamy pod swój dach demona regularności i samodyscypliny. Na początku pije on naszą krew i zawodzi po nocach, jednak stopniowo sprząga się z życiem. Ostatecznie mam poczucie, że gdy wykonawszy wszystkie możliwe figury odwlekania (a zauważy-

łam, że prokrastynacje mają nierzadko swoje subprokrastynacje, toteż by maksymalnie odwlec moment pisania, biorę się za pranie, jednak otwarcie kosza z nim możliwie odciążam poprzez nagle staranne odpowiadanie na zaległe maile i zawsze przed tekstem muszę jeszcze neurotycznie wyjść i chodząc, zauczestniczyć w ulicach, udać się na dworzec, napęlić oczy brzydką odzieżą i grzędami dworcowych biedactek), siadam wreszcie do pisania, tekst w jakiś sposób jest już we mnie gotowy, już prawie samonapisany.

Jedyny minus tego wszystkiego: że opisując coś – wytracam to dla siebie. Nie do końca rozumiem, co się tu wydarza – zaczyna palić mnie względem opisanego dziwny dyskomfort, wyrzut, na twarz występuje rumieniec zdręczyny. Gdy napisałam o lokalnym straganie z warzywami, sąsiedzi donieśli o tym jego właścicielom. Zaskoczona, zdekonspirowana – stałam z bukiem marchwi w jednej i pękiem jarmużu w drugiej dłoni, choć najchętniej udawałabym, że bardzo mocno je wacham, i osiągnąwszy w ten sposób względną niewidzialność, uciekałabym do domu. Z doświadczenia wiem, że niektórym ludziom sprawia przyjemność bycie opisywanymi, a nawet sama potencjalność, że mogą zostać zobaczeni i opisani (czasami wręcz samowzniechęcają do antycypowanego portretu, chociaż takiego wcale nikt nie ma zamiaru czynić), ale czuję, że to nadużycie wobec rzeczywistości, tak sobie coś po prostu wziąć i opisać. A może chodzi o pewną intymność, którą pociąga za sobą wpicie w coś lub kogoś uważnego spojrzenia. Tak jakbyśmy – żyjąc tu w nadmiernej fizycznej bliskości – poprzysięgli sobie przezroczystość. Przyglądanie się byłoby więc złamaniem paktu o wzajemnej niewidzialności.

Z innej strony – to mało kochane miasto desperacko potrzebuje wpatrywania się w nie. Za dużo ludzi traktuje je jako wiązkę irytujących, wiecznie zatłoczonych ulic, służącą do przemieszczania się między nielubianą pracą a uniwersalnie urządzonym mieszkaniem pełnym obrazów „Home” i „I Love Coffee”. W masie to czuć. Wiśń w powietrzu ta nieczułość, użytkowość, ta atmosfera życiowego tranzytu. Więc na razie patrzę na tę fascynującą, bezustannie zarastającą samą sobą konstrukcję, prowadząc coś w rodzaju jej chaotycznego, ale serdecznego audytu. ©

OGŁOSZENIE

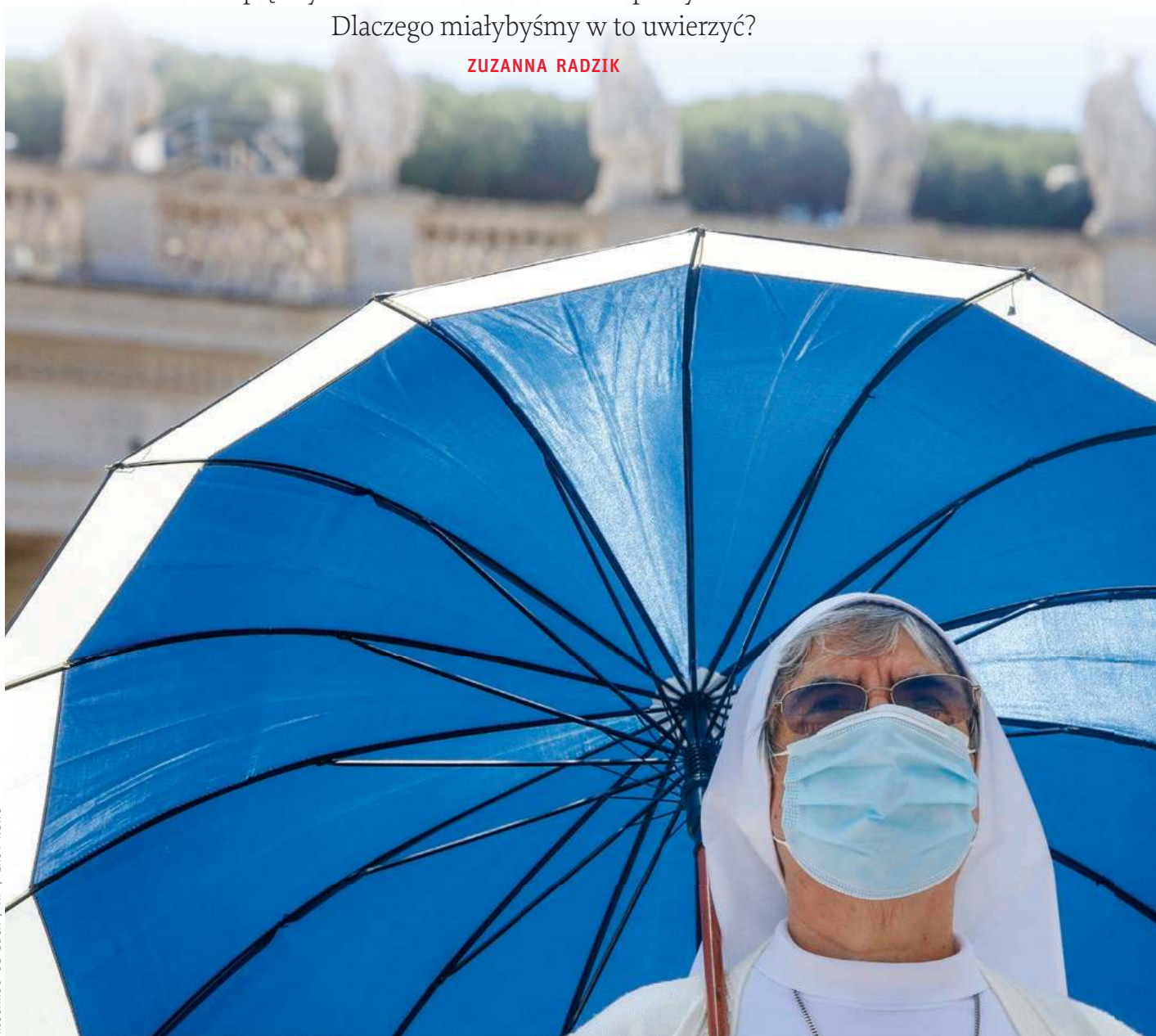
W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 324/21 toczy się postępowanie z wniosku Wojciecha Balika i Anny Balik o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności części nieruchomości położonej w Zagórze, oznaczonej numerem ewidencyjnym 877, o powierzchni, która odpowiada działkom 163/2, 165/2, 163/1 i 165/1, dla których w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzone są księgi wieczyste KS15/00011524/9 i KS15/00011525/6.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, tj. Józefa Gałkowskiego, s. Jana i Marii, Wandę Gałkowską, Cecylię Gałkowską, Zygmunta Gałkowskiego, bądź ich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

SPRAWDZAM

Mój niezmiennie seksistowski i patriarchalny Kościół
przed synodem znów przemawia do mnie
pięknymi frazami o słuchaniu i wspólnym kroczeniu.
Dlaczego miałybyśmy w to uwierzyć?

ZUZANNA RADZIK



TO, ŻE NA KONFERENCJI OGŁASZAJĄCEJ dokument przygotowujący synod dziennikarze sami z siebie zadają pytanie o rolę kobiet w tym procesie, jest pewnie sukcesem kobiecych protestów ostatnich lat. W końcu protest z 2018 r. trafił na szpalty „New York Timesa”, nie bez powodu kojarząc się z sufrażystkami, a jego hasłem było „Prawo głosu dla katoliczek”. Protestujące nie tylko stały pod wejściem na synod, zgarniane przez policję, ale też podpisywały petycję. W tej samej sprawie próbowały zadziałać zakony męskie i żeńskie. Na kolejnym synodzie na placu św. Piotra stawily się szwajcarskie benedyktynki z tym samym hasłem. Co synod, to powraca pytanie: czy kobiety będą miały głos?

Pytanie wraca słusznie, należy jednak przypomnieć, o których i o ilu kobietach

faktycznie mówimy. Postulaty prawa głosu dla katoliczek dotyczą 20 wyższych przełożonych zakonów żeńskich, które biorą udział w synodzie obok kilkuset biskupów. Prawdę mówiąc, gdy po raz pierwszy szykowałyśmy demonstrację w tej sprawie, byłam przekonana, że to mała, symboliczna zmiana w zasięgu ręki. Uważałam, że konieczność naprawy rażącej niesprawiedliwości jest zbyt oczywista, by trwało to długo. Kobietom zaś przyda się choć takie zwycięstwo. Symboliczne, bo przecież te przełożone zakonne niekoniecznie staną się rzeczniczkami kobiecej sprawy i cokolwiek na rzecz kobiet zdziałają. Po prostu należy im się to. Więcej: danie im prawa głosu należy się nam wszystkim.

To, że w odróżnieniu od przedstawicieli zakonów męskich nie mają one na synodzie głosu nad końcowym dokumentem, jest jawną niesprawiedliwością. Członkiń zakonów żeńskich jest na świecie o jakieś 300 tys. więcej niż zakonników i księży, działają w różnych przestrzeniach, wobec czego pozbawiając siostry zakonne prawa głosu nad dokumentem synodalnym wyklucza się ich doświadczenie i rozeznanie w życiu Kościoła i w świecie. Co sprawia, że wszyscy stajemy się ubożsi, bo już wielokrotnie udowodniano, że lepiej kierowane są organizacje zarządzane przez bardziej zróżnicowane i reprezentatywne grono. Kościół sam odbiera sobie taką szansę.

Déjà vu

Temat niesprawiedliwości, jaką jest brak głosu dla reprezentantek siostr zakonnych na synodzie, nie jest nowy. Instytucję synodu biskupów odnowiono na Soborze Watykańskim II. Pierwszy synod odbył się w 1967 r., a na drugi w 1971 r. zaproszono cztery kobiety, w tym znane z soboru świeckie audytorki Barbarę Ward i Pilar Bellosillo oraz dwie siostry zakonne. Tematem obrad była sprawiedliwość na świecie i urzędowe kapłaństwo posługi w Kościele. Już wtedy rozmawiano o powierzaniu świeckim funkcji, do których nie są potrzebne święcenia, a biskup Valfredo Tepe z Ilhéus w Brazylii mówił: „Posługa świeckich i zakonnic w Kościele – coś, co może

podkreślić, jak ważne są w Kościele kobiety – w Brazylii nie jest hipotetyczną przyszłością, ale funkcjonującą rzeczywistością. I to nie tylko ze względu na brak księży. To okazja, by Brazylią pokazała całemu Kościołowi bogactwo wiary”.

Na tym samym synodzie patriarcha Antiochii Maximos V Hakim apelował o zmianę stosunku Kościoła do kobiet: „Niech nie wydarzy się znów to, co zdarza się tak często: że Kościół jest bardziej powolny niż rządy. Przeciwnie, powinno być naszym obowiązkiem działać pro-rocko”. I proponował przełożenie tego na praktykę: „Spędziliśmy połowę synodu rozmawiając o księżach, podczas gdy siostry zakonne są od nich dziesięć razy liczniejsze. Jeśli stwarzają dziesięć razy mniej problemów, czy powinniśmy nadal je zaniedbywać? Czemu następny synod nie mógłby zająć się miejscem kobiet w Kościele dziś i rolą zakonnic w diecezjach, kurii rzymskiej, na synodach i w innych kościelnych urzędach? Kiedyś kobiety ogłosiły dobrą nowinę Piotrowi. Gdybyśmy dziś ich posłuchali, może też miałyby nam coś do powiedzenia”.

Brzmi postępowo? Od tego czasu minęło pół wieku, a zmieniło się niewiele. Prowadzimy jakąś dziwnie spiralną rozmowę, w której tematy i postulaty pojawiają się, by jednak nie zyskać rozwiązania i powrócić za kilkadziesiąt lat w aury nowości. Znów biskupi z Brazylii mówią nam na synodzie o Amazonii, że duszpasterska praca kobiet to fakt. Znów niby mamy zająć się posługami kobiet. Czas mija, nie dzieje się nic. „Czy wszystkie te nowe posługi będą zarezerwowane dla mężczyzn? – pytał w 1971 r. kard. George Flahiff z Kanady. – Nie spełniamy swojego obowiązku wobec ponad połowy członków Kościoła, jeśli nawet nie wspominamy tego tematu”. Tak zostało. Obowiązek biskupów do dziś pozostał niespełniony. Pytanie tylko, czy jest to uparte niesłuchanie kobiet czy też Duch Święty.

Od tamtej pory synody odbywały się co cztery lata, z symbolicznym jedynie udziałem kobiet. To dlatego w październiku 1994 r., gdy zebrał się synod biskupów, by rozmawiać o życiu konsekrowanym, pod bazyliką św. Piotra stanęły zakonnice z transparentem: „Spotykają się, by rozmawiać o nas bez nas”. Choć protest zorganizowała niewielka, radykalna w poglądach grupa National Coalition of American Nuns, to w swoim

Plac św. Piotra w Watykanie podczas niedzielnej modlitwy Anioł Pański, 26 lipca 2020 r.

→ niezadowoleniu nie były same. Ponad 425 przełożonych zgromadzeń żeńskich odpowiedziało na ankietę przeprowadzoną w związku z synodem przez Międzynarodową Unię Wyższych Przełożonych Zakonnych. Jej wyniki unia opublikowała w swoim biuletynie. Jedyne, czego się doczekały, to wydana dwa lata później przez Jana Pawła II adhortacja „Vita consecrata”, w której mogły przeczytać, że należy pilnie podjąć kroki zmierzające do włączenia kobiet w procesy decyzyjne w Kościele, szczególnie w sytuacjach, gdy dotyczą one ich samych. Rzecz jasna, gdy dotyczy o specjalnym miejscu kobiet, zwłaszcza w obszarach związanych z tradycyjnie kobiecymi rolami i w promowaniu nowego feminizmu, który uniknie pokusy naśladowania modeli męskiej dominacji.

Przypominam to wszystko, by podkreślić, że to, co można ładnymi słowami powiedzieć, już kiedyś zostało powiedziane. Bez skutku. Jedyne, co teraz wydaje się interesujące i mogące przynieść realną zmianę, to działania, które odmieniają miejsce kobiet w Kościele. I na jego synodach.

Pałaca niesprawiedliwość

Temat głosu kobiet na synodzie ożył wraz z synodalnym ożywieniem pontyfikatu Franciszka. Gdy z pierwszego synodu zwołanego przez tego papieża biskupi wracali wyraźnie podekscytowani możliwością szerszej rozmowy, zaczęło się wydawać, że synody zaczęły być przestrzenią realnej dyskusji o Kościele. Stąd dla grupy reformatorów temat udziału kobiet i ich wpływu na kształt ostatecznego dokumentu zaczął mieć większe znaczenie.

Staraniom tym niezmiennie towarzyszyła odpowiedź, że jest to synod biskupów i stąd głosować mogą tylko biskupi i zaproszeni do tego inni ordynowani reprezentanci zakonów. Nikt nie odpowiedział, czemu akurat głos przebiterów, którzy są przełożonymi zakonnymi, może być zrównany z głosem wydelegowanych na synod biskupów. Czasem zdaje się, że nad składem nikt nie panuje, tak długo, jak delegaci noszą sutanny. I póki kobiety nie mówią: sprawdzam.

Temat stał się jeszcze bardziej żywy i jednocześnie pałaco niesprawiedliwy, gdy okazało się, że prawo głosu na synodzie dostali przełożeni męskich zakonów, którzy nie mają święceń pre-

Smutna prawda: historia Kościoła jest historią seksizmu.

Wciąż nie przejęliśmy się tym wystarczająco głęboko, skoro nie widzimy, że nasz sposób sprawowania władzy i bycia Kościołem jest nim naznaczony.

zbiteratu. Na synodzie o małżeństwie i rodzinie głosu udzielono bratu zakonemu, który reprezentował tam swoje zgromadzenie. Na synodzie o młodych i powołaniu już dwóch braci zakonnych miało prawo głosu, ale siostry wciąż nie. Przypomnijmy, bracia zakonnici nie mają święceń kapłańskich i podobnie jak siostry zakonne mają status osób świeckich. Te przypadki obnażają seksizm systemu: o możliwości głosowania na synodzie ostatecznie decyduje nie pozycja w Kościele, a nawet nie ordynacja, ale płeć biologiczna. Jak wiadomo, ta w rozeznawaniu sytuacji Kościoła we współczesnym świecie ma kluczowe znaczenie.

Pytany przed synodem o Amazonii, dlaczego brat zakonny może głosować, a dwadzieścia sióstr zakonnych reprezentujących żeńskie zgromadzenia nie, sekretarz generalny synodu, kard. Lorenzo Baldisseri, powiedział, że zasadniczo prawo głosu jest zarezerwowane dla duchownych, jednak dopuszczenie do głosu brata zakonnego było osobistą decyzją papieża Franciszka. Mowa o decyzji papieża, który wzywa do włączenia kobiet, a synod nazywa narządkiem wypowiadania się całego ludu Bożego!

Okazało się zatem, że fundamentalnym kryterium dającym prawo głosu na synodzie jest rodzaj genitaliów, a nie sakra biskupia czy święcenia przebiteratu.

Strukturalny seksizm

Zatrzymajmy się na chwilę i by aż tak się temu wszystkiemu nie dziwić, przypomnijmy smutną i dość oczywistą prawdę: historia Kościoła jest historią seksizmu. Wciąż nie przejęliśmy się

tym wystarczająco głęboko, skoro nie widzimy, że nasz sposób sprawowania władzy i bycia Kościołem jest nim naznaczony. Wciąż nie przejęliśmy się z pewnością na tyle, by wyciągnąć wnioski i coś zmienić. Stąd fakt, że kryterium dostępu do współkształtowania Kościoła stanowi swoiście rozumiana „teologia ciała”, może nie powinien nas dziwić, ale z pewnością nie powinniśmy o tym zapominać.

Amerykański magazyn katolicki „America” poprosił niedawno dwie ekspertki, by odpowiedziały na esej kard. Avery’ego Dullesa na temat kapłaństwa kobiet, który ukazał się na ich łamach przed 25 laty. W swojej odpowiedzi Julia Brumbaugh przypomina stwierdzenie Yves’a Congara OP, że można potępić fałszywą odpowiedź, ale nie prawdziwe pytanie, i dodaje od siebie: „Czy pytanie o pełną partycypację kobiet w Kościele znalazło prawdziwą odpowiedź? Czy zostało usłyszane w swoich wielu wymiarach?”.

Pytanie o głosy kobiet na synodzie jest częścią właśnie tego wielowymiarowego pytania, które kobiety zadają, a nawet wykrzykują swojej wspólnoty. Brumbaugh tłumaczy, że na powierzchni zadajemy pytanie o ordynację kobiet i na nie tak czy inaczej odpowiadamy. Ale dziś zadajemy je w kontekście uznania pełnej ludzkiej godności kobiet i ich udziału w życiu, podczas gdy odpowiedź pochodzi z systemu, który jej nie uznawał i uważał kobiety za podległe. Systemu, który nazaczył naszą teologię i tradycję tak głęboko, że seksizmu i patriarchatu nie możemy rozpatrywać jako czegoś zewnętrznego. Wypomina Dullesowi, że potępiał patriarchat, ale nie doceniał, jak głęboko ten spenetrował kościelną tradycję i teologię.

Dodam już od siebie, że nasze współczesne odpowiedzi na to wielkie pytanie też pochodzą właśnie z takiego systemu i udzielane są przez struktury i ciała (czy to kurie rzymską, czy uczących na katolickich uczelniach teologów, czy watykańskie komisje teologiczne), których istnienie i prawo wypowiedzi uzasadnia ten sam patriarchalny system. Czy dziwi nas jeszcze, że tak łatwo przychodzi Kościołowi uzasadnianie wykluczenia kobiet, którego dokonuje?

W tym kontekście pytanie o głosy kobiet na synodzie to mała potyczka. Mały człon wielowymiarowego pytania o to,

czy Kościół katolicki potrafi uznać równość kobiet i mężczyzn i nadać jej praktyczny wymiar. Czy jest w stanie szczerze i krytycznie czytać własną, przesiąkniętą seksizmem teologię i ją zmienić?

Piękne frazy

Teraz ponoć czeka nas zupełnie inny synod. Po pierwsze, duży nacisk położono na proces namysłu i rozeznawania w Kościołach lokalnych, którego spotkanie biskupów w Rzymie ma być tylko zwieńczeniem. Na ten namysł przed spotkaniem mamy wszyscy dwa lata. To niestety pozwala na pytanie o udział kobiet w synodzie odpowiadać, że będą mogły uczestniczyć w tych lokalnych konsultacjach. A że jestem z Polski, to pozwałam sobie mieć duże wątpliwości, czy ktokolwiek przeprowadzi tu partycypacyjny proces, a potem rzetelnie przedstawi jego wnioski już na synodzie. I że będzie to proces, który włączy też wyalienowanych i niezadowolonych, a nie tylko pupili swoich biskupów. Podobne pytania zadają kobiety z innych części świata. Bo czemu mamy wierzyć, że nasi, na co dzień nierozumiejący kobiecych postulatów hierarchowie rzetelnie zrecenzują nasze głosy, że w ogóle się w nie wsłuchają?

Ten inny synod ma się zająć paradoksalnie właśnie synodalnością Kościoła, czyli tym, jak w mniej scentralizowany sposób moglibyśmy być ludem Bożym. „To właśnie droga synodalno-

ści jest tym, czego Bóg oczekuje od Kościoła w trzecim tysiącleciu” – powtarza dokument za papieżem Franciszkiem. Dokument przygotowawczy synodu zapewnia, że nie chodzi o jednorazowe doświadczenie synodalności, ale o szansę, by cały lud Boży rozeznawał razem, którzy podążać ku staniu się bardziej synodalnym Kościołem w dłuższej perspektywie. Słuchać, jako cały lud Boży, co Duch Święty mówi Kościołowi poprzez Pismo, Tradycję, każdego z nas, tych na marginesach, poprzez znaki czasu. Wspaniale, tylko zarówno my sami, jak i znak czasu w postaci równouprawnienia kobiet mówią do Kościoła od półwiecza. Serio trzeba jakichś diecezjalnych konsultacji według synodalnej instrukcji, żeby to usłyszeć?

No dobrze, kawałek mnie właściwie chce dać się ponieść nadziei, że to coś zmieni, ale mój *bullshit detector* każe powstrzymać entuzjazm. Czy te piękne frazy o słuchaniu i wspólnym kroczeniu mówi do mnie mój niezmiennie sekсистowski i patriarchalny Kościół, który wciąż nie jest w stanie dać prawa głosu na synodzie dwudziestu zakonnicom tylko dlatego, że nie mają penisów?

„Jest jasne – zapewnia dokument – że celem tego synodu nie jest wyprodukowanie kolejnych dokumentów. Raczej zainspirowanie ludzi, by wyobrazili sobie Kościół, do bycia którym jesteśmy powołani. Pragnie sprawić, by ludzkie nadzieje rozkwitły, stymulować zaufanie,

zagoić rany, zadzierzgnąć nowe i głębsze relacje, uczyć się od siebie nawzajem, budować mosty, oświecać umysły, rozgrzewać serca, odzyskiwać siły w rękach dla naszej wspólnej misji”. Wszystko to brzmi pięknie, jakby wyszło spod ręki copywriterskiej agencji teologicznej, ale... ale mówimy o synodzie Kościoła, który znamy. Kościoła, którego nieprzejrzyste struktury doprowadzają do przestępstw i ich krycia. Który oparty jest na systemowym seksizmie, i w którym władzę dzierży mniej niż promil ochrzczonych, bo... tak ponoć ustaliliśmy wieki temu. Chętnie powymieniam się snami na temat Kościoła, jakim moglibyśmy być, ale w moich marzeniach jest to Kościół tak radykalnie inny, że nikt nie chce ich słuchać. Kościół równych sobie kobiet i mężczyzn to bowiem marzenie, które musiałoby zburzyć to, co jest.

Znam to: słuchanie, dialog, uczenie się od siebie nawzajem, budowanie zaufania, mostów i głębszych relacji. Znam, bo stałam już pod wejściem na synod, wołając o głosy dla kobiet, mijana obojętnie przez ojców synodalnych i ściągana z placu przez rzymską policję. Jakoś nikt tam nie chciał uczyć się od tych z marginesu i czytać znaków czasu. Więc w ramach tej rozkosznej wymiany marzeń i myśli powiem jedno: dajcie coś konkretnego, prawdziwą zmianę, choćby małą, jako gest dobrej woli, albo nie zwracajcie głowy.

© © ZUZANNA RADZIK

REKLAMA



NAGRODA DRAMATURGICZNA IM. TADEUSZA RÓŻEWICZA



ZAPRASZAMY AUTORÓW DO UDZIAŁU W I EDYCJI KONKURSU

ORGANIZATOR

PARTNER

teatr
miejski
W GLIWICACH

TYGODNIK
POWSZECHNY

Więcej informacji: www.nagrodarozewicza.pl

Strefy wolne od Franciszka

MARTA ZDZIEBORSKA

Antypapieska opozycja w amerykańskim Kościele ma wpływowego sprzymierzeńca. To katolicka telewizja EWTN, która coraz bardziej działa papieżowi na nerwy.

OSOBIŚCIE ZASŁUGUJĘ NA ATAKI I OBEłgi, bo jestem grzesznikiem, ale Kościół na nie nie zasłużył. Ta telewizja jest dziełem szatana” – takie słowa papież skierował do słowackich jezuitów podczas spotkania w siedzibie nuncjatury apostolskiej w Bratysławie. Choć podczas rozmowy, której transkrypcję 21 września opublikował serwis „La Civiltà Cattolica”, papież nie podał nazwy stacji, wszystko wskazuje na to, że chodziło o krytykę telewizji katolickiej Eternal World Television Network (EWTN).

Jak donosi jezuicki serwis „America”, na podstawie anonimowych rozmów z trzema watykańskimi urzędnikami, do konfrontacji między papieżem a reporterami stacji doszło już 5 marca na pokładzie samolotu lecącego z Rzymu do Bagdadu. Gdy pozdrawiający dziennikarzy Franciszek zatrzymał się przy ekipie EWTN, miał powiedzieć: „Powinniście w końcu przestać o mnie źle mówić”.

„Wielka przysługa”

Papież ma prawo do frustracji, bo ta amerykańska telewizja, docierająca do około 310 mln widzów w ponad 145 krajach na świecie, znana jest z krytyki pod jego adresem. Gwiazdor stacji Raymond Arroyo zapraszał do studia największych wrogów Franciszka w Stanach, m.in. kard. Raymonda Burke’a, byłego doradcę Donalda Trumpa Steve’a Bannona oraz arcybiskupa i byłego nuncjusza apostolskiego w USA Carla Marię Viganò.

Przypomnijmy, że ten ostatni rozpuścił w 2018 r. burzę, zarzucając papieżowi ignorowanie doniesień o przestępstwach seksualnych byłego już kard. Theodora’a McCarricka i wzywając Franciszka do dymisji. Swoją list opublikował w wy-

dawanej przez koncern EWTN gazecie „National Catholic Register”. Tuż po ujawnieniu listu członek zarządu EWTN Timothy Busch przekonywał w rozmowie z „New York Timesem”, że zarzuty są „wiarygodne” i abp Viganò wyświadczył Kościołowi „wielką przysługę”. Podkreślił jednocześnie, że chodzi tu wyłącznie o nadużycia seksualne McCarricka, a nie o gorący w USA spór między postępowym a konserwatywnym skrzydłem Kościoła katolickiego.

Ale to właśnie tarcia na tej linii wyjątkowo dobrze widać w przekazie medialnego imperium EWTN, które oprócz telewizji posiada agencję prasową Catholic News Agency, wspomniany „National Catholic Register” i ponad 500 rozgłośni radiowych. Do mediów znanych z krytyki papieża zalicza się m.in. ultra-konserwatywne serwisy: „Church Militant” i „LifeSiteNews” oraz mającego ponad 350 tys. subskrybentów na YouTube Taylora Marshalla. W Stanach prężnie działają również takie organizacje, jak Napa Institute (jej szefem jest powiązany z EWTN Timothy Bush), które promują tradycjonalizm i antypapieską retorykę.

Przydatny rozwodnik

Od początku pontyfikatu Franciszek drażnił amerykańskich konserwatystów wizją Kościoła opartego na obronie ubogich i imigrantów oraz otwartości na grupy do tej pory spychane na margines: rozwodników, środowiska LGBT, a nawet osoby niewierzące. Jak pisze na łamach serwisu „America” Mike Lewis, media katolickie bardzo szybko zaczęły wyciągać wypowiedzi Franciszka z kontekstu i interpretowały je jako afront wobec głęboko wierzących katolików. Antypapieska

ską narracja w USA nasiliła się w 2016 r. po publikacji posynodalnej adhortacji o rodzinie „Amoris laetitia”, w której papież pisał o dopuszczalności komunii dla rozwiedzionych katolików żyjących w nowych związkach. Burzliwa dyskusja, której kulminacją był skierowany do Franciszka polemiczny list czterech kardynałów – zbiegł się z wyborczą rzeczywistością w USA.

Niespodziewany zwycięzca wyścigu – dwukrotny rozwodnik Donald Trump – stał się sojusznikiem telewizji EWTN i środowisk konserwatywnych katolików, którzy dążą do ograniczania praw reprodukcyjnych i przepisów chroniących osoby LGBT przed dyskryminacją.

Atak Bannona

Jak pisał już w 2018 r. postępowy serwis „National Catholic Reporter” (NCR), w czołowym programie telewizji EWTN „The World Over” prędzej można było zobaczyć gości sympatyzujących z polityką Trumpa niż ze społecznym nauczaniem papieża. Z tego powodu nazwę stacji złośliwi zaczęli przerabiać na Eternally With Trump Network (Na wieczność z Trumpem).

To, jak religia miesza się w EWTN z polityką, świetnie pokazuje program „The World Over” wyemitowany 4 kwietnia 2019 r., tuż po wizycie papieża w Maroku. Prezenter Raymond Arroyo zaprosił do studia byłego doradcę Trumpa Steve’a Bannona, który skrytykował papieża za jego otwartość na imigrantów i insynuował, że celem Franciszka stało się zwalczanie ruchów nacjonalistycznych w USA i Europie. Następnie w programie skupiono się na kwestii niedopuszczalności kary śmierci, o czym papież mówił podczas lotu powrotnego z Maroka do Rzymu. „Kara śmierci umożliwia skazańcowi uzdrowienie duszy przed śmiercią” – wypalił w kontrze do papieża Raymond Arroyo. Gość w studiu – nowojorski ksiądz Gerald Murray – poszedł o krok dalej przekonując, że „papież nie ma prawa do zmiany nauki Kościoła”, która jego zdaniem „dopuszcza w niektórych przypadkach karę śmierci”.

Raymond Arroyo i zapraszani do telewizji rozmówcy wyspecjalizowali się w krytyce papieża na każdym kroku, od komentowania zwoływanych przez niego synodów po jego podejsie do skandali seksualnych w Kościele. Nawet teraz, gdy roześlony krytyką papież nazwał



PHIL LONG / AP / EAST NEWS

Transmisja z uroczystości uhonorowania Matki Angeliki, założycielki EWTN, przez władze Canton City. Pierwszy z prawej – prezydent Raymond Arroyo. 9 października 2010 r.

EWTN „dziełem szatana”, Raymond Arroyo dolał oliwy do ognia. Wraz z Chadem Pecknoldem, teologiem z Katolickiego Uniwersytetu Ameryki, kpił z częstych wypowiedzi papieża o potrzebie duszpasterstwa miłosierdzia, z dała od surowych osądów pod adresem wiernych. „Jak się z tego wypowiadać w konfesjonale? Ojcie, byłem trzy razy katolikiem wobec innych?” – dowcipkował Chad Pecknold. Rozmówca skrytykował również wprowadzony w Watykanie obowiązek posiadania paszportu covidowego. „To przejaw kultu bezpieczeństwa i zdrada Ewangelii” – grzmiał Pecknold.

Potrzeba reformy

W reakcji na ostatnią burzę wokół amerykańskiej telewizji publicysta serwisu NCR Michael Sean Winters pisał, że problemem nie jest krytyka papieża sama w sobie, ale to, że „stacja stała się skrajnie upolityczniona, przedkładając nad wiarę katolicką program Partii Republikańskiej”.

„Najwyższa pora, by liderzy Kościoła w USA zachęcili kanał do reformy”

– napisał Winters, sugerując, że przewodniczący amerykańskiego episkopatu abp José Gómez powinien zastanowić się, czy „stosowne” jest dalsze zasiadanie w zarządzie telewizji EWTN. Jednak arcybiskupowi może być teraz ze stacją wyjątkowo po drodze. Ich wspólnym przeciwnikiem stał się bowiem praktykujący katolik Joe Biden, który co prawda często cytuje Biblię i encykliki papieskie, ale jednocześnie popiera liberalne prawo aborcyjne.

Antypapieskie seminaria

Na przestrzeni ostatnich lat prezenterzy EWTN rzadko spotykali się z krytyką ze strony biskupów. Szerokim echem odbił się przypadek bp. Ricka Stiki z Knoxville w Tennessee, który w 2018 r. zarzucił Raymondowi Arroyo na Twitterze, że relacjonuje wydarzenia z Watykanu w sposób „stronniczy” i „godny ubolewania”. Po tym, jak tweet ten spotkał się z falą wrogich komentarzy ze strony fanów stacji, biskup zrezygnował i napisał: „Nie mam problemów z telewizją EWTN. Po prostu nie polecam jednego programu” – odnosząc się do „The World Over”.

W Ameryce, gdzie EWTN pełni funkcję katolickiej wersji konserwatywnej stacji Fox News (Arroyo często tam zresztą gości), jest spory popyt na antypapieską retorykę. Jak pisze Mike Lewis z NCR, wiele katolickich rodzin, w tym rodzina Lewisa, toczy gorące spory o pontyfikat Franciszka. Niechęć do papieża przeważa również w niektórych parafiach i seminariach. O seminarium św. Jana w Camarillo w Kalifornii pisał w mediach społecznościowych biskup pomocniczy archidiecezji Los Angeles Edward Clark. „Seminarzyści krytykują tych, którzy są lojalni wobec papieża, i lubią nazywać nasze seminarium strefą wolną od Franciszka. Katolicy pozostający w takiej opozycji do Ojca Świętego są w głębi serca protestantami i to w Kościele protestanckim powinni znaleźć swoje miejsce” – pisał biskup. Innego zdania jest Michael Voris, założyciel serwisu „Church Militant”, który uważa, że kalifornijscy seminarzyści „stoją na straży czystości doktrynalnej” i należy się za nich modlić.

W Ameryce, gdzie część biskupów katolickich prowadzi ofensywę przeciwko Franciszkowi, taka retoryka dobrze się sprzedaje. ©

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 324/21 toczy się postępowanie z wniosku Wojciecha Balika i Anny Balik o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności części nieruchomości położonej w Zagórz, oznaczonej numerem ewidencyjnym 877 o powierzchni, która odpowiada działkom 163/2; 165/2; 163/1 i 165/1, dla których w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzone są księgi wieczyste KS15/00011524/9 i KS15/00011525/6.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, tj. Józefa Gałkowskiego, s. Jana i Marii; Wandę Gałkowską, Cecylię Gałkowską, Zygmunta Gałkowskiego – bądź ich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

OGŁOSZENIE

Sansara i wściekłe psy

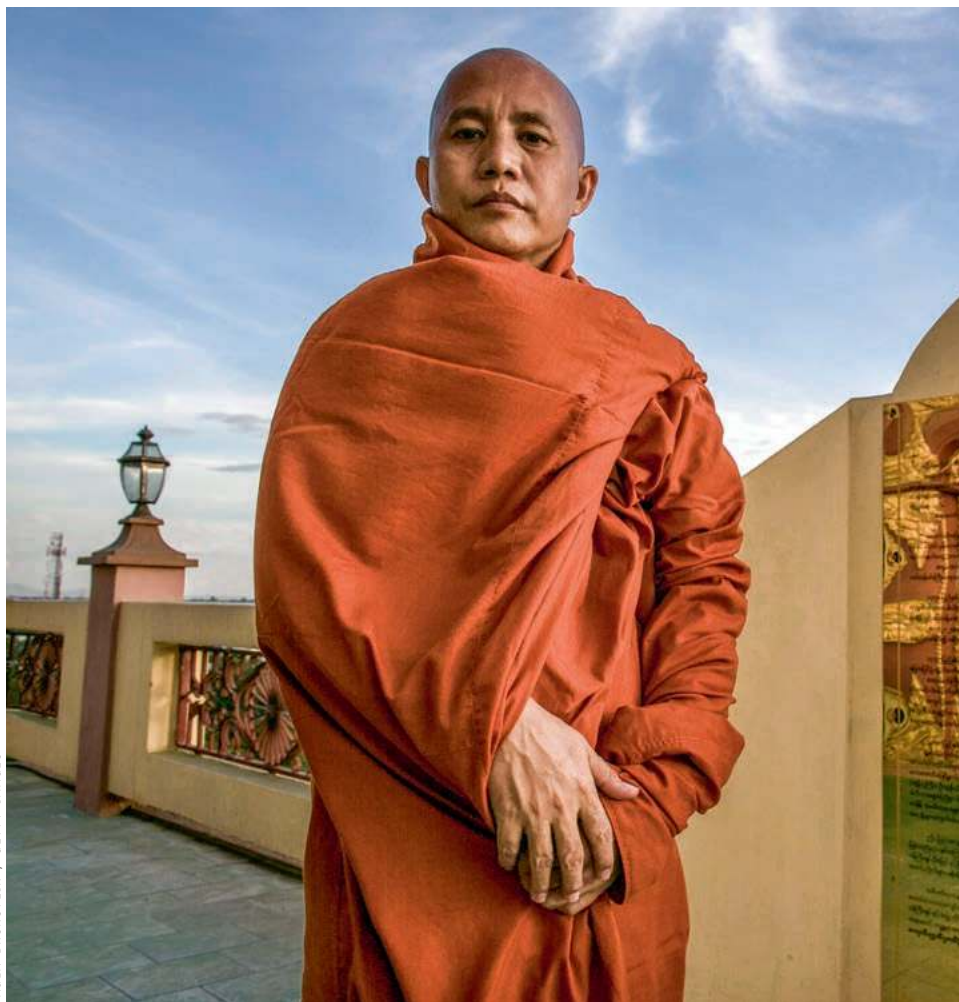
MAREK RABIJ

Birmańska armia po zamachu stanu legitymacji dla swej władzy szuka u radykalnych buddyjskich duchownych. Z aresztu wyszedł właśnie mnich, który nawołuje do mordowania muzułmanów.

CHĘTNIE POZUJE DO ZDJĘĆ W OKULARACH, ale dotąd nie dał się poznać jako znawca starożytnych buddyjskich traktatów. Przeciwnie, systematycznie zdarzają mu się gafy. Nie zasłynął też jako mówca, choć jego wystąpienia rzadko przechodzą bez echa, a na wiecach gromadzi wielotysięczne audytoria. Mimo że uważa się za pokojowego kaznodzieję, specjalnością Ashina Wirathu są ostre przemówienia, w których – jak mówią jego przeciwnicy – systematycznie przekracza granice gróźb karalnych lub – to już wersja zwolenników – wychodzi poza polityczną poprawność i po imieniu nazywa wrogów ojczyzny. Kiedy nazwał „zdzirą” wysłanniczkę ONZ krytykującą politykę Birmy wobec mniejszości etnicznych, oburzył zachodnią opinię publiczną. Ale w kraju zyskał w oczach tych, którzy uważają go za swojego trybuna.

Nie było to w końcu najostrzejsze z publicznych wystąpień 53-letniego mnicha, który wcześniej trafił do więzienia za nawoływanie do czystek etnicznych. Kolejny list gończy za Wirathu rozesłano w 2018 r., po zdelegalizowaniu współtworzonego przez niego stowarzyszenia Ma Ba Tha, które formalnie stało na straży integralności języka birmańskiego, rodziny i narodowych tradycji, a w praktyce lobbowało za prawną dyskryminacją muzułmanów i podlegało do aktów przemocy wobec nich.

PAULA BRONSTEIN / GETTY IMAGES



Zarzuty dotyczyły nie mowy nienawiści, lecz zniesławienia szefowej rządu Aung San Suu Kyi, której partia NLD od lat toczy z armią polityczną rozgrywkę na śmierć i życie. A jako że w Birmy resorty siłowe podlegają zgodnie z konstytucją wojsku, policja nie kwapiła się do ścigania duchownego oskarżonego o pomówienie noblistki. Ostatecznie Ashin Wirathu stawiał się do aresztu z własnej woli, na kilka dni przed ubiegłorocznymi wyborami parlamentarnymi, podrzucając w ten sposób rządzącej NLD gorącego politycznego kartofla. W kraju, w którym mnisi cieszą się olbrzymim autorytetem i jest ich ponad 300 tys., nie zbija się poparcia na aresztowaniu duchownego.

Covid za kratami

Na szczęście dla Suu Kyi Wirathu mocno przeszacował skalę swoich wpływów, bo mimo wsparcia, jakiego udzielał partii reprezentującej wojsko, listopadowe wybory z miażdżącą przewagą wygrała NLD. I zapewne siedziałby nadal w więzieniu,

gdyby nie zamach stanu przeprowadzony 1 lutego 2021 r., w którym wojsko odsunęło od władzy ugrupowanie Aung San Suu Kyi, a ją samą ponownie aresztowało. 6 września na wolność wyszedł za to Ashin Wirathu – z uwagi na stan zdrowia po ciężkiej infekcji covidowej, którą przebył za kratami, choć w Birmy mało kto wierzy w tę wersję.

Uwolnienie z aresztu radykalnego mnicha-nacjonalisty oznacza, że armia, która nigdy nie cieszyła się sympatią społeczeństwa – a po zamachu stanu stała się wrogiem publicznym numer jeden – spróbuje teraz legitymizować swoje rządy poprzez budzenie w społeczeństwie starych antyislamskich strachów. To zresztą jeden ze stałych socjotechnicznych trików generałów, którzy lubią eskalować kolejne napięcia tylko po to, by następnie samych siebie obsadzić w roli zbawców narodu.

Love dżihad u bram

Tym razem straszakiem jest demografia. Liczącą ponad 54 mln mieszkańców



*Lider buddyjskich nacjonalistów
Ashin Wirathu przed klasztorem Masoeyein,
Mandalaj, Birma, czerwiec 2013 r.*

Birmę zamieszkuje przeszło 130 mniejszości etnicznych, ale ok. 80 proc. ludności wyznaje buddyzm. Muzułmanie stanowią raptem 5 proc. populacji, do tego skoncentrowanej głównie na terytoriach pogranicznych. Tuż za zachodnią granicą Birmy rozciąga się jednak kraina byłego Bengalu, dziś podzielonego między Indie i Bangladesz, w którym mieszka ok. 250 mln wyznawców Proroka. Porównując kilka lat temu muzułmanów do wściekłego psa, przy którym nie sposób zasnąć nawet będąc „przepełnionym mądrością i miłością”, Wirathu celował właśnie w nastroje tej części społeczeństwa, która z niepokojem zerka w stronę zachodnich sąsiadów. „Muzułmański żywioł”, który rzekomo „przelewa się” nielegalnie przez granicę i pozbawia pracy Birmańczyków, zdaniem nacjonalistów stanowi śmiertelne zagrożenie dla świeżo uformowanej birmańskiej świadomości narodowej, której kluczowym składnikiem jest buddyzm.

Podobnie jak radykałowie z indyjskiego ruchu RSS (z tą różnicą, że muzułmanie

w Indiach stanowią już ok. 14 proc. ludności), Ma Ba Tha i jego kontynuatorzy chętnie mówią o zagrożeniu „love dzihadem”, czyli o rzekomej demograficznej ofensywie islamu, której celem mają być... młode dziewczęta innych wyznań. W wersji spiskowej hipoteza mówi o zaplanowanej w szczegółach akcji rozkochiwania ich przez czarujących (początkowo) muzułmańskich młodzieńców, którzy po założeniu mieszanych rodzin wychowują dzieci w duchu czysto islamskim.

To oczywiście nonsens, choć bazujący na danych statystycznych, z których wynika, że w nielicznych mieszanych rodzinach muzułmańsko-buddyjskich w Birnie potomstwo istotnie wychowywane jest najczęściej w wierze muzułmańskiej. Jeśli dodać do tego zauważalnie wyższą dzietność wśród wyznawców islamu (wynikającą głównie z gorszej sytuacji ekonomicznej takich rodzin), wystarczy już paliwa do wywołania tożsamościowych niepokojów, zwłaszcza w tak młodym i zróżnicowanym społeczeństwie jak birmańskie. W 2015 r. Ma Ba Tha udało się do tego stopnia rozbijać huśtawkę antyislamskiej histerii, że walczący o głosy w wyborach rząd wojskowych przyjął pakiet ustaw, które m.in. wprowadzały obowiązek uzyskania urzędowej zgody na ślub obywatelki Birmy z cudzoziemcem. Islamskie pary objęto z kolei nakazem wnioskowania do urzędów o pozwolenie na posiadanie więcej niż dwójki dzieci, kopiując po prostu rozwiązania wprowadzone wcześniej w Arakanie w stosunku do tamtejszych Rohingów. Petycję w tej sprawie, jak twierdzili działacze Ma Ba Tha, podpisało aż 2,5 mln osób.

Działalność radykałów pokroju Wirathu w gruncie rzeczy byłaby jednak groźnym, ale tylko politycznym pałkarstwem, gdyby nie stała za nią także głębsza religijna i filozoficzna podbudowa.

O nią na zlecenie junty dbają już bardziej światłe umysły.

Całkowanie zbrodni

30 października 2017 r. Aulę bazy wojskowej w miejscowości Ba-an wypełniają szczerlnie oficerowie birmańskiej armii, wszyscy na klęczkach i z rękami złożonymi do modłów. Przed nimi, pod białym

parawanem zasiadł właśnie przywitany przez dowódcę jednostki „Czcigodny, Wielki Nauczyciel Kraju i Władz” – bo taki tytuł przysługuje 80-letniemu mnichowi Sitagu, jednej z najbardziej rozpoznawalnych i szanowanych postaci birmańskiej wspólnoty buddyjskiej. Przemówienie będzie transmitowane także przez państwowe radio.

„Nie lękaj się, królu – zaczyna Sitagu, a lepiej wyształceni słuchacze w lot rozpoznają cytat. – Nie trap się, bo jeśli nawet pozbawiłeś życia milion ludzi, tak naprawdę zabiłeś tylko pół miliona istot ludzkich”.

Przywołany fragment pochodzi z jednego z kanonicznych tekstów buddyzmu, starożytnej „Wielkiej Kroniki”, opisującej początki państwowości na Sri Lance, a ściślej – z fragmentu opisującego panowanie buddyjskiego władcy Dutthagamaniego, który w I w. p.n.e. toczył krwawe wojny religijne z wyznawcami innych kultów. Już po zwycięstwie – jak głosi kronika – króla miały dopaść potworne wyrzuty sumienia z powodu złamania bodaj najważniejszej reguły buddyzmu, jaką jest *ahimsā*, czyli niestosowanie przemocy i szacunek dla każdego życia. Jak pogodzić polityczną konieczność z jednoznacznością nauk Buddy, które – jak inne wielkie systemy religijne tej części świata – łączą każde zabójstwo z konsekwencjami karmicznymi? Walcząc z przeciwnikami własnej religii król postąpił wszak słusznie, ale zarazem praktycznie pozbawił się w ten sposób szans na wyzwolenie spod jarzma sansary, cyklu kolejnych bolesnych narodzin i śmierci.

Widząc królewskie rozterki, do jego pałacu zstępują arahanci, byty, które dzięki wierności regułom buddyzmu wyzbyły się już ciała i tylko krok dzieli je od osiągnięcia pełnego oświecenia. To właśnie oni zdradzą zatroskanemu władcy kolejną prawdę: wojna w imię zachowania Dharmy, czyli fundamentalnych reguł buddyzmu i dla ratowania wspólnoty wyznawców, nie niesie ze sobą negatywnych skutków karmicznych. Choćby dlatego, że zgodnie ze słowami arahantów życie wyznawców innych religii warte jest powyżej połowę życia każdego buddysty.

Sitagu przywołuje ten cytat nieprzypadkowo, przemawia bowiem do korpusu oficerskiego oddziałów, które przez ostatnie dwa miesiące pacyfikowały graniczącą z Bangladeszem stan Arakan, na północy zamieszkiwany niemal

→ wyłącznie przez muzułmańskich Rohingów. Tamtejsza „operacja antyterrorystyczna” właśnie dobiegła końca: wojsko puściło z dymem ponad 350 rohińskich wsi i zamordowało ok. 25–30 tys. osób, w tym setki kobiet i dzieci. Na wieść o pogromach, wspieranych także przez miejscowych buddystów, ponad 730 tys. arakańskich muzułmanów w panice uciekło przez granicę do Bangladeszu. ONZ wkrótce nazwie to „podręcznikowym przykładem czystki etnicznej”.

Wielebny współczuje żołnierzom cięzaru, jaki wzięli na swoje barki. Zastrzega, że przywołane słowa są tylko cytatem ze starożytnego dzieła. Nie pochwała wprost czynów, jakich dopuścili się oficerowie i ich podwładni. Radzi im tylko, by w chwilach zwątpienia w sens swojej pracy szukali pociechy w bogatej doktrynie buddyjskiej. To niedopowiedzenie wystarczy, by nikt nie mógł oskarżyć go wprost o nawoływanie do czystek etnicznych, ale zarazem nie pozostawia też przestrzeni do interpretacyjnych niedomówień.

Tradycja buddyjska w tej części Azji obfituje przecież w przykłady mniej lub bardziej zawołowanego łączenia nauk Buddy z polityką spod znaku ognia i miecza: począwszy od indyjskich władców z dynastii Kuszanów, którzy pokonanych wrogów rzucali na zdeptanie słoniom owiniętych w grube sukno (doktryna mówi wszak dosłownie o zakazie

rozlewu krwi), aż po Walpołę Rahulę, najwybitniejszego przedstawiciela lankijskiej myśli buddyjskiej XX w., który nie miał wątpliwości, że w sporze islamskich Tamilów z Syngalezami wojsko ma moralne prawo stanąć właśnie po stronie buddyjskiej większości.

Zagubiona większość

W latach 70. i 80. XX w. Sitagu należał do zjadłych krytyków junty rządzącej wówczas Birmą. Jednocześnie sympatyzował z tzw. ruchem zaangażowanego buddyzmu, odłamek reformatorów głoszących postulaty zbliżone po trosze do katolickiej teologii wyzwolenia – przede wszystkim domagających się większego udziału wyznawców (i zwłaszcza mnichów) w życiu lokalnych społeczności. Pod jego kierownictwem birmańscy buddyści fundowali m.in. instalacje sanitarne i wyposażenie szpitalne w najuboższych rejonach kraju. Swoją działalnością – i bezkompromisowym stosunkiem do powszechnie pogardzanego reżimu – Sitagu zaskarbił sobie szacunek milionów Birmańczyków, ale też podpadł armii do tego stopnia, że zmuszono go do emigracji. Wrócił dopiero w latach 90., obiecawszy wojsku, że będzie trzymać się z dala od polityki.

Istotnie, gdy w 2008 r. cyklon Nargis zabił w Birmie ponad 138 tys. osób i spalił cały kraj, charyzmatyczny mnich znów dał się poznać jako przywódca na trudne czasy. Mobilizował

wtedy opinię publiczną do pomocy poszkodowanym, powtarzając rodakom, że „medytując nie usuniemy skutków katastrofy”. Ale gdy kilka miesięcy wcześniej, po drastycznych podwyżkach cen paliw, w kraju wybuchły zamieszki, które poparli masowo mnisi buddyjscy, Sitagu nie opowiedział się po stronie organizatorów, a swoim współpracownikom zabronił uczestnictwa w demonstracjach. Podobnie zachował się po lutowym zamachu stanu, odmawiając podpisu pod listem otwartym do generałów, w którym kilkudziesięciu znanych mnichów domagało się od junty tolerowania pokojowych demonstracji. Dopiero kilka tygodni później pozwolił sobie na dołączenie do apelu adresowanego do wywodzącego się z armii wiceprezydenta Min Aung Hlainga, w którym przypomniano mu o powinności bycia „dobrym buddystą”. Dokument nie doczekał się oczywiście publicznej odpowiedzi, co nie przeszkodziło wielebnemu uczestniczyć w kolejnych uroczystościach religijnych ramię w ramię z armijną wierzchuszką.

Dla dużej części birmańskich mnichów, którzy po zamachu stanu usiłują zachować pozory politycznej neutralności i dalej pracować dla swoich społeczności, polityczne zaangażowanie legendarnego konfratry zaczyna stanowić problem. Nie chodzi nawet o to, że duchowny coraz mocniej skręca w stronę antymuzułmańskiego radykalizmu, trudnego do pogodzenia z wyidealizowanym, pacyfistycznym postrzeganiem buddyzmu zagranicą, a politycznego pałkarza, jakim jest Wirathu, nazywa swoim towarzyszem. Obawy przed „love džihad” mogą przecież nie mieć pokrycia w rzeczywistości, ale to jeszcze nie znaczy, że nie odczuwa ich wielu Birmańczyków.

Znacznie powszechniejszym uczuciem jest natomiast nienawiść do armii, która w imię partykularnych interesów wyrzuciła demokratyczny stół, a teraz – co było łatwe do przewidzenia – kompletnie pogubiła się w bieżącym administrowaniu państwem. Gospodarka leży, podobnie opieka medyczna, a kraj zmaga się z kolejną falą covidu. Ludowa „teologia” Birmańczyków uczy tymczasem, że sytuacja w państwie zależy od moralności rządzących. Skoro idzie źle, to znaczy, że u władzy są źli ludzie. A tak się składa, że ich władzę legitymizuje dziś bodaj najbardziej szanowany birmański mnich.

© P MAREK RABIJ

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydziale Cywilnym, w sprawie o sygn. akt I Ns 205/21 z wniosku Kazimierza Niechaj toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierze Hodun, nazwisko rodowe Korkosz, c. Władysława i Marianny, zm. 19 stycznia 2019 r. w Chełmie, ostatnio stale zamieszkałej pod adresem: ul. Stolarska 9, 22-100 Chełm, w skład spadku po której wchodzi zabudowana nieruchomości, położona przy ul. Stolarskiej 9 w Chełmie.

Wzywa się spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 437/21 toczy się postępowanie z wniosku Marzeny Martowicz o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Przybyło, c. Władysława i Anieli, z d. Solecka, ur. 12 października 1939 r. w Lubenii, zm. 14 lipca 2021 r. w Brzozowie, stale przed śmiercią zamieszkałej w Sanoku. Zmarła pozostawiła testament w formie aktu notarialnego.

Wzywa się spadkobierców zmarłej, aby w terminie trzech miesięcy od chwili ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

ZUZANNA

Radzik: Seans zaklęć



LICZNIK BIJE, A REŻYSER UJAWNIAJĄCY CAŁĄ prawdę o wszystkim miękko snuje opowieść głosem aktora Zelnika. Nie, to nie recenzja z festiwalu w Gdyni. Tu dzieje się festiwal polskiej duszy, obiegu alternatywny, choć masowy, bo szybko pękło pół miliona odsłon filmu „Powrót do Jedwabnego”. Dodaję do tej puli swoją, z powodów służbowych. Trzeba czasem sprawdzić, co słyszą u braci antysemitów. Nudy tu zresztą, eksperci ci, co zawsze. Z nowości: trwale zatroskany o sposób stanowienia prawa szef Ordo Iuris. Co oni tu robią? Ach, w końcu to eksperci w temacie niejawnych sieciowań i budowania wpływu. Do komentowania rzekomego żydowskiego spisku jak znalazł.

Może gdyby czas był inny, to oglądania samizdatowej produkcji rewidującej historię nie traktowałabym jak ucieczki. Ale ponieważ na granicy urządzamy w lasach masowy grób i już nie wiadomo, co ze sobą zrobić, to uciekam, jak inni w Netfliksa. Ponieważ wszystko się kojarzy: las, w lesie głodni i zmarznięci uciekinierzy, donoszący na nich obywatela, mundurowi tylko pełniący obowiązki... Też chcę się ukoić w krainie baśni. Proszę mnie też umocnić i wyszeptać mi miękkim głosem, jacy jesteśmy szlachetni, szkalowani, padający ofiarą. Jak nie pozwolimy sobie wmówić, że Polak też człowiek, więc skłonny do zła i musi uważać. Nie, na tej ziemi ze zbrodni przeszłości ta nauka o kondycji ludzkiej nie płynie. My jesteśmy ubezwłasnowolnieni przez historię i niekochani od co najmniej zawsze. Poproszę o ten seans zaklęć i zapewnien. Niedowiarek ze mnie, ale może przerażona i zastraszona tym, co się dzieje, wykaramię się tą fantazją. Zamiast trwać w osłupieniu, że mój kraj i jego służby popełniają zbrodnię przeciwko ludzkości, odeśpię i odetchnę. W końcu my, Polacy, jesteśmy organicznie do zbrodni niezdolni. Nasi dzielni mundurowi też nie. Granatowych mundurów zbrodnia się nie ima. Żeby tylko potem nie było, jak ktoś tu wyczyta ironię, że szkaluję naród albo obrażam czyjegoś wujka. Tylko coś tam słyszałam, że różnie bywało.

„Mamy przejść do historii jako kraj współpracujący z nazistami?” – dziwi się w filmie narrator głosem Jerzego Zelnika. Spokojnie, mam ochotę go pocieszyć, bo zatroskany. Akurat piszemy sobie nową kartę historii, naszą własną, podmionową, bez okupacji i nie na kolanach. Choć prawdę mówiąc, szanse na poprawę wizerunku rysują się marnie, póki las pod Gibami – dotąd kwintesencja błogich wakacji i najlepszych pod lipcowym słońcem jagodzianek z Budwieci – zamienia się w masowy grób.

Niektórzy jeszcze pytają, gdzie jest w tym czasie episkopat. Na miejscu biskupów cieszyłabym się, że kogoś to wciąż interesuje. Mówią, żeby katolicy zrobili demo pod nuncjaturą. Albo napisali list. Myśmy się już nauczyli, że pisanie listów do biskupów w jakiegokolwiek sprawie to nie działanie. Biskupi jeszcze sądzą, że jak napiszą list do nas, a potem go cytują, to robią coś istotnego. I teraz medycy piszą do prymasa, licząc, że hierarcha może przebić mur obojętności rządzących, by pozwolili im ratować życie znajdujące się między poczęciem a naturalną śmiercią, więc zasadniczo w zakresie zainteresowania zarówno partii, jak i Kościoła. Prymas, odpisując ładnie i z właściwą sobie zawilnością, kończy: „Potrzebne są wspólne działania. Nie pozwólmy, by nasi bliźni cierpieli i umierali u naszych granic”. Jakies konkrety, jak? Jakies doprecyzowanie, kto owo niemogące pozwolić „my” stanowi?

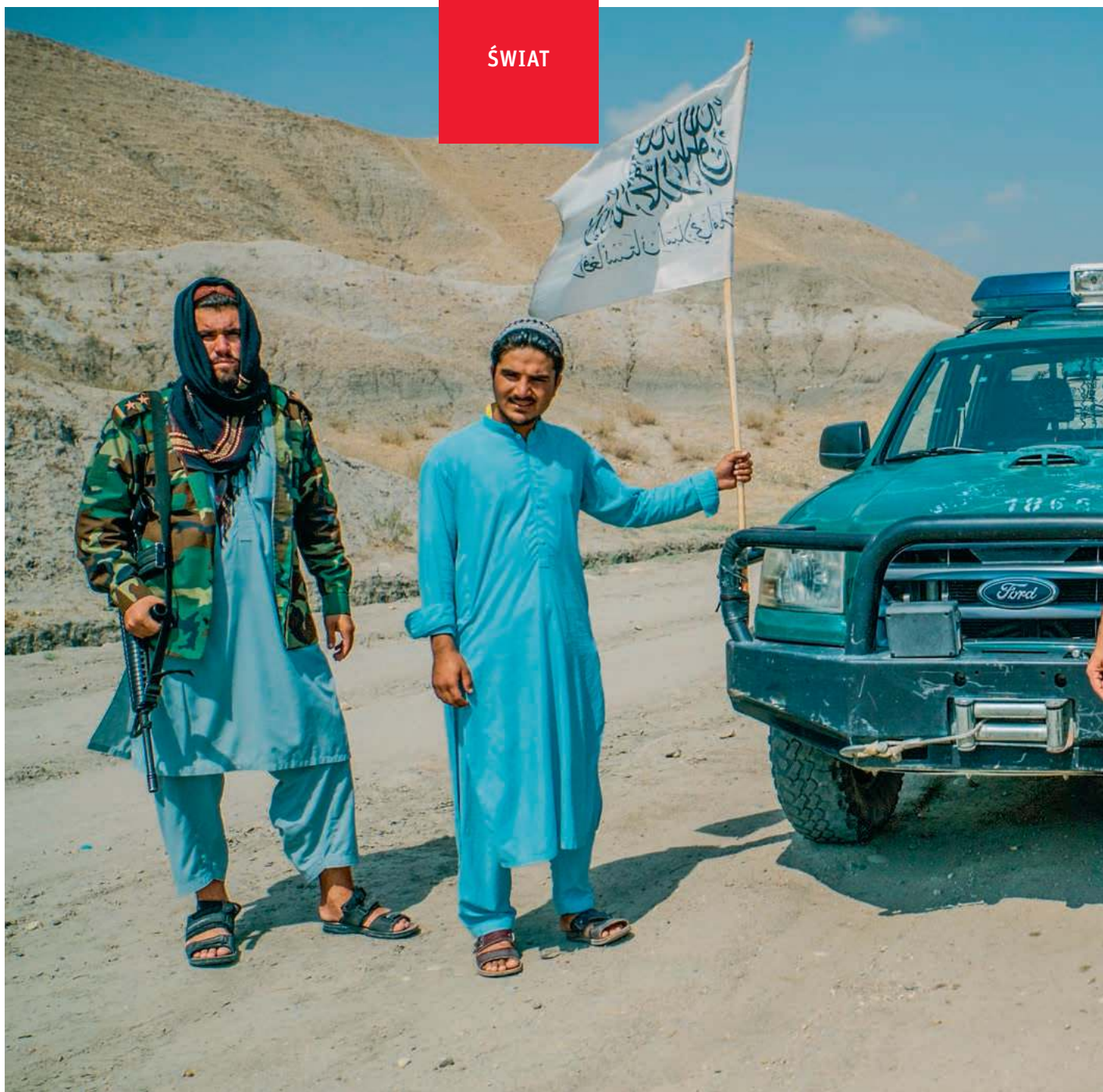
Może tu trzeba jak przy wypadku na drodze – nie wołać do tłumu, lecz dawać konkretne zadania konkretnym osobom? Na przykład tak: Księżu Prymasie, czy mógłby Ksiądz zainicjować spotkanie okrągłego stołu w sprawie kryzysu humanitarnego na granicach? Aktywiści nie mogą się doprosić, ale Ksiądz mógłby skrzyknąć wszystkich na naradę. Sala plenarna jest gotowa w episkopacie. Albo jeszcze inaczej: może trzeba jechać do tej strefy i nie odpuszczać, jak nie szosą, to leśnym duktem? Jechać i dać się choćby sponiewierać i aresztować, ale dać świadectwo? Już widzę te zdjęcia, gdy prymas przepasany arcybiskupim fioletowym pasem wciągany jest do policyjnej suki. Papież Franciszek lubi to.

A jakby koledzy purpuraci pytali, co Księdzu padło na głowę, to proszę im przypomnieć, że dopiero co na ołtarze wynieśli prymasa, który siedział w więzieniu. Myślał Ksiądz po prostu, że czasem tak trzeba. Na finał roku Wyszyńskiego będzie jak znalazł. ©

Sąd Rejonowy w Słubicach w sprawie pod sygn. akt I Ns 157/19, o stwierdzenie nabycia spadku po Zbigniewie Kunickim, zm. 21 października 2018 r., którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu był Kostrzyn nad Odrą, wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 411/21 toczy się postępowanie z wniosku Ireny Ewy Brody o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia prawa własności nieruchomości położonej w Zarszynie, składającej się z działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 1050, o pow. 0,1002 ha – zabudowanej budynkiem mieszkalnym, dla której w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS15/00043373/8.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, a w szczególności Franciszkę Chmiel, c. Józefa i Katarzyny, bądź jej spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.



ZACIĘTA MACHINA SYSTEMU

Po przejęciu władzy talibowie borykają się ze stworzeniem funkcjonującego państwa.

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIĄŻEK** Z PROWINCJI KABUL (AFGANISTAN)



TO RAPTEM KILKADZIESIĄT DOMÓW, szkoła, a przed nią nieduży sklep spożywczy w blaszanej budzie. Do wsi Kas Mirali Chel wiedzie wyboista droga gruntowa, po której zwykły samochód osobowy przedziera się z pewnym trudem. Ciężko uwierzyć, że wieś położona jest całkiem niedaleko od jednej z najbardziej ruchliwych tras w Afganistanie – tej łączącej stołeczny Kabul z miastem Dżalalabad, stolicą prowincji Nangarhar we wschodniej części kraju.

Choć formalnie Kas Mirali Chel od lat było pod kontrolą władz w Kabulu, w rzeczywistości była to strefa niczyja. Wieś znajdowała się za ostatnim posterunkiem sił rządowych, a przed pierwszym posterunkiem talibów. Na szczęście na obu stali ludzie pochodzący z tej okolicy i nie palali do siebie szczególną nienawiścią. Znali się, czasem nawet rozmawiali ze sobą przez krótkofalówki. Może dlatego w samej wsi nie dochodziło do walk. Groźba starcia wisiała jednak nieustannie w powietrzu.

W dystrykcie Surobi talibowie walczyli od lat i musieli nieustannie ukrywać się przed dronami i nalotami. Teraz wyszli z kryjówek i stali się władzą, wrzesień 2021 r.

– Mieliliśmy poczucie, że walki mogą wybuchnąć w każdej chwili, i że jeśli tak się stanie, stracimy nasze dzieci i domy – mówi 21-letni Mahmud Wali, właściciel sklepu w Kas Mirali Chel.

Sytuacja miała się zgoła inaczej za posterunkiem talibów. Stamtąd dochodziły złowieszcze odgłosy walk, które potęgowało echo niosące się wśród wzgórz. Szczególnie gdy talibów atakował dron czy samolot.

Znajdując się między zwaśnionymi stronami, nie tak łatwo było się zdecydować, po której stronie stanąć. 26-letni Mohammad Bilal nie miał jednak wątpliwości. Niemal pół roku temu przystąpił do Narodowego Dyrektoriatu Bezpieczeństwa, czyli służby bezpieczeństwa i agencji wywiadowczej. – Wybrałem stronę rządową, bo za nią stał system. Widziałem tam przyszłość – mówi dziś Bilal.

Obstawił nie tę stronę. Po czterech miesiącach jego służby rząd w Kabulu upadł, a władzę w kraju przejęli talibowie. – Teraz oni stali się systemem – mówi Bilal.

Pozostawiony w spokoju

Mężczyzna stoi przy sklepie, a obok kręca się talibowie. Nie wydaje się tym przejęty. A już na pewno nie jest przestraszony, że jego niedawna historia może wyjść na jaw.

– Oni wiedzą, czym się zajmowałem – mówi Bilal.

W dodatku obok niego stoi kuzyn, który twierdzi, że przez 20 lat był komandosem w armii rządowej. Większość czasu miał spędzić w sąsiedniej prowincji Logar.

Dwaj mężczyźni nie sprawiają wrażenia, jakby się ukrywali. Natomiast talibowie wydają się nie robić sobie nic z tego, że tamci kręcą się bezkarnie ani że udzielają wywiadu mediom. Jak twierdzi Bilal, większości jego znajomych, szeregowych pracowników służb państwowych, nie spotykają żadne problemy. Tylko część z nich musi się ukrywać, a jeszcze inni wyjechali.

Bilal nie tylko nie obawia się o własne bezpieczeństwo, ale wręcz podkreśla, że nareszcie zapanował spokój. Dopóki wieś znajdowała się między skonfliktowanymi stronami, ciągle obawiał się, że talibowie zrobią mu krzywdę. Na przykład →

→ że wyciągną go z samochodu albo porwą z domu. Po zapadnięciu zmroku lepiej było nie wychylać się poza własne cztery ściany.

Gdy ci, którzy za te incydenty odpowiadali, przejęli władzę w kraju, porachunki we wsi jakby automatycznie zostały wyrównane.

Państwowiec

Bilala martwi jednak co innego: perspektywa bezrobocia i malująca się ponuro przyszłość. – Wcześniej byłem sierżantem w Dyrektoracie Bezpieczeństwa, teraz nie mam pracy – mówi.

Za poprzedniej władzy sytuacja również nie była kolorowa. Kraj był nękany biedą, korupcją i nepotyzmem. Zresztą sam Bilal wie o tym najlepiej. Po ukończeniu licencjatu z prawa na jednym z prywatnych kabulskich uniwersytetów musiał wrócić do swojej wsi – miał dosyć ciasnego mieszkania, w którym musiał żyć wraz z żoną i dwójką dzieci, bo nie mógł się nigdzie przebić. Machnął na to ręką. Wolał przestronny dom rodzinny.

Mimo tych niedostatków, za poprzedniej władzy mógł coś zakładać. Nawet jeśli była to tylko obietnica stałej pracy, a tym samym w miarę regularnie spływającej pensji na jego konto.

Co się zmieniło w jego życiu po przyjsciu talibów? – Moje plany legły w gruzach i nie mam pojęcia, co mnie czeka – mówi.

Jeden system odszedł, ale drugi jeszcze nie powstał. Tymczasem dla Bilala istnienie systemu jest najważniejsze. On daje poczucie stabilności i wobec niego chce pozostać lojalny.

– Jak Bóg da, nowe władze będą mnie potrzebowały i wrócę do pracy. Nie ma znaczenia, kto rządzi, chcę służyć naszemu krajowi – dodaje.

Żołnierz w kolejce

Dzień przed tym, jak spotkałem Walego i Bilala, po trasie szybkiego ruchu – tej biegnącej w pobliżu Kas Mirali Chel –jechał 30-letni Amin Chan. Wybrał się ze swojej wsi w prowincji Nangarhar do stolicy, żeby wypłacić pieniądze z banku.

Do przejęcia władzy przez talibów Amin przez pięć lat służył w afgańskiej armii. Właśnie ostatni żołd wpłynął na jego konto. Wynosił 20 tys. afgani (równowartość 900 zł). To pieniądze, za które on, czterech braci, cztery siostry, dwie



30-letni **AMIN CHAN** od sześciu godzin stoi przed jednym z otwartych banków w Kabulu. Kilkudziesięciu mężczyzn próbowało dostać się do środka, by wypłacić pieniądze.

matki, ojciec, żona i dwójka dzieci mogą przeżyć miesiąc, a nawet dwa. Tylko on miał stałe zatrudnienie. Reszta rodziny uprawiała ziemię na własne potrzeby, co w połączeniu z jego zarobkami pozwalało najaść się im do syta.

– Bez mojej pracy trudno będzie się nam utrzymać – mówi Amin.

Podobnie jak dla Bilala, w kraju rządzonym przez talibów to bezrobocie, a nie nowe władze jest jego głównym zmartwieniem.

– Nie boję się ich. W końcu powiedzieli, że wszystkim wybaczą – ma nadzieję Amin.

Wątpi jednak, aby pozwolili mu znowu służyć. Dlatego zastanawia się, co ma teraz robić. Jest gotowy zaakceptować każdą pracę, do której ktoś zgodzi się go przyjąć.

Amin Chan musiał wyjechać z domu o świcie. Normalnie wypłacał pieniądze w oddalonym o godzinę drogi od jego wsi Dżalalabadzie, ale tam oddział banku jest zamknięty. Dlatego wybrał się dzieloną taksówką do Kabulu. Łącznie droga zajęła mu trzy i pół godziny.

Gdy go spotkałem, stał przed bankiem od sześciu godzin. Strażnicy przed wejściem sporadycznie wpuszczali kogoś z tłumu. Co jakiś czas, aby rozprościć zebranych, rzucali się na nich z biczami. Na tych, którzy znaleźli się w zasięgu, zamachiwali się z dużą siłą. Chan stał z boku, więc uniknął chłosty.

Bank wkrótce miał zostać zamknięty, a były żołnierz miał coraz mniejsze złudzenia, że tego dnia dostanie się do środka. – Nie sądzę, by dzisiaj udało mi się wypłacić pieniądze. Mam nadzieję, że zrobię to jutro – mówił Chan.

Nie miał gdzie nocować, więc planował przespać się gdzieś na ulicy, bo nie stać go na hotel. Noce w Kabulu na szczęście były jeszcze względnie ciepłe. Chan zamierzał przyjść następnego dnia rano, żeby być przed bankiem jako jeden z pierwszych.

Zeszłoroczne przychody

20 tys. afgani lub 200 dolarów – to tygodniowy limit wypłat z banków. Został wprowadzony po tym, jak Afgańczycy zaczęli masowo wypłacać pieniądze ze swoich kont, gdy w sierpniu talibowie rozpoczęli zwycięską ofensywę. Dzisiaj wiele banków nie ma już pieniędzy w gotówce, a cały sektor bankowy chyli się ku upadkowi.

Owszem, taki tygodniowy limit to dla przeciętnego Afgańczyka wysoka kwota, która wystarcza – jak w przypadku Chana – na tygodnie. Inaczej ma się jednak kwestia z większymi przedsiębiorcami, których środki zostały zamrożone, blokując ich zdolności do działania, tym samym groząc załamaniem afgańskiej gospodarki.

– Tylko w ciągu miesiąca państwo straciło miliardy afgani – mówi mi wysoko postawiony pracownik Banku Centralnego Afganistanu. – Obecne władze wydają zeszłoroczne przychody, ale co zrobią z budżetem na kolejny rok?

Mężczyzna prosi o zachowanie anonimowości, więc na potrzeby artykułu przedstawia się jako Sultanzaj.

Według danych Banku Światowego wcześniej aż 40 proc. afgańskiego budżetu stanowiły pieniądze z pomocy zagranicznej. Obecnie praktycznie całe wsparcie zostało wstrzymane. Ponadto aktywa Banku Centralnego Afganistanu – o wartości

ok. 9,5 mld dolarów, znajdujące się za granicami kraju, w znacznym stopniu w Stanach Zjednoczonych – zostały zamrożone. Jak pokazuje praktyka Iranu, takie środki mogą być blokowane przez dekady.

Problemem jest jednak także sytuacja gospodarcza w samym kraju. Podatki – niezależnie od rozmiaru przedsiębiorstwa – nie są ściągane. Nikt z kraju ani zagranicą nie inwestuje środków, bo sytuacja jest niepewna. Z tego samego powodu słabnie popyt wewnętrzny, a dobija go dodatkowo wstrzymanie pensji wielu pracowników i rosnące bezrobocie.

Wreszcie, znacznie ograniczono przewóz towarów przez granice z sąsiednimi krajami, a przez to skurczyły się wpływy z cła. W zasadzie większość wpływów państwa pochodzi obecnie z podatku dochodowego od pracowników sektora publicznego – tych, którzy wciąż otrzymują regularnie pieniądze.

Reset nie nastąpił

Choć kwestie gospodarcze będą najbardziej dotkliwe dla Afgańczyków, to – jak uważa Sultanzaj – problem jest szerszy.

– System padł i nie nastąpił jego reset – mówi.

Jako przykład podaje Bank Centralny, w którym wciąż pracuje. Od zmiany władzy w kraju instytucja działa na pół gwizdka. Zarząd i rada nadzorcza banku to obecnie ludzie, których Sultanzaj określa mianem niewykwalifikowanych i nie-doświadczonych. Jak dodaje, na szczęście przynajmniej część decyzji podejmują w konsultacji z pracownikami z wieloletnim stażem.

– Kierownictwo i rada banku to ludzie, którzy nie mają doświadczenia w bankowości, tylko w walce – mówi Sultanzaj. – Nie potrafią czytać ani pisać, znają tylko język przemocy. Czego pozytywnego możemy się po nich spodziewać?

Kobiety, który stanowiły mniej więcej jedną piątą personelu Banku Centralnego, usłyszały, że mają nie przychodzić już więcej do pracy. Niektóre z nich pełniły funkcje kierownicze. Dodatkowo od 20 do 20 proc. pracowników wyjechało z kraju lub przestało stawiać się w pracy. Jak twierdzi Sultanzaj, reszta została nie dlatego, że nie chciała wyjechać z Afganistanu, tylko dlatego, że nie miała ku temu okazji.

– Jeśli nie utrzymają naszych pensji na obecnym poziomie, będę pierwszą osobą, która wyjedzie. Wielu z nas tak myśli.



21-letni **MAHMUD WALI** przed swoim sklepem. Wieś, w której mieszka, znajdowała się między posterunkami sił rządowych i talibów.



26-letni **MOHAMMAD BILAL** był pracownikiem Narodowego Dyrektoriatu Bezpieczeństwa – służby bezpieczeństwa i agencji wywiadowczej. Teraz nie obawia się talibów, tylko bezrobocia, wrzesień 2021 r.

A to przecież jasne, że będą musieli obciążyć pensje, bo nie będzie pieniędzy – mówi. – Spędziłem lata na nauce na prestiżowych uniwersytetach. Sprawdzam, jakie są możliwości.

Bez odpowiedzi

To, że reset systemu nie nastąpił, wiadać też w dzielnicy rządowej w Kabulu. W połowie września – czyli miesiąc po przejęciu władzy przez talibów – wraz z inną dziennikarką odwiedziłem trzy ministerstwa.

Do Ministerstwa Edukacji próbowaliśmy się dostać dzień po tym, jak jego kierownictwo wydało oświadczenie, że dziewczyny nie będą mogły kontynuować nauki w szkołach średnich. Na rozległym terytorium nie było jednak nikogo, kto mógłby udzielić informacji na temat działań ministerstwa. Strażnik powiedział, że dopiero spotykają się dyrektorowie poszczególnych departamentów i instytucja wciąż nie działa.

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych spotkał nas pracownik zatrudniony jeszcze przez poprzednią ekipę. Widać, że dopiero niedawno zaczął zapuszczać brodę. W jego oczach malował się strach. Chciał jak najszybciej zniknąć z naszego pola widzenia. Powiedział, żebyśmy skontaktowali się ze służbą prasową, i podał numer telefonu (jak się potem okazało, zły). Na odchodnym powiedział, że chce stąd wyjechać, ale trzymają go jako zakładnika. Nim zdążyliśmy zapytać, co ma na myśli, skreślił w jeden z korytarzy.

Ostatecznie okazało się, że tylko minister może udzielać komentarzy mediom, ale nie było go w budynku. – Nie bądźcie rozczarowani. To dopiero początek – powiedział strażnik, gdy opuszczaliśmy teren tego urzędu.

Z kolei w Ministerstwie Finansów strażnik od razu powiedział nam, że kobieta nie może wejść. Mimo że, podobnie jak ja, była akredytowana przez talibskie już Ministerstwo Informacji i Kultury, co uprawniało ją do pracy na terenie Afganistanu.

Afganki, które próbowały się tam dostać, też nie zostały wpuszczone. Gdy chcieliśmy porozmawiać z jedną z nich, podszedł do nas strażnik i powiedział: – Jeśli to zrobicie, stanę się dla was najgorszą osobą na świecie.

Spod Ministerstwa Finansów także odeszliśmy z niczym.

Typowy proces

Brak kadr wydaje się obecnie największym problemem, z którym mierzy się Afganistan pod rządami talibów. Z czego nowe władze chyba zdają sobie sprawę – zapraszają bowiem byłych pracowników do podjęcia na nowo pracy. Wydzwanają nawet do lepiej przeszkolonych funkcjonariuszy Narodowego Dyrektoriatu Bezpieczeństwa i proszą, aby wrócili. A w więzieniach, w których talibów spotykały okropności, mają pracować dawni strażnicy. Na granicach lądowych bojownicy niezbyt radzą sobie z kontrolą paszportów. Znaleźli się nagle w świecie, którego dotychczas nie znali. Teraz już nie tylko muszą walczyć o sprawę, ale trzymać w ryzach całe państwo. To trudna i niewdzięczna praca.

W wiosce Kas Mirali Chel właściciel sklepu Mahmud Wali podchodzi do tego ze zrozumieniem. Jak dotychczas nie doszło tam do wielu zmian systemowych. – To typowy proces. Jak zmienia się władza, to wszyscy stajemy się bezrobotni – ocenia.

W głosie Walego nie słychać złości, irytacji czy rozczarowania. Wydaje się pogodzony z takim losem. Przynajmniej groźba wojny odsunęła się od jego wsi, a może i zupełnie zniknęła.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Aleksiej nie składa broni

FILIP RUDNIK ZE LWOWA

Wobec groźby uwięzienia młodzi Białorusini opuszczają kraj, a częsty kierunek ich ucieczki to Ukraina. Oto historia jednego z nich. I człowieka, który im pomaga.

OD RAZU ZAPYTAM: PODAĆ WERSJĘ OFICJALNĄ czy nieoficjalną? Jest taka, którą możemy opowiedzieć wszystkim. Ale jest też druga, ta prawdziwa – mówi Sasza (imię zmienione). Po zapewnieniu, że jego personalia nie zostaną opublikowane, kiwa głową uspokojony.

Zanim uciekł na Ukrainę, 24-letni Białorusin pracował jako kucharz w jednostce wojskowej. Gdzie, tego woli nie podawać.

Rozmawiamy w starej kamienicy we Lwowie, w której pomieszczenia podnajmuje Białoruskie Centrum Kryzysowe: założone przez białoruskich dysydentów, pomaga rodakom, którzy zostali zmuszeni do emigracji.

Prowodyr

– 10 sierpnia tamtego roku, dzień po wyborach prezydenckich, wracałem do domu z urodzin przyjaciela – wspomina Sasza. – Przechodziłem przez plac, na którym spacerowali ludzie, jak w zwykłe popołudnie. Nagle zajęchały dwa auta, mercedes i volkswagen. Wyskoczyli z nich mundurowi w kominiarkach, bez żadnych oznaczeń, i zaczęli losowo wylapywać przechodniów. Bez różnicy, stary czy młody, kobieta czy mężczyzna. Wrzucali ich do samochodów, po czym odjechali.

Sasza wspomina, jak ktoś zaproponował, żeby w odpowiedzi stworzyć ludzki łańcuch, że w ten sposób milicjanci nikogo nie wyciągną. Zebrało się ich może trzydziścioro. Wzięli się pod ramiona, zaparli. Po chwili oba auta wróciły, wyskoczyli mundurowi. – Ten, który próbował mnie złapać, chyba mnie polubił – uśmiecha się Sasza. – Niby ciągnął, ale jakoś tak słabo. Zażartowałem: ty co, pod ołtarz mnie ciągniesz, obrączki nie zapomniłeś?

Ale to był ostatni moment na żarty. Gdy ktoś kopnął milicjanta, funkcjo-

nariusze wyjęli pałki. Bili na oślep, łańcuch słabł. Sasza przekonuje, że to nie był żaden protest polityczny, nikt nic nie skandował. W obliczu ataku OMON-u (oddziałów specjalnych milicji) ludzki łańcuch zaczął wznosić jedno hasło: „Milicja z narodem!”. Niewiele pomogło.

– Pracowałem z wojskowymi, wiem, co to milicyjna pałka – dodaje Sasza. – Te OMON-owskie są inne. W środku jest zamontowana armatura, żeby sprawiać więcej bólu. Jednym uderzeniem można złamać kręgosłup. Wcześniej nie słyszałem, żeby zamach milicyjnej pały przecinał powietrze. Teraz słyszałem ten świst. Bili jak leci.

Sasza zobaczył, jak cios otrzymuje jedna z jego znajomych. Dziewczyna, jak to ujęto potem w sądowych aktach, pod wpływem ciosu „wypróżniła się”. Wtedy rzucił do reszty, że trzeba brać nogi za pas, inaczej ktoś może stracić życie. – A potem w sądzie stwierdzili, że to ja koordynowałem protest – dodaje.

Aleksiej

– Oto i Lwów! – rzuca po ukraińsku Aleksiej Franckiewicz, założyciel tutejszego Białoruskiego Centrum Kryzysowego. Wchodzimy na podwórko kamienicy. W porównaniu z fasadami, które przed chwilą mijaliśmy (Centrum mieści się niedaleko lwowskiej opery), kontrast jest mocny: podwórko jest zaniedbane, z murów odpada tynk.

Centrum to raptem kilka małych pomieszczeń, z poczekalnią jak w przychodni, gdzie na parapecie ktoś zostawił plastikową gęś. Z Aleksiejem rozmawiamy w jego gabinecie. Biurko, stary komputer, nieustannie brzęczący telefon i jedyna ozdoba: biało-czerwono-biała flaga na ścianie. – Staramy się zapew-

nić uchodźcom prawną i codzienną pomoc. Wysłać ich dzieci do przedszkola i szkoły, wynająć mieszkanie, kupić leki, znaleźć pracę. Co drugi nasz podopieczny potrzebuje też leczenia psychologicznego ze względu na stres pourazowy. Często nie mają pieniędzy, bo uciekali w pośpiechu. Każdemu pomagamy, jak możemy.

Rozmawiamy przy otwartych drzwiach. Po korytarzu ciągle ktoś się krząta, a Aleksiej co chwila przerywa rozmowę, by odebrać telefon.

Centrum to jego inicjatywa, powstało w styczniu tego roku: – Na Ukrainie znalazła się masa Białorusinów, którzy porzucili kraj ze względu na prześladowania polityczne. Trzeba było stworzyć jakąś platformę, która pomogłaby im w zorganizowaniu sobie życia po ucieczce czy w staraniach o azyl gdzieś indziej. Na Białorusi wnioskować o wizę nie mogą, bo każdy, wobec którego otwarto postępowanie karne czy administracyjne, nie może przekroczyć granicy. Dlatego muszą się znaleźć w miejscu, z którego będą mogli to robić.

Ucieczka

Także Sasza jest podopiecznym Centrum.

Tamtego dnia, gdy ludzie się rozpierzchli, milicjanci wystrzelili granaty hukowe. Jeden wybuchł przed nim. – Odłamki poharatowały mi nogę. Upadłem, tłum odciągnął mnie, ktoś wezwał taksówkę i zawieźli mnie pod dom. Widziałem na jedno oko, w drugie trafił odłamek. Sąsiedzi wyjęli go pęsetą. Gdyby nie to, pewnie nie miałbym oka – wspomina.

Następnego dnia Sasza został zatrzymany i wywieziony do innego miasta. W więzieniu na powitanie został pobity. Usłyszał: 10 dni aresztu. Myślał, że to koniec.

– Do grudnia dali mi spokój, ale potem na wniosek prokuratury moją sprawę przekwalifikowano, jak setki innych. Dostałem do wglądu cztery tomy akt śledztwa. Oskarżyli mnie o koordynację protestów, blokowanie ulicy i naruszenie porządku publicznego.

Skazano go na dwa lata prac przymusowych, w kolchozach bądź na budowie. W kwietniu przypadkowy „koordynator” protestów pojechał na drugi koniec kraju, by tam odbyć wyrok. Wspomina: – To było jak więzienie, tylko za pokój dzielony z innymi osadzonymi i za jedzenie musiałem płacić.



ROBERT BARCA

Aleksiej Franckiewicz, założyciel Białoruskiego Centrum Kryzysowego we Lwowie, sierpień 2021 r.

W czerwcu dowiedział się, że prokurator wnioskuje o ponowne rozpatrzenie jego sprawy ze względu na nieadekwatność kary względem winy. Sugerowany wyrok: trzy lata więzienia. To przesądziło, że zdecydował się opuścić kraj: – Długo się nie zastanawiałem. Już wcześniej znałem ludzi, którzy organizują ucieczki. Dogadałem się z nimi, że odbiorą mnie w konkretnym miejscu. Pojechałem do domu, zabrałem parę rzeczy: dokumenty, telefon, ładowarkę, trochę pieniędzy, brzytwę. Wszystko pochowałem w osobne foliówki. Myślałem, że może trzeba będzie jakąś rzekę przepłynąć. Na szczęście obyło się bez tego.

Podróż do Lwowa trwała trzy miesiące. Białoruś najłatwiej opuścić przez Rosję, bo kontrola graniczna jest tam nieszczelna. Sasza początkowo chciał osiąść w rosyjskim mieście blisko granicy. Jednak latem Rosjanie zaczęli dokonywać ekstradycji ściganych przez Mińsk Białorusinów, więc zdecydował się na dalszą ucieczkę. Do rodziny zadzwonił dopiero ze Lwowa. Będąc wcześniej w Rosji, bał się, że FSB go namierzy i wyda białoruskim służbom.

– Nie wiem, co dalej się ze mną stanie. Może Polska, może Litwa? Chciałbym wrócić do kraju, tam jest rodzina i przyjaciele. Ale naprawdę nie wiem, jak to będzie.

Perspektywy

Aleksiej Franckiewicz mówi, że na Białorusi trwa dziś operacja mająca na celu nastraszenie społeczeństwa. Stąd przekwalifikowywanie spraw karnych. Łukaszenka pojął, że polityczni więźniowie to świetny materiał do targów z Zachodem, można ich wypuszczać w zamian za ustępstwa. Ci, którzy nie chcą siedzieć, niech się salwują ucieczką.

– Proszę zaznaczyć, że nie jesteśmy białoruską diasporą. Diaspora to ci, którzy wyjechali i nie chcą wracać do kraju – podkreśla Franckiewicz. – To zresztą najgorsze: wyjeżdżają ci najbardziej aktywni. Studenci, lekarze, informatycy. Ludzie, których kraj potrzebuje. Ich emigracja to ślepy zaułek dla całego państwa.

Franckiewicz przytacza statystyki. W tym roku akademickim po rekrutacji pozostało 7 tys. miejsc na bezpłatnych studiach, na które nie było chętnych; nie-

dobór lekarzy szacuje się na 10 tys. osób. To oficjalne liczby, w rzeczywistości jest pewnie gorzej. Aleksiej mówi, że aby dostać receptę, jego matka musi ustawić się w kolejce do przychodni o piątej rano.

I nie kryje pesymizmu. – Opozycja, w tym Swiatłana Cichanouska, w czasie sierpniowych protestów mówiła, że wygraliśmy – wspomina gorzko. – Teraz mówi, że nie przegrywamy. Ale skąd oni to biorą? W ciągu 26 lat istnienia reżim Łukaszenki zastawił pułapkę na wszystkich obywateli. Telefon, łódzka, mieszkanie, telewizor: wszystko na raty. Każdy Białorusin to zakładnik systemu. Jeden fałszywy krok i tracisz pracę. Gdy rozmawiam ze znajomymi, którzy zostali w kraju, co drugi planuje ucieczkę.

Zagrożenie

Według obliczeń ukraińskich służb od sierpnia 2020 r. na Ukrainę wjechało ponad 100 tys. Białorusinów. Dla wielu Kijów czy Lwów to przystanek, chcą jechać dalej, na Zachód.

Aleksiej Franckiewicz jest wdzięczny Ukraińcom, że umożliwiają uciekinierom legalny pobyt. Za brak pomocy finansowej ich nie wini. Przypomina, że Ukraina wciąż prowadzi wojnę. Jego ośrodek utrzymuje się głównie z indywidualnych wpłat. – Pomagamy wszystkim – podkreśla. – Dziś zadzwonił do mnie pracownik prokuratury. Jest już na Ukrainie z całą rodziną. Nie chce mówić konkretniej, bo władze wciąż nie wiedzą, że on uciekł. Jego żona nie wytrzymywała już ciągłego strachu. Za każdym razem, jak słyszała, że na piętrze otwierają się drzwi do windy, myślała, że idą po nich.

Ale po opuszczeniu kraju poczucie zagrożenia nie mija. Stąd anonimowość Saszy i fakt, że podopieczni Centrum nie upubliczniają nazwisk i wizerunków. Chcą zniknąć z „radarów” białoruskich służb.

Zapytany o zagrożenia, Franckiewicz wzrusza ramionami: – Fantazja reżimu jest wręcz poroniona, gdy idzie o przesładowania przeciwników. Nikt nie mógł przewidzieć, że Łukaszenka będzie gotów uprowadzić europejski samolot, żeby pochwycić Ramana Pratasiewicza i zmusić go do kolaboracji. Albo że w kijowskim parku przechodnie znajdą martwego Białorusina.

Chodzi o Witala Szyszowa: w sierpniu znaleziono go powieszzonego na drzewie. ➔

→ Szyszow prowadził w Kijowie Dom Białoruski, tak jak Franckiewicz pomagał rodakom, którzy uciekli. Białoruska opozycja uważa, że Szyszowa zamordowano na rozkaz Łukaszenki. Po jego śmierci Ukraińcy zaproponowali Franckiewiczowi ochronę.

– Nie zgodziłem się, to by nic nie zmieniło – mówi. – Od dawna wiadomo, że nie trzeba być na Białorusi, aby coś się stało komuś, kto działa na rzecz prześladowanych. Choć to odległe sprawy, wystarczy spojrzeć na otrucie Skripalów. Ponoć byli chronieni, a i tak Kreml próbował ich zabić. I to w Wielkiej Brytanii!

Bezsilność

Pracy we lwowskim Centrum Kryzysowym jest coraz więcej. Franckiewicz mówi, że na tydzień przed naszą rozmową do Lwowa przyjechały 23 turystyczne autobusy z Białorusi. Gdy wracały, w każdym brakowało po kilku pasażerów. Wyjechać z kraju jest coraz trudniej – ludzie wiedzą, że ucieka im czas, dlatego muszą szybko podejmować decyzje.

Aleksiej Franckiewicz widzi, że protesty doprowadziły do narodzin białoruskiej świadomości narodowej w kontrze do reżimu. Problem w tym, że prócz tego nie ma innych powodów do optymizmu. Patrzy bezsilnie, jak Łukaszenka terroryzuje społeczeństwo i ułatwia Rosji proces faktycznej aneksji kraju. A ewentualna utrata suwerenności Białorusi może oznaczać koniec marzeń o powrocie. Tylko jak się temu przeciwstawiać?

Zapewnia jednak, że nie zamierza składać broni. I nie porzuca nadziei, że kiedyś ktoś odpowie za los Saszy i tysięcy innych przetrąconych życiorysów.

Mówiąc to, Franckiewicz wskazuje na plastikową gęś na parapecie. – Jak gdaka gęś? – pyta z cierpkim uśmiechem. – Ga-aga, ga-aga! Czyli po rosyjsku Haga, gdzie sądzą takich zbrodniarzy jak Łukaszenka. Oby gęś wyróżzyła mu przyszłość.

© FILIP RUDNIK

Współpraca NINA SOBOTOVIČOVÁ
(SME.SK)

Cena sceptycyzmu

MARTA ZDZIEBORSKA

Na sparaliżowanej wariantem Delta amerykańskiej prowincji spełnia się czarny scenariusz: ludzie umierają, choć w większości przypadków mogli tego uniknąć.

SAMANTHA WENDELL, 29-LATKA Z GRAND RIVERS w stanie Kentucky, nie stała na ślubnym kobiercu. Zamiast tego w dniu planowanej ceremonii walczyła o życie. Zmarła 10 września, po trzech tygodniach spędzonych na oddziale intensywnej terapii. Samantha byłaby dziś szczęśliwą mężatką, gdyby nie zwlekała z przyjęciem szczepionki na koronawirusa. A zwlekała, bo przeczytała w internecie, że rzekomo atakuje ona łożysko, co może prowadzić do poronienia lub bezpłodności.

Gdy zmieniła decyzję i zapisała się na szczepienie, było za późno. Zdażyła jeszcze wybawić się na wieczorze panieńskim, ale na kilka dni przed terminem ślubu zachorowała na covid i trafiła do szpitala z obustronnym zapaleniem płuc. Jej najbliżsi twierdzą teraz, że Samanthę zabiła dezinformacja w mediach społecznościowych, i apelują do swoich znajomych, by nie powtórzyli jej błędu i jak najszybciej się zaszczepili.

Szpitala na krawędzi

W USA nie brakuje bowiem sceptyków: pod koniec września w pełni zaszczepionych było 56 proc. Amerykanów, co było najgorszym wynikiem w grupie G7, zrzeszającej najbogatsze kraje świata (w tym czasie w pełni zaszczepiło się 64 proc. Niemców i ponad 65 proc. Brytyjczyków, a w Portugalii 85 proc. – to światowy rekord; w Polsce tylko 52 proc.).

Sceptycyzm ten jest szczególnie silny na amerykańskiej prowincji, m.in. w słabo zaludnionych stanach Północnego Zachodu i na Południu, gdzie odsetek zaszczepionych jeszcze do nie-



dawna przekraczał ledwie 40 proc. Właśnie w stanach z niższym poziomem wyszczepienia dochodzi dziś do pandemicznego paraliżu służby zdrowia. Szpitale w Idaho, Montanie i na Alasce są tak przeciążone, że wprowadzono procedury dopuszczające racjonowanie opieki medycznej, w tym podjęcie decyzji najtrudniejszej: kto ma uzyskać dostęp do respiratora.

W Idaho wytyczne są jasne: w pierwszej kolejności ratowane mają być dzieci do 17. roku życia i kobiety w ciąży, a potem dorośli – odpowiednio od młodszych do starszych. Na oddziałach intensywnej terapii brakuje respiratorów, łóżek i personelu. Dziennik „Washington Post” opisuje przypadek St. Luke’s Health System – największej sieci szpitali w Idaho – gdzie do czasu, aż zwolni się respirator, lekarze wentylują pacjentów ręcznie. Na zatłoczonych oddziałach chorzy lokowani są w niemonitorowanych pomieszczeniach, gdzie w razie pogorszenia się stanu zdrowia pacjenta personel ma mniejsze szanse na szybką reakcję.

Panaceum na covid

Wiele szpitali w Idaho odwołuje też planowe operacje, a pacjenci „necovidowi” coraz częściej trafiają do placówek w sąsiednich stanach. Największe obciążenie przeżywiają szpitale w stanie Waszyngton, co doprowadziło do furii tamtejszego gubernatora Jaya Inslee. „Nasi cho-



JON CHERRY / GETTY IMAGES

Sanitariusz z Metro Emergency Medical Services w Louisville, Kentucky, transportuje pacjenta chorego na covid, 13 września 2021 r.

rzy mają odwoływane operacje, bo przeżywamy szturm pacjentów z Idaho, którym nie chciało się zaszczepić i nosić maseczek. Przestańcie zapychać nasze szpitale!” – wypalił Inslee w wywiadzie dla telewizji MSNBC. Skrytykował też gubernatora Idaho Brada Little’a za to, że mimo rosnącej liczby hospitalizacji nie wprowadza nakazu noszenia maseczek w miejscach publicznych i restrykcji dotyczących zgromadzeń.

Sfrustrowany sytuacją jest też Brad Bigford. Pielęgniarka z Boise, stolicy Idaho, ostatnio jeździ głównie do domów niezaszczepionych pacjentów zakażonych koronawirusem. W rozmowie z „Tygodnikiem” tłumaczy, że przed wzrostem zakażeń miał wolne terminy z dnia na dzień. Dziś ma wypełniony grafik z tygodniowym wyprzedzeniem i głowi się, jak dostać nowe butle z tlenem, które stały się towarem deficytowym. Problemem jest też wrogość ze strony chorych. Brad mówi, że stają się agresywni, gdy pyta ich, dlaczego się nie zaszczepili, lub gdy odmawia im podania iwermektyny – leku zwalczającego pasożyty u ludzi i zwierząt.

Choć środek ten nie został zatwierdzony do leczenia covidu (trwają testy kliniczne), wśród antyszczepionkowców w USA jest on reklamowany jako cudowne panaceum na koronawirusa. Korzystają na tym internetowe witryny sprzedające leki.

Groźby i błagania

W przypadku Ashley Carvalho, lekarki ze szpitala w Caldwell, 45-tysięcznym mieście w Idaho, odmowa podania iwermektyny skończyła się groźbami. Ashley opowiada „Tygodnikowi”, że zięć chorego sugerował jej, iż wróci do szpitala z bronią, jeśli ona nie przepisze „tego, co trzeba”. Nie zgadzał się też na podanie tabletki remdesiwiru – leku przeciwwirusowego stosowanego w leczeniu covidu. Ostatecznie awanturującego się mężczyznę wyprowadziła ochrona szpitala.

– Toczyłam z nim niepotrzebną dyskusję w czasie, gdy jego teść miał trudności ze złapaniem oddechu – mówi Ashley Carvalho. – To jest obezwładniające, podobnie jak fakt, że ten pacjent nie musiał do nas trafić. Wystarczyło się zaszczepić. Choć mamy szczepionkę, nasze szpitale przeżywają obecnie rekordowy napływ chorych.

– Ludzie umierają na własne życzenie – lekarka nie kryje złości i dodaje, że jej szpital ma tak duże obłożenie, iż niekiedy do dyspozycji personelu pozostają jeden lub dwa wolne respiratory. Ponad 90 proc. chorych trafiających na oddział intensywnej terapii to niezaszczepieni. Podobne statystyki podaje sieć szpitali St. Luke’s Health System – tam stanowią oni nawet 98 proc.

Ashley mówi, że większość jej pacjentów nie zdecydowała się na szczepienie, bo, jak tłumaczyli, nie wierzyli, iż opra-

cowane w ciągu niespełna roku preparaty są bezpieczne. Nie brakuje też zwolenników teorii spiskowej, że szczepionki zawierają mikrochipy służące władzom do śledzenia obywateli. Ci najbardziej radykalni twierdzą, że koronawirus nie istnieje i że mają ostre zapalenie płuc.

Ashley najbardziej boją sytuację, gdy chorzy błagają ją o podanie szczepionki. Wtedy jest jednak za późno. – Na moich oczach umierają trzydziesto- i czterdziestolatkowie, którzy przed zakażeniem nie mieli problemów ze zdrowiem. Gdy trafiają na intensywną terapię, wymagają natychmiastowego podłączenia do respiratora. W większości przypadków wirus wykańcza ich płuca lub nerki. Nie mają szans na przeżycie – tłumaczy Carvalho.

Wskaźnik wyszczerpienia w hrabstwie Canyon, gdzie znajduje się jej szpital, wynosi 39 proc. Ashley przyznaje, sytuację pogarszają lokalni lekarze, którzy rozsiewają szczepionkową dezinformację.

Kto umiera częściej

W połowie września usłyszały o nim całe Stany: chociaż Ryan Cole, patolog z Idaho, kpi z noszenia maseczek i straszy powikłaniami po szczepionce (twierdzi, że wywołuje raka i choroby autoimmunologiczne), to ostatnio został wybrany na członka stanowej rady ds. zdrowia publicznego. Zdaniem komentatorów decyzja ma podłoże polityczne: Cole, promowany przez Partię Republikańską, objął wakat po lekarzu, który wbrew woli większości opowiadał się za zaostrzeniem pandemicznych restrykcji.

Panującą w Idaho atmosferę dobrze oddaje niedawna wypowiedź zastępczyni gubernatora Janice McGeachin, która zasugerowała, że „to zaszczepieni pacjenci, a nie antyszczepionkowcy są bardziej narażeni na śmierć wywołaną powikłaniami po COVID-19”.

Szykując się do walki o fotel gubernatora w 2022 r., Republikanka McGeachin krytykuje swego wewnątrzpartyjnego rywala Brada Little’a, który w obliczu rosnącej liczby zakażeń i hospitalizacji zaczął zachęcać mieszkańców do szczepień. McGeachin woli z elektorem nie zadzierać i pisze na Twitterze, że każdy mieszkaniec Idaho „ma prawo do podejmowania

→ własnych decyzji w sprawach zdrowotnych”.

Bez covidu nie przyjemy

– Tak dzieje się, gdy polityka zwycięża nad troską o życie ludzi – denerwuje się Jerry Hendershot. Nauczyciel z liceum w Boise mówi „Tygodnikowi”, że retoryka lokalnych polityków trafia do wielu jego republikańskich sąsiadów i znajomych, którzy konsekwentnie odmawiają szczepienia. To duży problem także w jego szkole: rodzice uczniów awanturowują się z powodu obowiązku noszenia maseczek i restrykcji dotyczących niezaszczepionych nastolatków. Jerry przywołuje przypadek 17-letniej licealistki, która nie mogła pojechać na wycieczkę szkolną do Nevady, bo jej matka nie zgadza się na zaszczepienie córki.

Przez długie miesiące sceptyczny do przyjęcia szczepionki był też 85-letni ojciec Jerry’ego. W końcu się przemógł, co być może uchroniło go od jeszcze większych komplikacji zdrowotnych. W ciągu ostatnich trzech miesięcy dwa razy trafiał bowiem do szpitala z zapaleniem płuc. Gdy pod koniec sierpnia znów wylądował na ostrym dyżurze, tym razem z zapadniętym płucem, w szpitalu nie było ani jednego wolnego łóżka. Ojciec Jerry’ego otrzymał pomoc na miejscu, po czym natychmiast został odesłany do domu.

– Na szczęście system jest jeszcze na tyle wydolny, że dostaliśmy kontakt do pielęgniarki, która doglądała tatę w domu – mówi Jerry. – Ale wciąż zadaje sobie pytanie, co będzie, jeśli mój ojciec znów będzie potrzebować pomocy? Przecież sytuacja w szpitalach już teraz jest dramatyczna.

Antyrekorde na Alasce

Podobne obawy co Jerry mają mieszkańcy Alaski. Pod Providence Alaska Medical Center – największym szpitalem na całej Alasce, mieszczącym się w Anchorage, stolicy stanu – ustawiają się dziś długie kolejki samochodów. Chorzy mają czekać na zewnątrz, bo w poczekalni nie ma wolnych miejsc. Od kilku tygodni szpital nie jest też w stanie przyjmować pacjentów z bardziej odległych i gorzej wyposażonych placówek.

Według zestawienia dziennika „New York Times” z 29 września, na Alasce odnotowuje się dziennie 176 nowych zakażeń na 100 tys. mieszkańców. To najwyższy wskaźnik w całym kraju. W ciągu



BRAD BIGFORD spotyka się z wrogością, gdy odmawia podania leku na pasożyty, który uchodzi za panaceum na covid.



ASHLEY CARVALHO najbardziej boli, gdy chorzy błagają ją o podanie szczepionki. Wtedy jest już jednak za późno.

dwóch ostatnich tygodni liczba zakażeń w tym zaledwie 728-tysięcznym stanie podwoiła się, a od początku lipca wzrosła aż dwudziestokrotnie.

Z powodu koronawirusa w całym kraju umiera dziś ponad 2 tys. osób dziennie. To niemal tyle, co podczas szczytu pierwszej fali w kwietniu 2020 r. Najwięcej zgonów notuje się w Alabamie i na Florydzie. W obu tych stanach spada już jednak powoli liczba zakażeń i hospitalizacji, podobnie jak w większości rejonów na amerykańskim Południu.

Od początku epidemii do minionego wtorku, 28 września, na covid zmarło 693 tys. Amerykanów.

Nakazy i wytrychy

Aby powstrzymać ten ostatni wzrost zakażeń, dotykający w dużej mierze niezaszczepionych, prezydent Joe Biden ogłosił w połowie września obowiązek szczepień dla ok. 100 mln ludzi: pracowników administracji federalnej, dużych firm i lekarzy. „Długo byliśmy cierpliwi, ale ta cierpliwość właśnie się skończyła. Tu nie chodzi o wolność. Chodzi o ochronę siebie samego i otaczających ciebie ludzi” – mówił Biden do sceptyków.

Wielu z nich próbuje jednak obejść ten obowiązek i odmawia szczepienia, powołując się na przekonania religijne. Associated Press donosi, że tak zrobiło m.in. 2,6 tys. policjantów z Los Angeles, a także

3,8 tys. urzędników w stanie Waszyngton oraz 1,7 tys. pracowników służby zdrowia w kalifornijskim hrabstwie San Diego. Sytuację wykorzystują tacy obrotni duchowni jak pastor Jackson Lahmeyer z Sheridan Church w Oklahomie, który wystawia zaświadczenia o członkostwie w jego wspólnocie w zamian za wpłacanie darowizn.

W niektórych rejonach, jak stan Nowy Jork, powołanie się na względy religijne nie jest akceptowane: tu o zwolnienie z obowiązku szczepienia można ubiegać się tylko w przypadku przeciwwskazań medycznych. „New York Times” pisze, że wprowadzony przez Białą Dom nakaz może prowadzić do fali zwolnień. Np. jeden ze szpitali w Buffalo straci nawet 400 pracowników, co zmusi placówkę do odwołania planowych zabiegów.

Z kolei w sieci szpitali w Arkansas znaleziono sposób na szczepionkowych sceptyków. Aby sprawdzić, czy pracownicy rzeczywiście kierują się względami religijnymi, poproszono ich, by podpisali specjalne oświadczenie. Mają się w nim zobowiązać do nieprzyjmowania ok. 30 leków, m.in. na ból głowy i niestrawność, które produkowane są z użyciem linii komórkowych z abortowanych płodów. Właśnie ten argument podnoszą niektórzy sceptycy, wzbraniając się przed przyjęciem szczepionki (wspomniane linie komórkowe wykorzystano do produkcji szczepionek firm Johnson&Johnson i AstraZeneca).

Rozumienie wolności

Walki Białego Domu z pandemią nie ułatwiają republikańscy gubernatorzy, którzy zapowiadają, że zaskarżą w sądach wprowadzony przez Bidena nakaz szczepień (do tej pory zrobiła to tylko Arizona). Ron DeSantis z Florydy grozi, że nałoży grzywnę na władze miast i hrabstw wymagających od pracowników zaszczepienia się. Inni twierdzą, że nakazywanie czegoś obywatelom to „przejaw autorytaryzmu” i „atak na ciężko pracujących Amerykanów”.

Republikańscy gubernatorzy Dakoty Południowej i Missisipi przekonują wręcz, że sprzeciw wobec nakazu szczepień to „walka o wolność”. Tyle że tak rozumiana wolność ma swoją cenę. Płacą ją także zaszczepieni Amerykanie, którzy mają problem z dostaniem się do szpitali zapchanych przez chorych na covid.

© MARTA ZDZIEBORSKA



DANNY LAWSON / PA / EAST NEWS

Tom Hoggard, właściciel rodzinnej farmy Howe Bridge w Yorkshire, martwi się brakiem rąk do pracy. W najbliższych tygodniach, przed Halloween, musi zebrać ponad 50 tysięcy dyń. Wrzesień 2021 r.

Czekając na zimę

PATRYCJA BUKALSKA

Kolejki na stacjach benzynowych, zdenerwowani kierowcy, apele o pomoc wojska: to Wielka Brytania u progu jesieni. Brexit jest ważnym, ale nie jedynym źródłem problemów.

RZĄD PREMIERA BORISA JOHNSONA USPOKAJA: nie ma mowy o brakach paliwa i jak tylko Brytyjczycy przestaną jeździć w panice od stacji do stacji, tankując pod korek i uzupełniając na zapas kanistry (popyt na nie w ciągu kilku dni poszybował w górę o 1700 proc!), sytuacja wróci do normy.

W pewnym sensie Johnson ma rację. Wielka Brytania faktycznie nie cierpi na brak benzyny czy oleju napędowego. Brakuje jednak kierowców cystern, którzy przewożą je z rafinerii do stacji paliw. W ogóle brakuje kierowców ciężarówek dostawczych – i także na sklepowych półkach co rusz czegoś nie ma, bo opóźnia się dostawa.

Jednak brak jajek czy sałaty wygląda mniej spektakularnie niż kolejki setek

aut i nagrań bójek, które w tychże kolejkach wybuchały. Jedno i drugie to przejaw tego samego problemu – w Wielkiej Brytanii brakuje ludzi do pracy. Brexit zrobił swoje, a pandemia sytuację pogorszyła. Choć trzeba powiedzieć, że i wcześniej w wielu branżach było źle.

Do brytyjskiej listy kłopotów można dziś dopisać jeszcze rosnące ceny gazu, opóźnienia w dostępie do lekarzy specjalistów i planowanych zabiegów, no i wciąż wysoką liczbę zakażeń mutacją Delta.

Gdy w lipcu na Wyspach zniesiono prawie wszystkie covidowe restrykcje, liczone na piękne lato i powrót do normalności. Lato właśnie się skończyło, jesień przyspiesza, w Szkocji temperatury spadają nocami niemal do zera, a zderzenie

z nową normalnością jest bolesne. Wielka Brytania szykuje się na trudną zimę.

Gdy puszczaają nerwy

Zaczął się od przygotowanego dla rządu raportu o sytuacji firm paliwowych, który wyciekł do mediów. W raporcie tym jedna z firm miała przyznawać, że obawia się problemów logistycznych z powodu braku kierowców.

To wystarczyło, aby Brytyjczycy tłumnie ruszyli na stacje benzynowe – mechanizm znany z początków pandemii, gdy wykupywano papier toaletowy. Teraz w pierwszych dniach wrześniowej gorączki na niektórych stacjach sprzedawano kilkakrotnie więcej paliwa niż zwykle. Kolejki ustawiały się nawet w środku nocy, wprowadzono ograniczenia co do ilości paliwa, które mogła kupić jedna osoba. Niektóre stacje zamykano. Nerwy puszczały, dochodziło do rękoczynów, panika z każdym dniem rosła – mimo zapewnień rządu, że nie ma do niej podstaw.

Z pewnością jest jednak – jak już wspomniano – olbrzymi problem z kierowcami ciężarówek dostawczych, w tym cystern. Brakować ma ich w Wielkiej Brytanii ok. 90-100 tysięcy. I choć ludzie do pracy w tym zawodzie jest na Wyspach za mało od lat, to dopiero teraz kumulacja ➔

→ pandemii i brexitu ukazała dramatyzm sytuacji.

Mimo to ministrowie uważali początkowo, że problem został stworzony sztucznie, zwłaszcza przez media, które rozdmuchały sprawę. Ostatecznie zdecydowano się na wydanie 5 tys. wiz pracowniczych (ale tylko na okres trzech miesięcy) dla kierowców z zagranicy gotowych przyjechać na Wyspy. To oni mają usprawnić łańcuch dostaw i – jak podkreśla brytyjska prasa – „uratować święta”. Czy tak się stanie? To już zupełnie inne pytanie.

Exodus do Europy

Wcześniej, przed brexitem i pandemią, problem braku kierowców ciężarówek „łatali” częściowo Europejczycy z kontynentu, a ich liczba za kierownicami wielkich dostawczych wozów rosła: w 2010 r. było ich 10 tys., w 2017 r. już 45 tysięcy.

Zbliżający się brexit skłonił do opuszczenia Wysp kilka tysięcy z nich, jednak to w czasie pandemii nastąpił *exodus*: od marca do czerwca 2020 r. liczba kierowców z kontynentu zmalała do 25 tys., aby pod koniec 2020 r. nieznacznie wzrosnąć, do 28 tys. osób. To znaczy, że ci, którzy w czasie pandemii wyjechali do domów na kontynencie, zdecydowali się nie wracać. Być może wpłynęły na to restrykcje utrudniające podróż – wystarczy przypomnieć olbrzymie kolejki TIR-ów, które utknęły na Wyspach pod koniec grudnia 2020 r., nie mogąc przedostać się sprawnie do Francji. A być może – i to bardzo prawdopodobne – jednak brexit, który po okresie przejściowym stał się faktem 1 stycznia 2021 r.

Od tego momentu przekraczanie granicy brytyjskiej jest bardziej czasochłonne i wymaga mnóstwa dokumentów, a podjęcie pracy na Wyspach wiąże się z obowiązkiem uzyskania pozwolenia na pobyt lub wizy pracowniczej. Tymczasem kierowca ciężarówki równie łatwo może znaleźć dziś pracę w Europie kontynentalnej – bo tutaj również ich brakuje – i to za porównywalne wynagrodzenie.

Boris Johnson może więc wyrażać nadzieję, że trzymiesięczne wizy ściągną na Wyspy kierowców z kontynentu, ale wielkich szans na to nie ma. Szeroko cytowany Edwin Aterna z holenderskiego przedstawicielstwa związkowców mówi wprost, że Europejczycy nie pojadą do Wielkiej Brytanii na takich krótkoterminowych wizach, żeby „pomóc się wygrze-

bać Brytyjczykom z bajzlu, za który sami są odpowiedzialni”.

Prawo do toalety

Praca kierowcy na brytyjskich drogach jest coraz mniej atrakcyjnym wyborem nie tylko dla Europejczyków z kontynentu, ale też dla Brytyjczyków. Od lat zwracają oni uwagę na kiepską infrastrukturę drogową na Wyspach. Wymieniany jest brak bezpiecznych miejsc, gdzie można zaparkować i odpocząć w trasie. A jeśli już takie miejsca się znajdują, pobierane są tam za postój wysokie opłaty. Tymczasem we Francji miejsca parkingowe dla TIR-ów są bezpłatne.

W sondażu przeprowadzonym w listopadzie 2019 r. przez Unite, wpływowy brytyjski związek zawodowy, niemal 90 proc. ankietowanych przyznawało, że rzadko lub nigdy nie ma na miejscu postojowym dostępu do toalety czy umywalki. Sytuacja pogorszyła się w czasie pandemii – kierowcy narzekali, że z powodu obostrzeń sanitarnych nie są wpuszczani do wnętrza budynków lub w czasie wyładunku muszą czekać całą grupą w jednym odizolowanym pomieszczeniu; nie zawsze mogli też skorzystać z łazienki na stacjach benzynowych.

Byli tym rozgoryczeni, bo w sferze publicznej przedstawiano ich jako bohaterów, dzięki którym w czasie lockdownu żywność trafia do sklepów, ale z drugiej strony bywali traktowani jak trędowaci. Ten dyskomfort, którego doświadczali i nadal doświadczają na co dzień, jest podawany jako jedna z przyczyn odchodzenia z zawodu. „Chodzi o szacunek” – mówi.

List od premiera

Brexit i pandemia to główne powody, dla których ubyło kierowców na brytyjskich drogach. Jest jednak jeszcze jeden – emerytura, na którą wielu odeszło w ostatnim czasie. Według Road Haulage Association to czynnik równie istotny jak brexit.

Jak się okazuje, średnia wieku kierowcy ciężarówki w Wielkiej Brytanii to 55 lat. Niedługo zatem kolejni kierowcy, teraz 50- i 60-letni, będą myśleć o emeryturze. Według tygodnika „The Economist” w ciągu najbliższych pięciu lat zdecyduje się na to aż jedna trzecia wszystkich brytyjskich kierowców. Ktoś musi ich zastąpić, a tylko jeden procent czynnych kierowców ma mniej niż 25 lat. W czasie pandemii przeprowadzano też

bardzo mało egzaminów dla kierowców, więc nie przybywało nowych.

Związki zawodowe wskazują, że do zmiany sytuacji potrzebne jest przede wszystkim gruntowne poprawienie warunków pracy, tak aby nie brakowało do niej chętnych. Boris Johnson bardziej jednak liczy na siłę perswazji – do prawie miliona osób, które posiadają prawo jazdy odpowiedniej kategorii, lecz nie pracują już jako kierowcy, ma zostać wysłany list od premiera z apelem o powrót do tej pracy. Listy dostaną kierowcy na emeryturze, ale też ci, którzy zdecydowali się np. przesiąść z TIR-ów na mniejsze samochody dostawcze – takimi nie muszą jeździć w długie trasy i spać na poboczu.

Bardziej przekonujące niż list mogą być argumenty finansowe. Stawki dla kierowców poszły w górę, a wiele przedsiębiorstw, np. sieć marketów Tesco, oferuje znaczące sumy już za samo podpisanie umowy.

Kto ma zbierać kapustę

Choć kolejki na stacjach benzynowych i perspektywa paraliżu kraju w spektakularny sposób zwróciły uwagę na sytuację w branży transportowej, to nie tylko tam pracodawcy borykają się z problemem braku rąk do pracy. Obszarem, gdzie o pracownika najtrudniej, jest rolnictwo.

Mimo że niełatwo tu o konkretne liczby, to według ostatnich danych tego lata w pracy sezonowej przy zbiorze warzyw i owoców nie udało się znaleźć chętnych na ponad 34 proc. miejsc pracy, natomiast aż 11 proc. zrekrutowanych w lipcu pracowników nie stawiało się do pracy.

Ze względu na sezonowy charakter pracy w rolnictwie sektor ten w znacznym stopniu opiera się na pracy imigrantów. Według danych Migration Advisory Committee z 2018 r. wśród pracowników sezonowych aż 99 proc. pochodziło z krajów Unii Europejskiej, więc efekt brexitu jest tu dotkliwie odczuwany. W ostatnim czasie co prawda wzrosła liczba Brytyjczyków zatrudniających się na farmach (do 9 proc. ogółu zatrudnionych w 2020 r.), ale i tak warzywa i owoce zbierają głównie Rumuni i Bułgarzy, Węgrzy, Czesi, Białowie i oczywiście Polacy.

To statystyki. A jak wygląda sytuacja „na dole”, w jednej z farm? Ali Capper, która prowadzi rodzinne gospodarstwo



DARREN STAPLES / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Brytyjskie firmy transportowe cierpią na brak pracowników. Na zdjęciu: szkolenie nowych kierowców ciężarówek w GTG Training Ltd. w Wolverhampton, wrzesień 2021 r.

Stocks Farm w Suckley, opowiadała lokalnej prasie, że w lipcu zaczęła szukać pracowników do zbiorów jabłek, planowanego na koniec sierpnia. Potrzebowała 70 osób. Na jej ogłoszenie odpowiedziało dziewięć, z czego na rozmowę w sprawie pracy przyszła jedna. Nie było szans na pozyskanie miejscowych – Ali Capper musiała prosić o pomoc agencję, która ściągnęła ludzi z Rosji, Ukrainy, a nawet z Uzbekistanu.

W hrabstwie Lincolnshire w jednym z gospodarstw oferowano za godzinę zbierania kapusty i brokułów aż 30 funtów – z nadzieją na znalezienie siły roboczej na miejscu. Niektórzy farmerzy, jak hodowca malin w Yorku, któremu nie udało się znaleźć chętnych do pracy, zdecydował się oddać swoje owoce za darmo, wpuszczając na pola wszystkich chętnych, gotowych własnoręcznie zbierać je na własny użytek.

Wszyscy podkreślają, że ten rok był wyjątkowo trudny.

Imigrant pilnie potrzebny

W sierpniu Narodowy Związek Rolników (National Farmers Union, NFU) razem z innymi organizacjami branżowymi przygotował raport o sytuacji w rolnictwie i przetwórstwie. Zaproponowano w nim m.in. wprowadzenie specjalnych 12-miesięcznych wiz covidowych (Covid-19 Recovery Visa), które miałyby pomóc w trudnej sytuacji na rynku pracy wywołanej brexitem i pandemią.

W ostatnich dniach września NFU i jego partnerzy napisali już bezpośrednio do premiera – o warzywach i owo-

cach, które nie trafiają do konsumentów, bo nie ma ich kto zebrać, spakować, przetworzyć i przewieźć do sklepów, a także o marnowaniu żywności każdego dnia i o tym, że wprowadzenie ich propozycji dotyczących wiz jest sprawą naprawdę pilną, bo już teraz część przedsiębiorców musiała ograniczyć lub przerwać działalność. Podkreślają, że rekrutacja pracowników z zagranicy jest konieczna, by przeżyć zimą.

Pracowników potrzebują też hotele, restauracje, domy opieki, szpitale. Na rządowej liście poszukiwanych zawodów są nawet archeologowie i baletnicy. W czasie szczytu pandemii, gdy wiele firm nie działało i zamknięte były restauracje oraz sklepy, tego braku nie było tak bardzo widać. Dopiero teraz – po zniesieniu restrykcji i otwarciu gospodarki – okazało się, że w międzyczasie do swoich ojczyzn mogło wrócić ponad milion zagranicznych pracowników. Nie wiadomo, czy zdecydują się na powrót na Wyspy.

Jak (znowu) uratować święta

W ubiegłym roku zmęczonym restrykcjami Brytyjczykom Boris Johnson obiecał piękne święta Bożego Narodzenia. Restrykcje miały być poluzowane, łącznie z umożliwieniem rodzinnych spotkań przy tradycyjnym indyku. Jednak wówczas tym planom stała na przeszkodzie wysoce zaraźliwa mutacja wirusa, przez jakiś czas nazywana „brytyjską” (jako że najpierw odnotowano ją właśnie tutaj), a potem przechrzczona na zwłóat Alfa.

W tym roku Brytyjczycy znów z niepokojem wyglądają świątecznego sezonu.

Braki paliwa i zakłócone dostawy to, jak ostrzegają handlowcy, poważne ryzyko pustych półek. O ile problem nie zostanie szybko rozwiązany, mogą być kłopoty z kupieniem nawet zabawek dla dzieci pod choinkę. No i ceny mogą pójść w górę.

Zapobiegliwi już teraz kupują świąteczne dekoracje. Zagrożone są też tradycyjne świąteczne potrawy, jak wspomniany indyk czy choćby brukselka. Indyków będzie mało, bo hodowcy ograniczyli ich liczbę, bojąc się, że nie będą mieli pracowników do uboju. Brukselka, wiadomo – ktoś musi ją zebrać. Do tego w brytyjskich domach może być chłodniej i ciemniej, bo wzrosły ceny prądu i gazu.

Pandemia też się jeszcze nie skończyła – od dłuższego już czasu codziennie notuje się ok. 35 tys. nowych infekcji (głównie mutacją Delta) oraz ponad sto zgonów. Pewną pociechą może być konstatacja, że poprzedniej zimy, gdy liczba zakażeń Alfą była na podobnym poziomie, dziennie umierało ponad tysiąc ludzi – radykalne zmniejszenie liczby umierających to efekt masowych szczepień.

Byle zachować spokój

Jak z innej epoki brzmią dziś słowa, które Johnson wygłosił w Greenwich na początku lutego 2020 r. – kilka dni po tym, jak kraj opuścił Unię Europejską. Odnosząc się do brexitu, premier mówił o „kontrowersji na literę »b«”, która „znika w przeszłości za nami”. I o tym, że „mamy szansę, mamy świeżo odzyskaną władzę, wiemy, dokąd chcemy iść, właśnie tam, w świat”. W jego wizji, pełnej odniesień do dawnej morskiej dominacji, miała to być dla Wielkiej Brytanii wielka podróż. „Jeśli będziemy odważni (...), to wierzę, że odniesiemy olbrzymi sukces”, sukces „dla Brytanii, dla naszych europejskich przyjaciół i dla świata” – deklarował.

Miesiąc później covid zbierał już żniwo we Włoszech, a wkrótce dotarł na Wyspy Brytyjskie. Pandemia na długo zepchnęła na dalszy plan i brexit, i globalne ambicje premiera. Teraz Brytyjczycy muszą zmierzyć się z podwójnym wyzwaniem. Ich słynne powiedzenie „Keep calm and carry on” – zachowaj spokój i rób swoje – może być znowu najlepszą receptą na nadchodzące miesiące.

© PATRYCJA BUKALSKA



DWÓCH HETMANÓW I SUŁTAN

Ogień ich armat był huraganowy. Ale Turcy, którzy 170 lat wcześniej zdobyli Konstantynopol i odtąd parli przez Europę, nie byli w stanie sforsować chocimskich okopów.

MACIEJ MÜLLER

400 LAT TEMU, PÓŹNYM WIECZOREM, w namiocie dowódcy zebrali się pułkownicy i starszyzna kozacka. Jan Karol Chodkiewicz prowadził naradę, leżąc na łóżku. Dla zebranych było jasne, że to jego ostatnie chwile. Był 18 września 1621 r., trzeci tydzień obrony

warownego obozu wojsk Rzeczypospolitej pod Chocimiem przed armią sułtana Osmana II.

Śmiertelnie chory hetman postanowił dodać ducha tracącym nadzieję podwładnym. Zaczął przewrotnie: „Czy nie lepiej będzie wycofać się spod Chocimia?”

– zapytał. Zapadła cisza. Dlaczego ten, który kilka dni wcześniej gromił doradców gotowych zawrzeć „łada jaki pokój, byle tylko pewny”, zadał takie pytanie? W końcu wystąpił dowodzący Kozakami Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny: „Lepiej jest uczciwie za ojczyznę umierać, niżeli



„Chodkiewicz pod Chocimiem”, obraz Józefa Brandta z 1867 r.

brać się do ucieczki, niegodnej ludzi rycerskich i żelzywej, tak niebezpiecznej!”. Na ustach Chodkiewicza dał się zauważyć słaby uśmiech. Bo oto pozostali dowódcy zaczęli prześcigać się w zapewnieniach: „Wytrwać, nie ustępować placu, niechaj się pan hetman nie frasuje!”.

Wiść o naradzie rozniosła się po obozie. Żołnierze, równie zmęczeni i głodni co ich wodzowie, poczuli, że odżywa w nich duch. Byli gotowi dalej walczyć: za hetmana, za Rzeczpospolitą, za chrześcijaństwo. Byli przecież teraz jego przedmurzem. Dosłownie.

Droga do wojny

Niespełna sto lat wcześniej, w 1526 r., Sulejman Wspaniały zniszczył pod Mohaczem węgierską armię Ludwika Jagiellończyka [patrz „TP” nr 35/2021 – red.]. Król zginął, a kraj, który przez kilka dekad osłaniał Europę przed zagrożeniem tureckim, pogrążył się w wojnie

domowej. Zmniejszyła się odległość granic Turcji od Rzeczypospolitej: buforem były już tylko państwa naddunajskie: Wołoszczyzna (dziś centralna Rumunia) i Mołdawia.

Tuż przed Mohaczem dyplomaci Zygmunta Starego wynegocjowali przedłużenie rozejmu, a w 1533 r. zawarto w Stambule (niedawnym Konstantynopolu) pokój. Być może do wojny doszłoby w latach 80. XVI w., gdyby króla Stefana Batorego nie uśmierciła choroba nerek. Pochodził on z Siedmiogrodu i marzył o wyzwoleniu ojczyzny spod władzy sułtana. Prowadził z papieżem rokowania o powołaniu międzynarodowej koalicji mającej wyprzeć Turcję z Europy. Przerwała je śmierć króla w 1582 r.

Batory słusznie przeczuwał, że prędzej czy później Rzeczypospolitej grozi konflikt z Turcją. Coraz mocniej uzależniała oba państwa gospodarczo (księstwa) nadunajskie, a w 1594 r. postanowiła je

anektować. Dwór krakowski nie mógł na to pozwolić – Dniestr stałby się granicą z Turcją. Na południe ruszył hetman Jan Zamoyski z misją osadzenia na tronie mołdawskim powolnego Rzeczypospolitej hospodara. Udało się, ale intryga rozjuszyła Turków. Zamoyski okopał się w obozie warownym pod Cecorą, a po dwóch dniach bezskutecznych tureckich szturmów podpisano traktat: odtąd hospodara miał wyznaczać król, a potem miał on składać hołd lenny sułtanowi.

Przeciąganie liny w kwestii kontroli nad Mołdawią i Wołoszczyzną, którego ta uгода nie zakończyła, nie było jedynym powodem pogarszania się relacji z Turcją. Król Zygmunt III Waza wiązał się coraz silniej z Habsburgami, przywódcami bloku państw katolickich. Na Turków działało to jak płachta na byka, bo Wiedeń był głównym wrogiem Osmanów.

→ W 1618 r. w Europie wybuchła wojna trzydziestoletnia. Rzeczpospolita w niej nie uczestniczyła, ale król wsparł Habsburgów, wysyłając oddziały lisowczyków (lekkiej kawalerii) na odsiecz Austrii. W 1619 r. lisowczycy wkroczyli do Siedmiogrodu, co zmusiło księcia Bethlena Gábor, lennika Turcji, do zwinienia oblężenia Wiednia (stąd mówi się nawet o pierwszej odsieczy wiedeńskiej).

Ale konflikt miał też przyczyny, nad którymi król i sułtan nie mieli kontroli.

Dzikie Pola

Na południe od porohów, progów skalnych na Dnieprze, ciągnęły się ziemie stepowe należące do Rzeczypospolitej. Od XV w. Dzikie Pola – tak je nazwano – przyciągały awanturników, zbiegłych chłopów czy szlachciców uciekających przed prawem. Zwano ich uchodnikami. W miarę, jak w Rzeczypospolitej rósł ucisk chłopów, zwiększało się zbiegostwo. Można tam było spotkać nawet przybyszów z Wielkopolski.

Uchodników prześladowała jedna obawa: że stracą dobytek i trafią w niewolę podczas najazdu tatarskiego. W wieku XV z rozpadającej się Złotej Ordy wyodrębnił się Chanat Krymski: państwo słabo rozwinięte, które nie mogło wyżywić swych mieszkańców. Coroczne wyprawy łupieżcze nie wynikały z krwiożerczości Tatarów – były warunkiem przetrwania. Wobec tego zagrożenia uchodnicy zaczęli łączyć się w zbrojne grupy. Tatarzy nazwali ich Kozakami, czyli junakami stepowymi, rozbójnikami. Z czasem Kozacy przyjęli taktykę walki pod osłoną powiązanych łańcuchami wozów – taborów.

Ponieważ najazdy tatarskie przynosiły coraz większe straty, pojawiły się projekty przyjęcia Kozaków w służbę króla, by bronili granic. W 1572 r. powstał pierwszy rejestr kozacki, czyli spis żołnierzy wziętych na żołd. Przyznano im cenny przywilej: podlegali jedynie władzom wojskowym (hetmanom rejestrowym). Ich oddziały oddały wielkie usługi Batoremu na wojnach z Rosją, a Zygmuntowi III – ze Szwecją. Jednak rejestr to zwiększano, to zmniejszano, w miarę potrzeb, ignorując skutki społeczne: rosła grupa Kozaków, którym przywileje przyznawano i odbierano. Zasilali oni szeregi niezadowolonych z tego, jak na ziemiach przyszłej Ukrainy poczynają sobie panowie (polscy i rusczy, z miejscowych



Hetman Jan Karol Chodkiewicz na obrazie z XVII w. (autor nieznany).

rodów), tworzący wielkie majątki i pozabawiający chłopów wolności osobistej.

Od przełomu XVI/ XVII w. na Zaporozu stale wrzało. Jakby tego było mało, Kozacy zaczęli regularne napady na ziemie Tatarów i dalej na południe – na czarnomorskie wybrzeża Turcji. Zapuszczali się łodziami aż na przedmieścia Stambułu.

Najazdy kozackie na Turcję i tatarskie na Rzeczpospolitą były stałym tematem korespondencji dyplomatycznej. Prośby i groźby nie przynosiły skutków. Ani sułtan nie był w stanie okiełznać Tatarów, ani król Kozaków. Gdy próbował ich dyscyplinować, wysyłając wojsko, wybuchaly kolejne powstania kozackie.

W 1619 r. wielki wózowy poinformował posła królewskiego, że daje Rzeczypospolitej cztery miesiące na wytypienie Kozaków. Oba mocarstwa siedziały na becze prochu.

Cecora

Iskrę skrzesał w 1619 r. gospodarz mołdawski Kasper Grazziani, który zerwał z sułtanem i wezwał na pomoc króla.

W 1620 r. armia Rzeczypospolitej pod dowództwem 73-letniego hetmana wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego wkroczyła do Mołdawii. Hetman uważał, że wojna z Turcją i tak jest nie do uniknięcia, więc należy przejąć inicjatywę i pokonać wroga na obcym terenie. Grazziani jednak zawiódł hetmana: przyprowadził mu ledwie kilkuset żołnierzy.

Żółkiewski podążył w miejsce mu znane: do starych okopów pod Cecorą, gdzie niegdyś walczył pod wodzą Zamoyskiego. Plany bitewne spaliły na panewce

wobec zdrady oddziałów posiłkowych, które miały bronić tyłów. Część wojsk została rozbita, resztę hetman wycofał do obozu, potem armia zaczęła odwrót ku granicy pod osłoną taborów. Gdy cel był już blisko, żołnierze, którzy bali się sądu za niekarność, przerwali tabor i usiłovali uciekać na własną rękę. Turcy na to czekali: wdarli się przez wyłom, zaczęła się rzeź. Stary hetman zginął rozsiekany szablami, a jego głowę janczarzy wysłali do Stambułu.

Armia koronna przestała istnieć. Wódz zginął, a jego zastępca (hetman polny koronny) trafił do niewoli. Kraj był bezbronny, przez granice wlały się czambuły tatarskie i dotarły setki kilometrów w głąb. Panika sięgnęła dworu: próbowano nakłonić Zygmunta III, by uciekał do Prus.

Zaćmienie słońca

Czy panikarze przesadzali? Oczywiście było, że zachęcony zwycięstwem sułtan ruszy teraz na północ całą siłą. 17-letni Osman II potrzebował do wzmocnienia swej pozycji wielkiego zwycięstwa. Reguły w jego państwie były od stuleci znane: zwyciężasz albo tracisz tron i głowę. Sułtan nakazał więc wszystkim zwierzchnikom prowincji w Azji i Europie, by przyprowadzili podległe sobie oddziały. Plany miał dalekosiężne: chciał dojść do Bałtyku, sprzymierzyć się z protestantami niemieckimi i wspólnie pokonać Habsburgów.

W istocie, jak uważa historyk kampanii chocimskiej Leszek Podhorodecki, sukces pod Cecorą przewrócił Turkom w głowy, a dalsza kampania pozwoliłaby im co najwyżej zdobyć ziemie obecnej Ukrainy i zmusić króla do płacenia haraczu (co i tak byłoby dlań poważnym ciosem). Turcja nie była już tak potężna jak wiek wcześniej, następował powolny rozkład systemu feudalnego, zmniejszały się dochody skarbu sułtańskiego. Wszystko to wpływało na wielkość i jakość armii. Niemniej te symptomy upadku nie były jeszcze w początkach XVII w. wyraźnie widoczne: oddziały janczarów nadal budziły popłoch, a artyleria słynęła siłą ognia.

Wiosną 1621 r. pod Stambuł ściągnęła stutysięczna armia. W maju sułtan dał rozkaz wymarszu. Dzień wcześniej doszło do zaćmienia Słońca i wielu obecnych uznało to za zły omen. „Całe niepowodzenie tej wyprawy – pisał kronikarz



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Zamek w Chocimiu, wokół którego rozłożony był warowny obóz polsko-litewsko-kozacki.

Mustafa Naima – przypisać wypada zdep-taniu prawideł stwierdzonych doświad-czeniem wieków, iż na kilka dni przed i po zaćmieniu Słońca żadnego dzieła przedsiębrać nie należy”.

Zdani na siebie

Tymczasem Zygmunt III Waza nie zgo-dził się na ewakuację dworu. Podjął wy-zwanie. Sejm uchwalił wysokie podatki na zaciąg nowego wojska. Król wezwał z Wilna hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza, by objął do-wodzenie. Zwycięzca spod Kircholmu, gdzie w 1605 r. dzięki husarii pogromił kilkakrotnie większą armię szwedzką, miał 60 lat i był ciężko chory (na dnę mo-zczanową). Przyjął jednak misję.

Na dwory europejskie wysłano po-słów z prośbą o pomoc – wszak przy-szło bronić chrześcijaństwa przed na-walą turecką. Ale efekty były mizerne. Papież obiecał subsydia, ale wpłynęły dopiero po wojnie. Cesarz Ferdynand II Habsburg, którego stolicę Zygmunt III dopiero co ocalił, odmówił pomocy. Ja-kub I, król Anglii, pozwolił na werbunek piechurów, ale nie zdążono ich wypra-wić na czas. Protestancka Holandia wy-kpiła posłów, a Francja i Wenecja obda-rzyły dobrym słowem. Rzeczpospolita stawała osamotniona.

W kwietniu 1621 r. pod dowództwem Chodkiewicza było tylko 25 tys. żołnie-rzy. Brakowało armat i ściągano je aż z Gdańska i Smoleńska. W tej sytuacji

państwo mógł ocalić tylko sojusz z Ko-zakami. A tak się złożyło, że akurat na dwór królewski przybyło poselstwo z udziałem Piotra Konaszewicza Sahaj-daczego, hetmana Kozaków. Ten sprzy-jający porozumieniu z Rzeczpospolitą wódz i dyplomata przywiódł ze sobą kilku prawosławnych dostojników ko-ścielnych. Na ich widok król westchnął w głębi duszy.

Aby pojąć, jak gorzką pigułkę musiał przełknąć, musimy cofnąć się o dwie de-kady. Wychodząc naprzeciw papieżowi, Zygmunt chciał zjednoczyć prawosła-wie z katolicyzmem i zażegnać groźbę, jaką było ciążenie prawosławnego kleru Rzeczypospolitej ku niedawno utwo-rzonemu patriarchatowi w Moskwie. W 1596 r. zawarto unię, nazwaną brze-ską, która podporządkowała papieżowi krajową hierarchię prawosławną. Jed-nak nie całe prawosławie ją zaakcepto-wało, a podporą oponentów stali się Ko-zacy. W 1620 r. do Kijowa przybył pa-triarcha jerozolimski Teofanes, by pota-jemnie wyświęcić nowego metropolitę i biskupów.

To ich Sahajdaczny przyprowadził przed oblicze króla – i jako warunek po-mocy zbrojnej postawił ponowną lega-lizację prawosławia. Postawiony pod ścianą, Zygmunt zaniechał akcji przeciw władcyom i dał do zrozumienia, że kom-promis jest w zasięgu ręki. Sahajdaczny zapewnił, że przyprowadzi 30 tys. wybo-rowej piechoty kozackiej.

Szabla ich policzy

Słabość armii, wciąż mniejszej niż pla-nował, zmusiła Chodkiewicza do rewizji planów. Początkowo chciał wzorem Za-moyskiego przenieść wojnę nad Dunaj. Ostatecznie postanowił wznieść obóz wa-rowny po mołdawskiej stronie Dniestr-u, w pobliżu zamku w Chocimiu (dziś to ob-wód czerniowiecki na Ukrainie). Rzeka zabezpieczała obóz od wschodu, od pół-nocy zaś stroma skarpa. Południowego odcinka bronili Kozacy, a zachodniego siły polsko-litewskie. Krótka linia obrony nieco niwelowała dwukrotną przewagę Turków. Obóz główny otoczono wałem ziemnym i rowem. Słabiej ufortyfiko-wany był obóz Kozaków: zdążyli osło-nić go dwoma rzędami wozów i wyko-pać rowy.

Wcześniej, gdy siły Chodkiewicza ścigały pod Chocim, Kozacy prowa-dzili dywersję przeciw maszerującej ar-mii Osmana II. Pustoszyli Mołdawię, by utrudnić aprowizację, zatapiali okręty z zapasami, atakowali oddziały fors-ujące Dunaj. Ze schwytanymi Kozakami Turcy obchodzili się okrutnie: wieszali na hakach, przywiązywali do słoni i roz-szarpywali. W sierpniu 1621 r. kilkuset Kozaków w skalistym rejonie nad Pru-tem przez cały dzień powstrzymywało oddziały wroga. Turcy w końcu złamali ich bohaterski opór, ale z przerażeniem odnotowali, że z ręki każdego Kozaka zgi-nęło siedmiu ich żołnierzy. Poświęcenie Kozaków, już wówczas porównywane do heroizmu Spartan spod Termopil, dało Chodkiewiczowi czas na przygotowanie obrony.

Jego żołnierze zdawali sobie sprawę z przewagi Turków. Słyszając rozmowę podwładnych o potęgze wroga, Chodkie-wicz wyciągnął szablę i krzyknął: „Ta ich policzy!”. Wiedział jednak, że siły polsko-litewskie to często świeżo zaciągnięci no-wicjusze.

Do obozu ściągnęli lisowczycy (wśród nich 22-letni Stefan Czarniecki, przyszły hetman), oddziały pod wodzą królewicza Władysława i jako ostatnie główne siły kozackie.

A potem przyszli Turcy. „Zabieliły się trzy góry od namiotów gęstych, jak gdyby niespodziewany śnieg spadł” – zapisał Ja-kub Sobieski, ojciec przyszłego króla. Chodkiewicz, mistrz walki manewro-wej, chciał doprowadzić do rozstrzygają-cej bitwy. Przeciw sobie miał jednak całą radę wojenną, narzuconą mu przez sejm. ➔

→ Hetman przekonywał, że linie zaopatrzeniowe, prowadzące do twierdzy w Kamieńcu Podolskim, są narażone na ataki Tatarów, i że lepiej postawić wszystko na jedną kartę, póki nie brakuje żywności i amunicji. Musiał jednak ulec i zamknąć wojska w obozie.

Pełno śmierci

2 września Turcy zaatakowali pozycje Kozaków. Osman II zadeklarował, że nie będzie jadł ani pił, dopóki nie zobaczy zakutego w łańcuchy Sahajdacznego. Chodkiewicz wysłał Kozakom posiłki. Podobne manewry wykonywano w kolejnych dniach wielokrotnie. Z jeńcami Turcy obchodzili się bezlitośnie, sułtan płacił nagrody za każdego zabitego wroga. Po bitwie w miejscu, gdzie stał jego namiot, znaleziono liczne odcięte głowy.

Chodkiewicz, dopóki zdrowie mu pozwalało, osobiście wyprowadzał z obozu husarię i druzgotał wroga. Skutki takich starć opisał Wacław Potocki w „Wojnie chocimskiej”: „Pełno ran, pełno śmierci, więzną konie w mięsie / Krew się zsiadła na ziemi, galaretą trzęsie; / Ludzie się niedobici w swoich kiskach płacą, / Drudzy chlipią z paszczęki posoką gorącą”.

Nocami prowadzono wypad, tzw. wyścieczki. Celowali w tym Kozacy: wdzierali się do obozu wroga i wracali z łupami. Zwłaszcza z coraz cenniejszym w miarę upływu czasu pożywieniem.

W kolejnych dniach Turcy wytrwale atakowali. Szturmy szły równocześnie na obóz główny i kozacki, by utrudnić wspieranie zagrożonych odcinków. Na szaniec spadał huraganowy ogień armat: Osman II przywiódł ich aż 62, w tym 15 ciężkich (Chodkiewicz miał 28 dział). 7 września janczarom udało się wdrzeć na odcinek broniony przez oddziały królewicza Władysława. Gdyby któryś z paszów przysłał im wsparcie, janczarzy przedarliby się do obozu.

W drugim tygodniu walk sułtan zaprzestał szturmów, stawiając na zagłócenie wroga. Jednak 15 września dał się namówić jednemu z dowódców, Karakaszowi paszy, na generalny atak. Walki były zacięte, Chodkiewicz zręcznie rozporządzał rezerwami. W końcu janczarom udało się wdrzeć za linie szanów. Jednak wielki wezyr Husein pasza tak nienawidził Karakasza, że nie wysłał mu posiłków. Turków odparto.



Hetman Piotr Konaszewicz Sahajdaczny na obrazie z końca XVIII w. (autor nieznany). Ze zbiorów Miejskiego Muzeum Sztuki w Łebedynie na Ukrainie.

Odejście wodza

W połowie września w obozie zaczęło brakować żywności. Konie padały, jazda straciła zdolność bojową. Ludzie cierpieli na biegunkę, szerzyły się choroby. Nie wielką pociechą był fakt, że sytuacja Turków też była zła. Chodkiewicz nie chciał jednak prosić sułtana o „łada jaki” pokój. „Nieprzyjacieli nie jest tak straszny, jak go sobie wszyscy wyobrażali – mówił. – Gdyby mieczem mógł nas zwojować, już by to uczynił dotychczas, póki wojsko jego było świeże”.

Hetman gaśł. 23 września jeszcze raz wezwał dowódców. W milczeniu przekazał buławę zastępcy, Stanisławowi Lubomirskiemu, po czym umarł. Nastąpił kryzys dowództwa: oddziały litewskie odmówiły przyjmowania rozkazów od Lubomirskiego. Dopiero królewicz Władysław przekonał opornych do przyjęcia ostatniej woli ich hetmana.

Tymczasem Osman II na wieść o zgonie Chodkiewicza zarządził wielki szturm. Przez cały 25 września trwał bój. Turcy zostali odparci. Atak powtórzyli trzy dni później. Sądząc, że przyjdzie mu oglądać zagładę wojsk Rzeczypospolitej, sułtan kazał na wzgórzu ustawić swój tron, aby ją obserwować. Ale Lubomirski spełnił pokładane w nim oczekiwania i odparł wszystkie ataki.

Turcy ponawiali je jeszcze przez kilka dni, ale bez wiary w zwycięstwo. Potem zaczęli krążyć posłowie. 9 października podpisano porozumienie: granice pozo-

stały bez zmian, Rzeczpospolita miała nie mieszać się do spraw naddunajskich (ale gospodarzy mieli być przyjaźnie do niej usposobieni), Turcja zobowiązała się powstrzymać najazdy tatarskie, a druga strona – kozackie. Na wieść o zakończeniu rokowań w obozie chocimskim zużyto resztki prochu, strzelając na wiwat.

Epilog kozacki

Podczas jednego z rajdów zwiadowczych przed bitwą chocimską Sahajdaczny został postrzelony. Mimo to uczestniczył w walkach przez cały miesiąc oblężenia. Z czasem w ranę wdało się zakażenie i hetman kozacki zmarł w kwietniu 1622 r. Śmierć tego wybitnego wodza i polityka oznaczała kres nadziei na sprawiedliwe ułożenie stosunków z Kozakami. Polityka dworu królewskiego i magnatów wkrótce weszła na kurs prowadzący do powstania Chmielnickiego (1648 r.) i utraty lewobrzeżnej Ukrainy na rzecz Rosji.

Wcześniej, w 1632 r., nowy król Władysław IV ostatecznie zalegalizował prawosławną hierarchię na Ukrainie. Za zasługi dla prawosławia Święty Synod Prawosławnej Cerkwi Ukrainy (tej niezależnej od Moskwy) w 2020 r. wyniósł hetmana Sahajdacznego na ołtarze.

Epilog turecki

Cała Europa żyła wieścią o sukcesie Rzeczypospolitej. Turcy, którzy 170 lat wcześniej zdobyli Konstantynopol i niezwykliczeni parli przez Europę, nie byli w stanie sforsować szanów nad Dniestrem. Niespełna rok po Chocimiu Osman II padł ofiarą spisku pałacowego.

Wbrew traktatowi chocimskiemu ani Tatarzy nie zaprzestali atakowania naszych ziem wschodnich, ani Kozacy – ziem tureckich. Wielka wojna wybuchła w drugiej połowie XVII w., za króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, a kontynuował ją Jan III Sobieski, gromiąc Turków w drugiej bitwie pod Chocimem w 1673 r., a dziesięć lat później pod Wiedniem. Były to ostatnie wielkie triumfy armii Rzeczypospolitej.

Tymczasem postępował upadek Imperium Osmańskiego. Pod koniec epoki nowożytnej nikt już nie drżał przed państwem, które kiedyś zniszczyło Drugi Rzym i realnie zagrażało kontynentowi. W wieku XIX na dawne mocarstwo mówiono, że to „chory człowiek Europy”.

© MACIEJ MÜLLER

weź, czytaj!

w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 479 075 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

POJĘCIOWNIK TEATRALNY

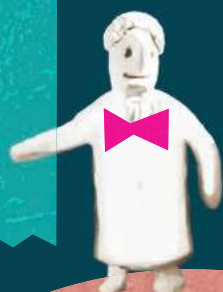
CYKL FILMÓW ONLINE
DLA MŁODYCH MIŁOŚNIKÓW TEATRU

12, 26 października | 9, 23 listopada | 7, 21 grudnia

Nowe odcinki dostępne co dwa tygodnie
we wtorki o godz. 18.00 na www.mik.waw.pl

[/mazowieckiinstytutkultury](https://www.facebook.com/mazowieckiinstytutkultury)

Mazowiecki Instytut Kultury



SEZON 2



TEATR MAZOWIECKI
MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

MAZOWIECKI
INSTYTUT
KULTURY

JEDNOSTKA
ORGANIZACYJNA
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
MAZOWIECKIEGO

Mazowsze
service Poland

TVP
KULTURA

LUDZIE O WIELKICH SERCACH

Większość naszej dzisiejszej wiedzy o przyczynach zawałów i udarów zawdzięczamy chorobie nadciśnieniowej prezydenta Roosevelta. Oraz mieszkańcom jednego miasteczka.

BARTOSZ KABAŁA



SERCE TO ORGAN PIERWSZY WŚRÓD równych: bez większości narządów utrzymanie równowagi fizjologicznej w organizmie jest niemożliwe, ale to sercu i jego zdrowiu przypisuje się znaczenie kluczowe.

Częściowo jest to zaszłość historyczna. Najstarszym dowodem na to, że niemal od początku cywilizacji serce w postrzeganiu człowieka zajmowało niezwykle ważne miejsce, jest malowidło sprzed 30 tys. lat z jaskini Pindal, na północnym wybrzeżu Półwyspu Iberyjskiego. Przedstawia ono mamuta, który w środku klatki piersiowej ma duży czerwony znak. Książd Henri Breuil, jezuita i archeolog, który w 1908 r. odkrył rysunek, początkowo twierdził, że jest to mamucie ucho. Z czasem doszedł jednak do wniosku, że autor – myśliwy kultury oryńskiej – tak naprawdę wskazał serce.

Arystoteles i niektórzy starożytni filozofowie uważali serce za czterojamową rezydencję duszy i myśli. I dopiero na początku XVII w. angielski lekarz William Harvey wypędził z niego metafizykę. Dowiódł, że serce to pompa, która rozprowadza po ciele krew.

Ale waga, jaką przykładają się dziś do chorób tego narządu, nie wynika jedynie z historycznych poglądów. Choroby układu krążenia, w tym również udary mózgu, to w krajach rozwiniętych główna przyczyna zgonów. Na choroby sercowo-naczyniowe na całym świecie w 2019 r. zmarło prawie 18 mln osób, co stanowiło 32 proc. wszystkich zgonów. W Europie, także w Polsce, ten odsetek wynosi aż 45 proc.

Cztery miliardy uderzeń

W zbiorze tych chorób szczególne miejsce zajmuje zawał serca – jedna z manifestacji choroby niedokrwiennej. Serce to mięsień, który rytmicznie pracuje od szóstego tygodnia ciąży aż do końca życia. U zdrowego człowieka mięsień ten kurczy się między 60 a 100 razy na minutę, co daje od około 3 do 4 mld uderzeń w ciągu życia. Tak intensywna praca jest bardzo energochłonna, a serce, jak wszystkie inne narządy w organizmie, potrzebuje tlenu i energetycznych substratów. I choć co minutę przepływa przez nie ok. 5 litrów krwi, to nie może ono z niej skorzystać.

Oplecione jest za to siecią naczyń zwanych tętnicami wieńcowymi, na których drożności polega każda komórka serca.

Do choroby niedokrwiennej dochodzi najczęściej, gdy zmniejszy się światło tętnic odżywiających serce. Powolne narastanie problemu z przepływem prowadzi do przewlekłej stabilnej dławicy piersiowej. Ból może się pojawiać przy wzmożonej aktywności fizycznej i stresie – wtedy serce bije szybciej, a zapotrzebowanie na tlen jest większe. Kiedy jednak któreś z naczyń zamknie się nagle, np. z powodu pęknięcia blaszki miażdżycowej i powstania w tym miejscu skrzepliny, pojawiają się nagły ból i znaczne osłabienie. Mówi się wówczas o ostrym zespole wieńcowym. Potocznie – o zawale.

Najczęstsze przyczyny choroby naczyń wieńcowych są powszechnie znane: brak aktywności fizycznej, otyłość, zła dieta, palenie tytoniu, niekontrolowane nadciśnienie tętnicze. Ale nie zawsze ta wiedza była tak oczywista jak dziś. Jeszcze w latach 50. ubiegłego wieku medycyna była wobec chorób układu krążenia w dużej mierze bezradna. Nie znano do końca przyczyn tych schorzeń i stosowano niedoskonałe leczenie, niosące ryzyko wielu efektów ubocznych. W społeczeństwie zachodnim wczesne zgony związane z chorobami serca były bardzo częste i wiązano je z naturalnym procesem starzenia lub wrodzonymi predyspozycjami. Uważano je więc za nieuniknione.

Nadciśnienie Roosevelta

Ogromny postęp dokonał się w drugiej połowie XX w. Wiedza o przyczynach chorób serca i czynnikach ich ryzyka to zasługa dużych, wieloletnich projektów. Pierwszym i najważniejszym z nich było badanie populacji w amerykańskim mieście Framingham, rozpoczęte w 1948 r. i, co ciekawe, trwające do dziś.

Poza troską o społeczeństwo źródeł tego projektu upatruje się w stanie zdrowia prezydenta USA Franklina D. Roosevelta. Pisali o tym kardiolog Thomas J. Wang i jego współpracownicy w artykule z okazji 65. rocznicy rozpoczęcia badania Framingham.

Roosevelt cierpiał na nadciśnienie tętnicze. Od 1935 do 1941 r. wartość ciśnienia prezydenckiej krwi wzrosła ze 136/78 do 188/105 mm Hg. Dzisiejsze wytyczne pozwoliłyby rozpoznać u niego nadciśnienie tętnicze trzeciego stopnia, co wymaga niezwłocznego leczenia farmako-

logicznego. Jednak lekarz prezydenta, admirał Ross McIntire, otolaryngolog, utrzymywał, że takie wartości są dość typowe u osób po pięćdziesiątce. Uznawano wówczas, że prawidłowe ciśnienie skurczowe (któremu odpowiada pierwsza liczba) to suma 100 mm Hg i wieku badanego. Ta zasada nie jest ani prawdziwa, ani nie była korzystna dla pacjenta.

Trwale utrzymujące się wysokie ciśnienie tętnicze to cichy zabójca. Jeśli w ogóle daje jakieś objawy, to najczęściej niespecyficzne, i to takie, które łatwo zbagatelizować. Ale jego skutki mogą być fatalne. Krew przepływająca przez naczynia krwionośne pod dużym ciśnieniem uszkadza je. Widać to zwłaszcza w narządach mocno unaczynionych, jak nerki czy siatkówka oka. Dodatkowo uszkodzenie wewnętrznej warstwy ściany innych naczyń przyspiesza odkładanie się w tych miejscach cholesterolu i rozwój miażdżycy. W tętnicach mózgu, w miejscach osłabionych mogą powstawać tętniaki, które przy skoku ciśnienia pękają, powodując udar krwotoczny.

W marcu 1944 r., kilka miesięcy przed inwazją aliantów na wybrzeża Normandii, z powodu duszności wysiłkowej, potów i bólów brzucha prezydent Roosevelt zostaje przyjęty do szpitala. Tamtejszy kardiolog stwierdza sinicę i bardzo wysokie ciśnienie krwi, w zdjęciu rentgenowskim zaś opisano znaczne powiększenie rozmiaru serca. Wszystko to pozwoliło rozpoznać u prezydenta Roosevelta niewydolność serca, będącą skutkiem nieleczzonego nadciśnienia.

Miasteczko Framingham

Utrzymujące się wysokie ciśnienie powoduje przerost lewej komory serca, która odpowiada za przepływ utlenowanej krwi w naczyniach tętniczych. Choć mięsień sercowy staje się gruby, wcale nie staje się silniejszy. W dodatku przerośnięta ściana serca zmniejsza światło lewej komory, a zatem mniej krwi dostaje się do środka. To wszystko prowadzi do niewydolności serca, którą według współczesnych badań można zatrzymać lub nawet odwrócić leczeniem hipotensyjnym. Prezydent Roosevelt otrzymał dostępne wówczas leczenie (digoksyny naskórowe naturalnego pochodzenia), jednak w związku z zaawansowanym stanem przyniosło to niewielką ulgę i poprawę.

→ Osobisty lekarz premiera Churchilla Lord Moran, który obserwuje Roosevelta podczas konferencji w Jałcie w 1945 r., zapisuje w dzienniku, że prezydent „wygląda na bardzo chorego człowieka”, i daje mu kilka miesięcy życia. Parę tygodni później Roosevelt, w trakcie swojej czwartej kadencji, umiera na udar krwotoczny mózgu w wieku 63 lat. Zmierzone w ostatnich godzinach życia ciśnienie wynosi 300/190 mm Hg.

Następca Roosevelta, prezydent Harry Truman, w 1948 r. podpisał National Heart Act. W tym dokumencie Kongres zauważył, że „choroby serca i krążenia oraz nadciśnienie tętnicze są poważnym zagrożeniem dla zdrowia Narodu”, będąc przyczyną jednej trzeciej wszystkich zgonów. Jednocześnie przeznaczono 500 tys. dolarów na badanie epidemiologiczne chorób serca.

Miejszem badania zostało niewielkie miasto Framingham, leżące w stanie Massachusetts w pobliżu Bostonu – i Uniwersytetu Harvarda. To właśnie tamtejsi naukowcy kierowali projektem. Spośród dziesięciotysięcznej populacji dorosłych mieszkańców Framingham wybrano 5209 ochotników w wieku od 28 do 62 lat, tworzących tzw. kohortę pierwotną. Aby uzyskać informację o hospitalizacjach lub zgonach uczestników, badacze codziennie odwiedzali oba szpitale w mieście, śledzili lokalną prasę i nekrologi oraz analizowali raporty koronerów.

Pierwsze efekty pracy naukowców ukazały się dekadę po zbadaniu pierwszego pacjenta. Określono normę ciśnienia krwi, powyżej której czterokrotnie wzrastało ryzyko wystąpienia choroby wieńcowej. Choć wartość uznana w 1957 r. za prawidłową jest w stosunku

do obecnych norm zdecydowanie zbyt wysoka, to odkryte niedługo później leki (takie jak stosowane również dziś blokery receptorów beta-adrenergicznych) pozwoliły opanować galopujące nadciśnienie. Również dzięki pierwszemu pokoleniu ochotników powiązano wysokie wartości ciśnienia tętniczego z niedokrwieniami udarami mózgu.

Czynnik ryzyka

Ogromna baza zgromadzonych informacji pozwalała zestawiać i statystycznie korelować różne pakiety danych. Od każdego pacjenta zbierano wywiad lekarski, medyczną historię rodziny, wykonywano badanie rentgenowskie i elektrokardiograficzne, mierzono ciśnienie i pobierano krew do badania poziomu glukozy i cholesterolu. Framingham Heart Study (FHS) było pierwszym badaniem, które tak szczegółowo rysowało zdrowotny portret pacjenta z problemami sercowo-naczyniowymi. Stwierdzono, że ryzyko pojawienia się chorób zwiększa nie tylko nadciśnienie, ale również wysokie stężenie „złego” cholesterolu LDL (patrz ramka), który odkłada się w obrębie ścian naczyń, tworząc blaszkę miażdżycową, a także cukrzyca, powiększenie lewej komory serca czy bycie mężczyzną. To dzięki temu badaniu w medycynie upowszechniło się określenie „czynnik ryzyka”. Niektóre z odkryć wydają się dziś zupełnie podstawowe. Do czasu badania Framingham uważano, że kluczowe znaczenie ma wartość ciśnienia rozkurczowego (druga z wartości w zapisie, np. 120/80 mm Hg, wartość ciśnienia pomiędzy uderzeniami serca, gdy przepływ krwi zwalnia). Praca z 1971 r. dowodzi jednak, że to skurczowe ciśnienie bardziej koreluje z chorobami serca i naczyń krwionośnych.

Po chwilowych problemach związanych z finansowaniem (roczny koszt wynosił ponad 300 tys. dolarów, co najwyraźniej nadwyrężało budżet Narodowych Instytutów Zdrowia) projekt ruszył z kolejnymi badaniami. W 1971 r. do pierwszego pokolenia uczestników FHS dołączono ich dzieci wraz z małżonkami lub partnerami. Grupę tę nazywa się kohortą potomków. Celem tego zabiegu było odmlodzenie badanej populacji i poszukiwanie czynników ryzyka we wcześniejszych latach życia, ale również określenie, jak istotne dla występowania chorób sercowo-naczyniowych jest dziedzic-

w USA to ok. 12 proc. społeczeństwa.

SPRAWA ma realne implikacje kliniczne. Metaanaliza z 2015 r. dowodzi, że nawet 20 proc. nowych leków ma odmienne działanie w różnych grupach etnicznych, może powodować różne efekty terapeutyczne i inne skutki uboczne. Różnice te wynikają z uwarunkowań genetycznych. Przykładem jest klopidoogrel – lek hamujący powstawanie zakrzepów, który u osób pochodzenia azjatyckiego działa inaczej niż w populacji europejskiej, ze względu na występowanie różnych wariantów genu CYP2C19. Natomiast u czarnoskórych inaczej podchodzi się do leczenia nadciśnienia tętniczego z powodu odmiennego metabolizmu niektórych leków hipotensyjnych.

© BK



RICCARDO MAYER / ADOBE STOCK

Pochodzenie etniczne ma znaczenie

W 2019 R. w piśmie „JAMA Oncology” ukazał się artykuł, w którym autorzy prześledzili 230 badań pod kątem informacji o różnorodności rasowej i etnicznej. Okazuje się, że jedynie w 18 z nich dane podzielone były między odpowiednie grupy. Z kolei Todd Knepper i Howard McLeod w komentarzu dla „Nature” podają, że w badaniach, które amerykańska agencja

FDA wykorzystuje podczas rejestracji leków, populacja białych w 1997 r. stanowiła 92 proc. badanych, a w 2014 r. – 86 proc. Taki dobór nie oddaje różnorodności społeczeństwa. Przykładowo, osoby czarnoskóre we wspomnianych badaniach stanowiły średnio 1,8-3,5 proc. badanych, podczas gdy

czenie. W 2002 r. do badania włączono również trzecią generację, czyli dzieci grupy potomków i wnuczęta oryginalnej kohorty, a wkrótce potem również ich partnerów. Badanie Framingham stało się przedsięwzięciem międzypokoleniowym.

Jedną z jego słabości był nieco wybiórczy dobór grupy badanej. W latach 40. XX w., gdy decydowano o miejscu badania, Framingham zamieszkiwali głównie Amerykanie europejskiego pochodzenia i to oni zostali objęci badaniem. Nie ma zaś pewności, że z wyników badania naukowego, którego uczestnicy mają jednakowe pochodzenie etniczne, a więc także zbliżone predyspozycje genetyczne, można wyciągać wnioski dla zróżnicowanego etnicznie i rasowo społeczeństwa amerykańskiego, a co dopiero dla mieszkańców dowolnego miejsca na świecie. Dlatego w 1994 r. badaniem objęto także dodatkową grupę, reprezentującą mniejszości etniczne, a dziesięć lat później również ich potomków.

Serce po matce

Taka sztafeta pokoleń w badaniu Framingham posłużyła naukowcom do stworzenia wzorów dziedziczenia chorób sercowo-naczyniowych. O tym, że cechy morfologiczne i choroby bywają dziedziczne, było wiadomo na długo przed odkryciem struktury DNA i rozwojem genetyki. Jednak w przypadku badanych chorób trudno było rozstrzygnąć rolę genów. Rodzinne występowanie zawałów, miażdżycy, nadciśnienia mogło być spowodowane nie tylko dziedziczonymi genami, ale także dziedzicznym stylem życia. W jednej z prac naukowcy piszą, że „członkowie rodzin jedzą przy wspólnym stole”, współdzieląc dobre i złe nawyki.

W badaniu wykorzystano najnowsze zdobycze medycznych technologii: tomografię komputerową, rezonans magnetyczny i USG serca, a później również badania genetyczne. Zastosowano m.in. poszukiwanie genetycznych asocjacji, czyli nieprzypadkowego współwystępowania pewnego wariantu genu oraz jakiejś cechy. Jeśli jakiś wariant genu występuje częściej u osób z daną cechą, można podejrzewać, że ma na tę cechę wpływ. W badaniu Framingham odkryto wiele takich asocjacji, m.in. dotyczących otyłości, migotania przedsionków serca i nadciśnienia tętniczego. Jednak nie zawsze obecność jakiegoś



Zły i dobry cholesterol

TŁUSZCZE transportowane są we krwi w postaci lipoprotein – cząstek zbudowanych z fosfolipidów, cholesterolu i białek. Takimi lipoproteinami są LDL i HDL, które różnią się w budowie zarówno składem tłuszczów, jak i rodzajem białek obecnych na powierzchni. Białka te determinują ich funkcje. LDL, zwany „złym cholesterol”, transportuje ten związek z wątroby do tkanek, gdzie używany jest do syntezy hormonów i budowy błon komórkowych, ale może się również odkładać w ścianach naczyń, prowadząc do miażdżycy. Nie jest więc jednoznacznie „zły”. Z kolei HDL („dobry cholesterol”) odpowiada za drogę odwrotną. Pobiera wolny cholesterol z osocza i błon komórkowych i przenosi go do wątroby. Ma więc działanie przeciwmiażdżycowe. © BK

wariantu genu determinuje powstanie choroby. W chorobach sercowo-naczyniowych czynniki genetyczne i środowiskowe przenikają się i wzajemnie wzmacniają.

Samo rozpoznanie czynników ryzyka nie ułatwia sprawy. Ważne jest praktyczne zastosowanie zdobytej w badaniach wiedzy. Zebrane dane posłużyły do stworzenia skal oceniających ryzyko u pojedynczego pacjenta. Jednym z najpopularniejszych tego typu narzędzi jest skala SCORE, przygotowana dla populacji europejskiej. Do obliczenia dziesięcio-

letniego ryzyka zgonu z powodu incydentu sercowo-naczyniowego potrzebne są wiek, płeć, wartość ciśnienia skurczowego i cholesterolu całkowitego oraz informacja o paleniu papierosów. Podobna, choć bardziej skomplikowana skala powstała na podstawie danych z badania Framingham.

Żadna jednak nie uwzględnia ryzyka genetycznego. Skoro na rozwój niedokrwiennej choroby serca wpływ mają miażdżycy, metabolizm lipidów, nadciśnienie, układ krzepnięcia, a także uogólniony proces zapalny, to liczba zaangażowanych w całą chorobę genów jest olbrzymia. W dodatku żaden z nich nie działa w próżni, tylko w interakcji z innymi genami. Istnieją warianty genów biorących udział w metabolizmie lipidów, które zwiększają stężenie „złego cholesterolu”, a także warianty genów szlaków zapalnych, zmniejszających ryzyko zawału. Różne geny płytek krwi mogą działać zarówno pro-, jak i przeciwzakrzepowo. Na tym etapie badań praktycznie nie da się skorzystać z wiedzy o tym, że ktoś ma np. dziewięć wariantów genów słabo sprzyjających rozwojowi chorób sercowo-naczyniowych i dwa silnie zmniejszające ryzyko.

Poza układem krążenia

Przez ponad 70 lat badanie Framingham znacznie się rozrosło. W ostatnich latach dociekania naukowców dotyczyły nie tylko chorób układu krążenia, ale również rzucania palenia i jego psychologicznych aspektów, otyłości, chorób neurodegeneracyjnych. Jedna z najnowszych prac dowodzi, że u byłych palaczy, nawet po 25 latach od rzucenia papierosów, ryzyko zachorowania na raka płuc jest trzykrotnie wyższe niż w populacji osób, które nigdy nie paliły. Powstało ponad 3,5 tys. artykułów naukowych, a projekt wymieniany jest wśród czterech najważniejszych osiągnięć medycyny – obok antybiotyków, szczepień i odkrycia witamin. Było to pierwsze badanie, które tak dobitnie pokazało, jak istotna w medycynie jest prewencja i ograniczenie ryzyka.

W 2019 r. Framingham Heart Study przedłużono o kolejne sześć lat, przeznaczając na nie 38 mln dolarów. Najnowszym celem jest lepsze poznanie biologii starzenia i czynników odpowiedzialnych za utrzymanie zdrowia w zaawansowanym wieku. © BARTOSZ KABAŁA

BOJOWNIK

ŁUKASZ RONDUDA, REŻYSER:

Według obowiązujących podziałów taki człowiek jak Daniel Rycharski nie powinien istnieć. Jest katolikiem, gejem, artystą sztuk wizualnych, który mieszka i tworzy na wsi. A chłopci i geje to najbardziej pogardzane grupy w Polsce.

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI:

„Przyjęliśmy dwie kategorie. Chcieliśmy nagrodzić film, który będzie piękny i aktualny” – mówił podczas wręczania Złotych Lwów Andrzej Barański, przewodniczący jury FPFF w Gdyni. Wygrał film w Pana i Łukasza Gutta reżyserii. Jesteśmy na niego gotowi?

ŁUKASZ RONDUDA: Zdecydowanie tak.

W naszym podzielonym wojną kulturową kraju „Wszystkie nasze strachy” powinni zobaczyć wszyscy.

Opowiadamy o bardzo wierzącej osobie LGBT, zaangażowanej w życie Kościoła katolickiego. Nasz bohater, Daniel Rycharski, buduje wspólnotę w swojej wiosce, jednocześnie otwarcie mówi o swoim homoseksualizmie. Nosi na szyi krzyż, a na ramionach tęczę i lamówkę. Jest człowiekiem paradoksalnym w tej naszej dzisiejszej Polsce, podzielonej na dwa plemiona. Łączy sprzeczności, mógłby być pomostem pomiędzy nimi, ale zarazem jest zagrożony podwójnym wykluczeniem, bo – oprócz Kościoła – czerwoną kartkę pokazuje mu państwo. Jest bohaterem naszych czasów, o którym mówił i którego wciąż szukał Andrzej Wajda. Osobą, której los w jakiś sposób syntetyzuje, czy też ucieleśnia szersze społeczne i kulturowe zjawiska. Dlatego zainteresowałem mnie jako bohater filmowy.

Czy próba połączenia dwóch plemion nie jest już utopijna?

Takie łączenie dokonuje się w wielu poziomach. Przede wszystkim Rycharski operuje językiem wiary chrześcijańskiej, aby mówić o wykluczeniu osób LGBT. To dominujący język polskiej debaty publicznej, żyjemy bowiem w chrześcijańskiej matrycy kulturowej, obojętne, czy jesteśmy wierzący, czy byliśmy tylko religijnie wychowani, a później odrzuciliśmy katolicką tożsamość. Przez ten język jest tak bardzo bezpośredni, nieprotekcjonalny, wykraczający poza podziały klasowe i środowiskowe. Jest równie zrozumiały dla starszych ludzi z małych wsi, jak i dla klasy średniej z wielkich miast. W naszym filmie Daniel rozmawia o swoich problemach z babcią, która rozumie, że Chrystus zawsze towarzyszy wykluczonym, czyli w tym przypadku osobom LGBT. Że najważniejsza jest miłość bliźniego, a symbole wiary, takie jak krzyż i różaniec, należą do wiernych, również tych tęczęwych i nikt im ich nie odbierze. Mówiąc językiem chrześcijaństwa o wykluczeniu osób LGBT, mamy znacznie większą szansę po pierwsze na rozmowę, a po drugie na porozumienie.

I można te dwie grupy połączyć?

Pokazuje to życie i twórczość Rycharskiego. Głębokim przesłaniem chrześci-

jaństwa jest humanistyczne przekonanie, że Chrystusa można znaleźć w drugim człowieku, szczególnie tym wykluczonym, zaszczytnym. Chrystus zawsze wstawał się za takimi osobami. Nie myślał o budowie instytucji, zawsze żył wśród najbardziej potrzebujących pomocy. Teraz w Polsce w takiej sytuacji są osoby LGBT. Ale chyba się powtarzam?

Nie szkodzi, chcę, żeby to zabrzmiało.

Proszę zobaczyć, że nasz bohater nie posługuje się językiem antagonizmu i pogardy, tylko empatii i troski. Moją inspiracją był „Dekalog” Krzysztofa Kieślowskiego, który wykorzystał prawdy wiary do opowieści o zasadach rządzących życiem dowolnego człowieka. Kieślowski



ŁUKASZ RONDUDA jest reżyserem filmowym. Pracuje jako kurator w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Jego debiutancki film „Performer” (2015) otrzymał na Festiwalu Filmowym w Berlinie Nagrodę „Think: The Award” za „kreatywne wykorzystanie medium filmowego dla artystycznego uchwycenia i oddania geopolitycznych kontekstów”. Najnowszy film w jego i Łukasza Gutta reżyserii, „Wszystkie nasze strachy”, zdobył właśnie główną nagrodę, Złote Lwy, na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

postawił lustro przed wierzącymi i ateistami. Okazało się, że łączy ich podobny system moralny. Taki sam cel postawiliśmy przed „Wszystkimi naszymi strachami”: chrześcijaństwo niesie radykalny i wywrotowy przekaz, a humanistyczne prawa człowieka chronią mniejszości seksualne.

Zejdźmy jednak na ziemię. Praktyka Kościoła jest inna. Abp Marek Jędraszewski straszy Polaków tęczową zarazą, inni księża również wykluczają osoby homoseksualne z Kościoła.

Ten język wykluczenia jest po prostu nie do zaakceptowania. W filmie pokazujemy różnych kapłanów, również takiego, który nie potępia miłości głów-

nego bohatera, ale proponuje pozostanie w Kościele za cenę samotnego życia na wzór Chrystusa. Pokazujemy ludzi rozdartych pomiędzy dogmatami a ludzkimi uczuciami i empatią.

Co jest tożsame z oficjalnym nauczaniem Kościoła: możesz być gejem, ale nie wiąż się z nikim i nie uprawiaj seksu. Ten zapis pochodzi z Katechizmu Kościoła Katolickiego.

Z punktu widzenia Watykanu samotność jest największym poświęceniem, na jakie może zdobyć się wierzący gej. Może kochać osobę tej samej płci, ale jeżeli chce zostać w Kościele, to musi poświęcić seksualny wymiar tej relacji. To okrutna oferta. Postawy Kościoła otwar-

tego są mniej słyszalne, rzadko spotykamy w mediach księży czy biskupów, którzy zapraszają gejów do świątyń. Ale oni są, działają, angażują się w ruch walczący o prawa mniejszości. Zależało nam, żeby żadna ze stron nie została przedstawiona w uproszczony sposób. Prezentujemy różnorodne postawy, każda z nich ma własne racje i emocje. Ludzie przypatrują się sobie nawzajem, badają relacje, uczą się siebie. Ważnym punktem odniesienia i inspiracji była dla nas organizacja Wiara i Tęcza, grupująca katolików LGBT. W filmie występuje pod nazwą Tęcza Chrystusa. Oni wciąż otwarcie walczą o miejsce dla osób LGBT w Kościele.

Stajecie po którejś ze stron tego konfliktu?





*Dawid Ogródnik i Maria Maj w filmie „Wszystkie nasze strachy”,
reż. Łukasz Ronduda i Łukasz Gutt*

→ Nie wydajemy ocen, patrzymy na klincz, w którym się znaleźliśmy jako społeczeństwo, pomiędzy wiarą a tęczą. Jednak zdecydowanie bierzemy stronę naszego bohatera.

Czym jest dla niego Kościół?

Wyrasta z niego, był jego członkiem, potem z niego wystąpił i skupił się na bezreligijnym chrześcijaństwie, praktykując wiarę poza instytucją. Ostatnio do niej wrócił, żeby prowadzić działalność reformatorską.

Jak się w nim czuje?

Relacja Daniela z Kościołem ewoluowała. Początkowo bardzo wierzył, że

ta instytucja zmieni swój stosunek do osób LGBT. Później zdał sobie sprawę, że jego obecność w Kościele nosi znamiona syndromu sztokholmskiego: funkcjonował w instytucji, która była dla niego ważna, ale jednocześnie jawnie go wykluczała. Ciągłe zadawał sobie pytanie: jak żyć w Kościele, który ustami biskupów go dehumanizuje? Występując z Kościoła zrobił pracę „Ku Klux Klan”: uszył z szat liturgicznych i komży ministranckich stroje tytułowej grupy. Widać w niej gniew młodego człowieka, który został brutalnie potraktowany przez Kościół. Podczas pracy nad filmem Daniel Rycharski wrócił do Kościoła. Znowu jest otwarty na dialog i marzy o zakończeniu wojny

kulturowej w Polsce. Głośno mówi o tym, co należy w Kościele zmienić i z jakimi problemami mierzą się na co dzień wierzące osoby LGBT. Daniel żyje cały czas na wsi, więc uczestniczy w kościelnych rytuałach, które organizują życie lokalnej społeczności. W małych miejscowościach trudno od tego uciec.

No właśnie, a czym jest wieś dla bohatera? To też rzeczywistość, która łączy większość Polaków: każdy z nas miał z nią kontakt, zna jej tożsamość, buduje uprzedzenia lub akceptację.

Zgadzam się. Żeby zrozumieć aktualnie prowadzone w Polsce spory, musimy zrozumieć nie tylko polski katolicyzm, ale również wieś i ich mieszkańców. Jak żyją, co zmieniła w ich życiu Unia Europejska, dlaczego pielęgnują w sobie traumę lat 90., czy nadal czują się wykluczeni, kto i jak o nich nie opowiadał przez ostatnie 30 lat, dlaczego masowo oddają głos na populistów? Dla naszego bohatera wieś jest miejscem życia, częścią jego tożsamości, jest wytworem wsi, łączy tradycję z nowoczesnością. Daniel jest hybrydą: robi oddolną sztukę religijną, posiłkując się umiejętnościami wyniesionymi z obecnego na wsi doświadczenia niedoboru. W filmie widzimy dużo takich prac, jak na przykład siłownię zbudowaną przez niego dla mieszkańców z zepsutych maszyn rolniczych.

Ale co ich różni?

Ludzie na wsi żyją inaczej niż klasa średnia w wielkich miastach, organizują protesty, których nie rozumie nowe mieszczaństwo. Bo chcą zabijać dziki, które przenoszą choroby. Z punktu widzenia miejskich elit – wegetariańskich, dbających o przyrodę – ochrona hodowli świń to bestialstwo. Ci ludzie jednak bankrutują, tracą gospodarstwa, więc niby dlaczego mają nie protestować? To kolejna sprawa, która mocno dzieli Polaków, inaczej na Polskę patrzą mieszkańcy wsi, inaczej ci z miasta. Rycharski staje po stronie wsi, buduje pomnik chłopca. Na początku filmu jest po prostu jednym z walczących chłopów.

Nawet za cenę homofobii?

Daniel Rycharski pokazuje wieś taką, jaka jest, nie idealizuje jej. W naszym filmie celebруем materialność polskiej

wsí współczesnej. Do wioski Rycharskiego przyjeżdża sporo badaczy, na czele z prof. Tomaszem Rakowskim i prof. Rochem Sulimą, którzy piszą na podstawie swoich obserwacji teksty o Polsce powiatowej. Czerpalimy garściami z tych opracowań, dlatego wielu z widzów widzi, że obraz wsi we „Wszystkich naszych strachach” nie jest zakłamany.

Widzimy więc, w której obszarnicy kupują bardzo drogie maszyny rolnicze, sołtyskę, która dba o spójność miejscowości, są znudzeni młodzi ludzie, ławeczka pod sklepem i Kościół, który odgrywa kluczową rolę. A dlaczego nie ma instytucji publicznych?

Ponieważ państwo polskie jest na wsi wielkim nieobecny.

Kilka lat temu dr Przemysław Sadura pokazał w swoich badaniach, że w małych miejscowościach w III RP zlikwidowano szkoły, biblioteki, domy kultury i posterunki policji.

Została tylko Ochotnicza Straż Pożarna, no i plebania. I do tego ludzie, którzy reprezentuje sołtys.

A jaką rolę odgrywa tam sztuka Rycharskiego?

Wrosła we wspólnotę. W filmie widzimy pomnik chłopca, czyli rzeźbę przedstawiającą frasnolliwego rolnika, zasmuczonego swoim losem. Odwołuje się nie tylko do „Melancholii” Dürera, ale również do ludowych kapliczek z rzeźbami Chrystusa frasnolliwego. W pierwszych scenach spotykamy Daniela, który prowadzi protestowi, przemawia pod pomnikiem. Mówi o wykluczeniu chłopów, o ich osamotnieniu, dużej liczbie samobójstw w tej grupie.

Zupełnie jak w środowisku LGBT.

No właśnie, tutaj staramy się zbudować kolejny sojusz oparty na podobieństwach. Nikt się nimi nie interesuje, państwo zostawiło ich samym sobie. Chłopi i geje są według Daniela dwiema najbardziej pogardzanymi grupami we współczesnej Polsce. Rycharski mówiąc o rolnikach, opowiada tak naprawdę o sobie. Dlatego w ostatnim roku zorganizował projekt „Opieka rodzinna”. Zaprosił do swojej wsi osoby LGBT z Warszawy, które czuły się zaszczute przez homofobiczną propagandę rządu. Zamieszkali

Tożsamości można konstruować na wiele różnych sposobów.

Można być katoliczką i popierać prawo do aborcji, można czytać liberalne media i uczestniczyć w mszy trydenckiej, można bronić TVN-u i głosować na PiS.

u chłopów, wspólnie pracowali na polu, poznawali się i odkrywali wspólnotę doświadczeń. Teraz Rycharski pracuje nad projektem o umieraniu polskiej wsi.

Więć akceptuje geja?

Nie można mówić o jednej wsi w Polsce, te wsie są różne. W niektórych jest bardzo tolerancyjnie, w innych wręcz przeciwnie. Nasz bohater będąc otwarcie gejem, na każdym kroku musi w swojej społeczności udowadniać, że jest potrzebny. Niby wszystko na pierwszy rzut oka jest okej, ale bez przerwy się stara o akceptację, coś dla nich robi, a to pomnik, a to festyn, maluje im fasady domów, zaprasza na wystawy, buduje kapliczki. Wydaje się, że nie mógłby mieszkać we wsi tak po prostu, jak każdy inny, musi się dwa razy bardziej starać. Wkłada wiele wysiłku, żeby go zaczęto tolerować. W filmie widać nie tylko wspólne chwile, walkę o prawa, zabawę przy ognisku, ale też przemoc i wykluczenie. W końcu organizując drogę krzyżową, podejmuje ostateczną walkę o przemianę duchową swojej wspólnoty. Jest to paradoks, na którym oparty jest nasz film; najbardziej żarliwym bojownikiem o odnowę duchową katolickiej społeczności jest gej. To prawdziwy sprawdzian dla wiary mieszkańców wsi, jak i reszty Polaków.

Mimo wszystko Daniel zostaje na wsi. Dlaczego?

Chce ją zmieniać, nie chce opuścić. Bez takiej pracy nie zmienimy się jako społeczeństwo.

Tragicznym i arcypolskim pytaniem jest kwestia tego, czy warto

za wszelką cenę zmieniać rzeczywistość, zapominając o własnym życiu i poczuciu bezpieczeństwa.

To się łączy. Nasz bohater musi najpierw sobie wybaczyć, zadbać o siebie, aby móc dalej dbać o swoją wspólnotę.

Myśli Pan, że film uruchomi dyskusję o jakości polskiej wiary?

Na nasze pokazy przychodzą ludzie wierzący. Dziękują nam za stworzenie przestrzeni do prowadzenia poważnego dialogu o katolicyzmie i chrześcijaństwie w Polsce. Zwracają uwagę, że Kościół nie daje im takiej możliwości. Mogą pójść na mszę, są częścią tej tradycji, ale nie dyskutują z komunikatem, który słyszą z ambony. Mówią, że ich życie duchowe przestało być żywe. Nasz film był dla wierzących katolików doświadczeniem duchowym; co ciekawe, Tadeusz Sobolewski nazwał „Wszystkie nasze strachy” kinem chrześcijańskiego niepokoju. A Łukasz Adamski – „filmem teologicznym”.

A jak reaguje strona liberalna?

Im też brakuje miejsc, w których można rzeczowo porozmawiać. Debata publiczna organizuje się wokół polaryzujących kategorii, my w naszym filmie mówimy, że trzeba zorganizować ją wokół empatii i dialogu. Ludzie nie są ideologicznymi, jednowymiarowymi monolitami. Proszę spojrzeć na Daniela Rycharskiego, który jest katolikiem, gejem, mieszka na wsi, zajmuje się sztuką nowoczesną. Te wszystkie części działają, wzmacniają się. Katolicy i liberałowie, posługując się tak uproszczonym podziałem, mogą zobaczyć w naszym filmie, że tożsamości można konstruować na wiele różnych sposobów. Można być katoliczką i popierać prawo do aborcji, można czytać liberalne media i uczestniczyć w mszy trydenckiej, można bronić TVN-u i głosować na Prawo i Sprawiedliwość.

Mamy wiele odcieni wspólnoty LGBT: jedni popierają emancypację poprzez zmiany prawne, drudzy nie chodzą na parady, cenią domowe zacisze, jeszcze inni boją się wyoutowania. Tak samo różne są odcienie wiary: jedni nie chcą dopuszczać do Kościoła „obcych”, drudzy organizują nabożeństwa dla LGBT, jeszcze inni uczestniczą w mszy, bo to jedyny moment w życiu, kiedy są sami. Nie można sprowadzać poglądów ludzi →

→ do jednej kategorii, życiowe strategie nie są oczywiste. Obowiązujący w Polsce podział sugeruje, że takie osoby jak Daniel Rycharski nie powinny istnieć. A on żyje i rozważa proste kategorie.

Wierzy Pan, że opowiadając o artystkach i artystach możemy zobaczyć w innym świetle problemy społeczne. Skąd takie przekonanie?

Z doświadczenia kuratorskiego. Niektórzy artyści skupiają jak w soczewce opis zjawisk społecznych. W moim poprzednim filmie „Serce miłości” opowiadałem o współczesnym narcyzmie, o tym, że nie potrafimy wyjść poza własną strefę komfortu. Możemy kochać drugą osobę tylko za to, że jest taka jak my. Stawiałem tezę, że nie jesteśmy w stanie zobaczyć drugiego człowieka w radykalnej inności. Ale to były inne czasy, krajem nie rządziła radykalna prawica, wierzone, że historia się skończyła, a progresywne prawa to tylko kwestia czasu. Żyliśmy w bezpiecznych banieczkach, rozwijaliśmy przyjemny lifestyle. „Wszystkie nasze strachy” opowiadają o innym czasie, kiedy musimy się nauczyć przekroczyć narcyzm, uznać, że nie tylko ta druga strona jest zła i zawiła, dostrzec również swoją winę. To warunek dialogu.

Sztuka współczesna może ułatwić dialog?

Tak. Nie wiem, czy pamięta pan wystawę o nowej sztuce narodowej, którą współkuratorowałem w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. „Wszystkie nasze strachy” to jej kolejny etap. Zaprosiliśmy wtedy z Sebastianem Cichockim twórców z prawej strony sceny artystycznej. Oddaliśmy przestrzeń wystawienniczą nurtem narodowym i religijnym. Pokazaliśmy ręce Chrystusa ze Świebodzina, kwietne dywany, pomniki smoleńskie, obrazy tworzone przez kibiców na stadionach, ołtarze. Na wernisażu i podczas debat doszło do fascynujących spotkań i rozmów grup, które się zwykle nie spotykają. Stworzenie takiego miejsca spotkania należy do zadań instytucji publicznych. Mam nadzieję, że również do filmów.

© Rozmawiał

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

Istnienie nieistnienia

MACIEJ TOPOLSKI

Możemy zobaczyć, gdzie kiedyś stały zabudowania, a dzisiaj przebiega ulica, jak zmieniło się koryto Wisły, jak w przeciągu zaledwie kilku miesięcy wszystkie domy, jeden po drugim, zostały spalone.

SAMOLOT BV 141 ZOSTAŁ STWORZONY przez Richarda Vogta, twórcę nietuzinkowych projektów lotniczych. Brytyjskie czasopismo „Aeroplane” napisało nawet na jego cześć rymowaną: „To ci dopiero oryginał / Brzydsze samoloty na świat wydał / Niżby jakikolwiek projektant chciał / Oto widziano nad falami Bałtyckiego Morza / typowego dla Vogta potwora”. Wyprodukowano ponoć tylko 12 sztuk BV 141, który miał jeden czternastocylindrowy silnik oraz ułożoną zaraz obok, niesymetrycznie, gondolę załogową dla trzech osób. W kabinie można było umieścić karabiny, stojaki na bomby o łącznej wadze 200 kg, sprzęt do rozpylania dymu oraz automatyczny aparat fotograficzny.

BV 141 w porównaniu z pełnym gracji Focke-Wulfem Fw 189 naprawdę przypominał toczącego walkę z grawitacją potwora. Samolot zaprojektowany przez Vogta nie sprawdził się na froncie, był jednak używany do lotów rozpoznawczych. Między innymi nad Warszawą w dniach 27 lipca, 30 sierpnia oraz 4 listopada 1944 r., kiedy to wykonano lotnicze fotografie miasta, które wojska III Rzeszy – aż do momentu opuszczenia stolicy Polski – systematycznie niszczyły.

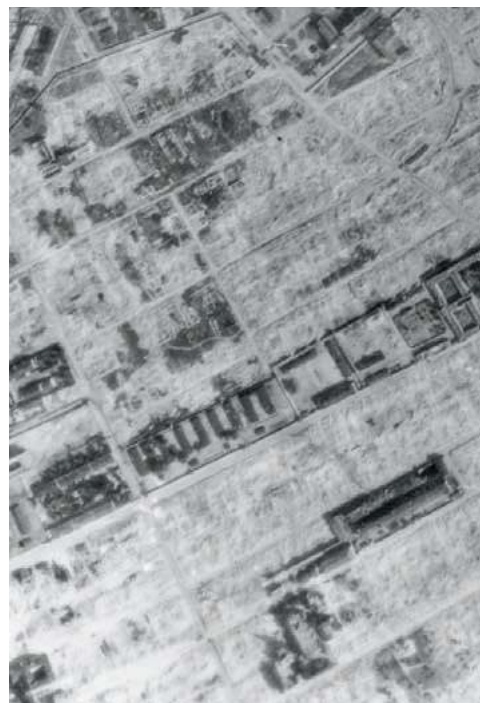
Wszystkie te fotografie lotnicze, wydobyte z amerykańskiego National Archives w College Park przez Muzeum Powstania Warszawskiego oraz firmę

Science Now, posłużyły do stworzenia internetowego projektu „Korzenie miasta”.

Palimpsest

Odnalezienie fotografii wykonanych przez Luftwaffe w zasobach amerykańskiego archiwum zajmuje chwilę. Liczba materiałów przechowywanych w College Park, oznaczonych sygnaturą GX i związanych z lotniczymi fotografiami niemieckimi, które zostały wykonane w latach 1939-1945, wynosi 1,2 mln. Na końcu strony z opisem znajdują się komentarze użytkowników, którzy zgłaszają się z pytaniem o istnienie fotografii lotniczych Kurska, Konstancy czy Dniepropietrowska, a więc kolejno z dzisiejszej Rosji, Rumunii i Ukrainy („muszą być w tym archiwum”, píše użytkownik o nazwie Cliff108). Lista państw, nad którymi samoloty III Rzeszy wykonywały zdjęcia, jest znacznie dłuższa: Austria, Grecja, Islandia, Cypr, Wybrzeże Kości Słoniowej, norweski Spitsbergen i wiele innych.

Archiwum zdjęć lotniczych wykonanych przez Luftwaffe – określane dzisiaj jako „Biblioteka GX” – żołnierze alianccy odnaleźli w ostatnich dniach II wojny światowej w Berchtesgaden, czyli górskiej rezydencji Adolfa Hitlera w południowej Bawarii. Następnie zbiór drogą samolotową trafił do Wielkiej Brytanii, połączony został z materiałami pozyskanymi z innych miejsc, poddany analizie





STRONA INTERNETOWA: ZDJECIA.KORZENIEMIASTA.PL

Po lewej zdjęcie lotnicze Warszawy z 27 lipca 1944 r. (widać wyburzone kwartały dawnego getta). Po prawej Warszawa z roku 2020.

i przewieziony statkiem do Stanów Zjednoczonych. Wszystkie te działania, podejmowane w ramach operacji znanej pod kryptonimem „Dick Tracy”, były istotne ze względu na przyszły konflikt zimnowojenny. Tym samym uzyskiwały znaczenie – tak militarne, jak i polityczne – którego nie posiadały dotąd prawdopodobnie żadne fotografie.

Siły lotnicze III Rzeszy stworzyły bowiem doskonałe, jak na tamte czasy, techniki fotografowania, służące nie tylko do śledzenia postępów wojsk, ale i przeprowadzania bombardowań (zdjęcia z terenów wschodnich pokazują dokładnie radzieckie stanowiska artyleryjskie, lotniska czy rowy przeciwpancerne). Do lat 60., kiedy zaczęły pojawiać się obrazy wykonywane przez samoloty oraz satelity zwiadowcze z dużych wysokości, zbiór odnaleziony w Berchtesgaden stanowił największy i najdokładniejszy materiał wizualny przedstawiający Europę, część Afryki i Związku Radzieckiego, to jest wszystkie te strefy powietrzne, nad którymi – zwłaszcza w pierwszych latach II wojny światowej – dominowały siły lotnicze III Rzeszy.

Zdjęć wydobytych z archiwum w College Park i ukazujących stolicę Polski w 1944 r. jest – przynajmniej w tym momencie – prawie dwa tysiące. Na ich podstawie, jak również na bazie fotografii wykonanych przez siły radzieckie zaraz po wojnie (wcześniej skorzy-

stało z nich Platige Image przy filmie „Ruiny miasta”), Muzeum Powstania Warszawskiego oraz firma Science Now stworzyły cztery warstwy obrazu. Następnie dołączono dwie kolejne – obraz fotograficzny oraz plan z OpenStreetMap – przedstawiające dzisiejszą Warszawę. Zgruzowstała i tętniąca życiem. Taki palimpsest, składający się łącznie z sześciu nakładających się na siebie obrazów, został udostępniony na stronie internetowej projektu (zdjecia.korzenie-miasta.pl).

Po wejściu tam wybiera się jedną lub dwie warstwy, np. z 27 lipca 1944 r. oraz z 2020 r., które nie tylko można przybliżyć i oddalać, ale – za pomocą suwaka – nakładać na siebie i porównywać. Zobaczymy, gdzie kiedyś stały zabudowania, a dzisiaj przebiega ulica, jak zmieniło się koryto Wisły, w jaki sposób niezabudowane brzegi rzeki spiął Most Łazienkowski, wreszcie jak w przeciągu zaledwie kilku miesięcy wszystkie domy, jeden po drugim, zostały spalone.

Z galaktyk do ruin

Zoouniverse jest największą na świecie i najbardziej popularną platformą naukową bazującą na tzw. badaniach społecznościowych (*citizen science*, idei opisanej po raz pierwszy w 1974 r.). Dzisiaj skupia wokół siebie ponad milion wolontariuszy – określanych mianem Zooitów – z wielu państw, którzy wspierają badaczy działających w różnorodnych dys-

cyplinach, m.in. naukach humanistycznych, ekologii czy astronomii.

Galaxy Zoo był jednym z pierwszych tego typu projektów, otwartym w 2007 r. przez uniwersytety w Oksfordzie i Portsmouth dla użytkowników, którzy na bazie zdjęć wykonywanych przez teleskop mieszczący się w obserwatorium w górach Sacramento (stan Nowy Meksyk) pomagają rozpoznawać galaktyki, przyczyniając się tym samym do tworzenia wiedzy na temat ewolucji wszechświata.

Jan Pomierny, założyciel firmy Science Now, tak przedstawia historię tego projektu: – Astronomowie, dysponując zdjęciami głębokiego kosmosu – zbiorem liczącym setki tysięcy fotografii – zdali sobie sprawę, że widzą na nich miliony, jeśli nie miliardy galaktyk, których nikt wcześniej nie obserwował. A komputery nie były i dalej często nie są w stanie – mimo działania sztucznej inteligencji – radzić sobie z klasyfikowaniem tego, co przedstawiają te obrazy. Jednocześnie ludzki mózg, nawet już kilkuletniej osoby, potrafi rozróżnić kształty wskazujące na galaktykę eliptyczną, galaktykę spiralną czy też zderzenie dwóch galaktyk. Gdyby sami astronomowie zajmowali się rozpoznawaniem obiektów, zajęłoby to im wiele dekad. Wpadli więc na pomysł, że skoro na całym świecie wiele osób interesuje się kosmosem, to warto otworzyć bazę fotografii dla internautów i poprosić ich o pomoc.

→ Tak zrodził się cały nurt badań społecznościowych – zwanych często obywatelskimi – w których społeczność jest obecna na każdym etapie procesu: od zbierania danych przez przetwarzanie ich po wyciąganie wniosków. Podobnie jest z „Korzeniami miasta”, które stanowią jedną z nielicznych aplikacji idei *citizen science* w Polsce.

Pierwszym proponowanym przez twórców projektu obiektem odnalezionym na fotografiach lotniczych wykonanych przez III Rzeszę, a widocznym również na zdjęciach współczesnej Warszawy, są drzewa. Kasztanowiec biały przy Pałacu Saskim. Leszczyna turecka na dziedzińcu Ministerstwa Finansów. Miłorząb japoński obok Pałacyku Zamoy-skich przy ul. Foksal. Kolejnym obiektem badań ma być sieć komunikacji miejskiej (do 1939 r. po Warszawie kursowało prawie 700 taborów tramwajowych, po wojnie zostało ledwie 200). Następnym – barykady tworzone w trakcie powstania warszawskiego. Propozycje skupiają się zatem nie na ludziach, a na ich działaniach, które zmieniają obraz miasta. Mówiąc inaczej: perspektywa, z której widzimy Warszawę – bez względu na to, czy są to zdjęcia wykonane przez Luftwaffe, czy przez współczesne satelity – ukazuje miasto jako złożony organizm. Mówiąc jeszcze inaczej: jest to perspektywa odczłowieczona.

Ten aspekt projektu „Korzenie miasta” jest frapujący. Z jednej strony bowiem uczestnictwo w projekcie łączy się z przyjęciem pozycji, jaką zajmowali decydenci III Rzeszy, z Adolfem Hitlerem włącznie – pozycji, która nie dostrzega jednostek, ale wielkie i złożone organizmy, jakimi są miasta. Z drugiej strony uczestnictwo w projekcie musi uwzględniać całkowitą zmianę tej perspektywy, jak również przeznaczenia całego archiwum fotografii lotniczych wykonanych przez Luftwaffe. Ze zdjęć dokumentujących zniszczenie, służących do celów militarnych, wpływających na życie setek

Zdjęcia dokumentujące zniszczenie, służące do celów militarnych, stają się zbiorem wizualnych danych, na bazie których **wszyscy chętni będą tworzyć nową pamięć miasta.**

tysięcy, jeśli nie milionów ludzi, stają się one zbiorem wizualnych danych, na bazie których wszyscy chętni mogą wziąć udział w projekcie. Nie tylko warszawianin, uczestnicy powstania warszawskiego czy historycy będą tworzyć nową pamięć miasta. Z perspektywy odczłowieczonej, widzącej tylko wielkie, złożone organizmy miejskie, będą widzieć to, co ludzkie i jednostkowe.

Jan Ołdakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego: – Bardzo trudno jest wytłumaczyć – między innymi turystom zagranicznym – w jaki sposób Warszawa została zniszczona. W Hiroszimie wciąż stoi zrujnowane centrum wystawowe, będące dzisiaj pomnikiem upamiętniającym zrzuconie bomb atomowych w 1945 r. W Warszawie takich ruin już nie ma, nie istnieją desygnty, które odnosiłyby do zniszczeń, jakich dokonała III Rzesza. Łatwiej pokazać desygnat, trudniej pokazać nieistnienie i wytłumaczyć je. „Korzenie miasta” mają przedstawiać tamte wydarzenia, a jednocześnie stanowić punkt – miejsce – z którego wyrasta pamięć.

Każdy z użytkowników na stronie projektu może wykonać zdjęcia interesującej go części miasta, np. te z 1944 r. zestawione z fotografią satelitarną oraz planem, i przesłać je – za pomocą specjalnego formularza – wraz z opisem dokonanego odkrycia. Przedsięwzięcie „Korzenie miasta” wystartowało pod koniec lipca 2021 r. i jawi się jako działanie o wielkim potencjale: wykraczające poza podziały polityczne, otwarte na różnorodne badania dotyczące roślinności miejskiej, roli fotografii lotniczej, alternatywnej historii miasta, a przede wszystkim dokonujące całkowitej – twórczej i rozwojowej

– zmiany przeznaczenia archiwum należącego pierwotnie do III Rzeszy.

Pamięć wspólna

7 listopada 1944 r. widok na miasto przesłaniały wstęgi lub gęste kłęby dymu unoszące się nad Śródmieściem, Fortem Piłsudskiego czy szpitalem św. Elżbiety. Ale tamto miasto już nie istnieje – gdy nałożyć na nie obraz Warszawy współczesnej, czern i biel zastępują kolory, znikają kłęby dymu, a zieleńce pustką kwadraty wypalonych budynków mieszkalnych okrywają dachy. Tak samo jest z mostem Gdańskim i mostem przy Cytadeli, które dzisiaj równoległe i spokojnie łączą wybrzeża. Ale na fotografiach radzieckich przypominają rozchybotaną kładkę oraz pękniętą kość, której fragmenty porwała bezpowrotnie rzeka.

Na długo zatrzymuję się w tym miejscu, nakładam na siebie kolejne obrazy miasta, patrzę, jak most przy Cytadeli burzy się i powstaje, burzy i powstaje, bez końca. I w pewnym momencie, na zdjęciu z 1945 r., w pobliżu dostrzegam krzyżyk, wyrysowany jakby od linijki. Szukam dalej i odnajduję podobny – obok zburzonego mostu średnicowego. I dalej, zaraz obok dzisiejszej trasy Promu Słonka, pośrodku Wisły. Co oznaczał ten znak? Kto go postawił? Dowódca radziecki? A może członek RAF-u? Czego szukali? Nie wiem. Ale zdaję sobie sprawę, że z tej niewiedzy wyrasta nowa historia.

Kolejne miesiące i lata przyniosą dużo więcej podobnych – może nic nieznanych, może domagających się pogłębionych badań – odkryć. Powodzenie projektu „Korzenie miasta” jest uzależnione ostatecznie od społeczności, o której udział Muzeum Powstania Warszawskiego i Science Now powinno się zatroszczyć: podnosząc jakość udostępnionych fotografii archiwalnych, wskazując nowe możliwe interpretacje, proponując kolejne obiekty do przebadania, udostępniając zebrane dotąd materiały, organizując specjalistyczne dyskusje czy publikując tematyczne artykuły.

Im więcej oczu – i to oczu odpowiednio wyposażonych – przeglądać będzie zdjęcia wykonane w Warszawie przez siły nazistowskie i radzieckie, tym większa szansa na to, że pamięć o mieście nieistniejącym, zrównanym z ziemią, przysłoniętym kłębami dymu będzie żywsza. I wspólna.

© MACIEJ TOPOLSKI



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia
Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE MGM

Daniel Craig ostatni raz wciela się w rolę agenta 007. „Nie czas umierać”, reż. Cary Joji Fukunaga, 2021 r.

Bohater ostatniej akcji

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Bond znowu ratuje świat, ale może to świat powinien dziś uratować Bonda? „Nie czas umierać”, pożegnanie Daniela Craiga z rolą agenta 007, łączy nostalgię z tragizmem i stawia pytanie o przyszłość najstarszego cyklu w historii kina.

KIEDY W 2005 R. DANIEL CRAIG ZOSTAŁ wybrany do roli Jamesa Bonda, reakcje były w najlepszym wypadku wstrzemięźliwe. Serię czekał wielki restart. Producenci postanowili wrócić do początków postaci i zekranizować „Casino Royale”, pierwszą powieść Iana Fleminga o agencie 007 wydaną w 1953 r., do której w końcu uzyskali prawa.

Po poprzedniku, Piersie Brosnanie, klasycznym przystojniaku o nieskazitelnych rysach twarzy, Craig wyglądał jak brzydkie kaczątko: z odstającymi uszami, sztywnymi blond włosami, grubo ciosanymi policzkami. Bardziej przypomi-

nał opryszka z podejrzanej londyńskiej dzielnicy niż brytyjskiego agenta, który miałby uosabiać chwałę niegdysiejszego imperium. Bo nad imperium Bondów słońce nie zachodziło nigdy. Pojawiały się złośliwe porównania do fizys Władimira Putina; media rozpisywały się o tym, jak stracił dwa przednie zęby podczas filmowania swojej pierwszej sceny akcji.

Teraz, w 2021 r., kiedy po paru przesunięciach daty premiery do kin wchodzi „Nie czas umierać” Cary’ego Joji Fukunagi, ostatni Bond z Craigiem, niechęć do aktora wydaje się wstydlwym wspomnieniem dziennikarskiej małost-

kowości. Zamieszanie sprzed piętnastu lat świadczy też o tym, że dziś inaczej patrzymy na popkulturę, męską urodę i starych bohaterów, których niekiedy chcielibyśmy odesłać na emeryturę.

Wiek męski, wiek klęski

Kostium Jamesa Bonda trudno zdjąć: jesteś agentem w trakcie zdjęć, podczas promocji filmu i w okresie przejściowym, kiedy wykluwają się pomysły na kolejne odsłony serii. Pojawiasz się w telewizji oraz w reklamach alkoholu, zegarków, samochodów i innych błyskotek, na które nie stać zwykłych śmiertelników. Zespalasza się z rolą. Kochasz ją, bo zapewnia ci sławę i miliony, ale równocześnie jej nienawidzisz – nie daje ci spokoju oddychać i zająć się tym, na co naprawdę masz ochotę. Nie możesz zdjąć smokingu i odwieźć go do szafy – mit agenta 007 cię dogoni i wciśnie w formę, od której próbujesz uciec. Jeśli spisujesz się na ekranie na piątkę i publiczność cię uwielbia, przed powtórny występ w roli Bonda uratuje cię tylko jedno – nieublagany upływ czasu.

W trakcie blisko 60-letniej historii serii odtwórcy roli agenta dzielili się →

→ zasadniczo na dwa typy. Pierwszy to gwiazdorz „hamletyczni”, wątpiący w sens udziału w tej kosztownej szopce i tęskniący do innych wyzwań, a jednocześnie uparcie powracający na plan, jak Sean Connery i Daniel Craig. Druga grupa to wierni żołnierze, Roger Moore i Pierce Brosnan: niekoniecznie wybitni aktorsko, ale pasujący do postaci i traktujący koronację na 007 jak przygodę życia. Pożegnali się z rolą głównie dlatego, że dogoniła ich starość. Obaj panowie ustąpili pola młodszemu, kiedy zmarszczki pokryły ich czoła, zadyszka zastąpiła dawną sprawność, a z młodzieniaszków przeistoczyli się w doświadczonych wygi. Z drugiej strony, Bond nigdy nie był materiałem dla dwudziestolatków. Trzeba wpisać się w okienko między trzydziestką a pięćdziesiątką, między chwałką dorosłością a dojrzałym wiekiem męskim, bardziej gorzkim i refleksyjnym.

Daniel Craig przeszedł właśnie tę drogę, przeistaczając się z ciekawego brzydala we wrażliwego, zmęczonego życiem herosa. Rozstaje się z Bondem jako współproducent „Spectre” z 2015 r. i „Nie czas umierać”, co jest wydarzeniem bezprecedensowym – dotąd odtwórcy roli 007 nie mieli szans na udział w zyskach z franczyzy. Jego agent chwycił po raz pierwszy za broń podczas rozedrganej dekady naznaczonej 11 września 2001 r. i tzw. wojną z terroryzmem, która wpłynęła na formę kina rozrywkowego – po tym przełomowym roku stało się ono mroczniejsze, eksplorowało zbiorowe lęki i częściej nawiązywało do dokumentalnej chropowatości. Filmowy James Bond, wieczny konformista wyczuwający społeczne nastroje i wybierający odpowiednie barwy ochronne, wpisał się w ów model widowiska. W „Casino Royale” Martina Campbella, na wyrost chwalonym za realizm (wciąż przecież musi wystąpić tuzin zbiegów okoliczności, żeby 007 w ogóle dokończył swoją misję i uszedł z niej cało), narodził się nowy agent Jej Królewskiej Mości.

Zabijał przeciwników w pocie czoła i działał impulsywnie – bardziej jak kamikadze niż chłodny strateg. Niekanoniczna uroda i zachowanie Craiga, uśmiechającego się krzywo i niepewnie, zraziły co poniektórych estetów, ale naznaczyły ten oraz kolejne filmy o szpiegu furią, zdecydowaniem i gwałtownością, których brakowało w interpretacji Brosnana, rozprawiającego się z łotrami bez pośpiechu i z gracją.



MATERIAŁ PRASOWY MGM

Léa Seydoux i Daniel Craig w filmie „Nie czas umierać”, reż. Cary Joji Fukunaga, 2021 r.

U Craiga natomiast wdzięku prawie nie było, a szorstkość ze swego debiutu w roli 007 przeniósł do „Quantum of Solace” Marca Forstera z 2008 r., najsłabszego z pięciu Bondów, w których wystąpił. W przypadku popkulturowej legendy, wokół której zbudowany został spójny fikcyjny świat, groźba zatarcia tożsamości jest realna i niepokojąca. Dekadę temu agent 007 musiał poradzić sobie z tym dylematem: co zrobić, żeby nie stać się kolejnym bohaterem kina akcji, żeby imię i nazwisko Jamesa Bonda wciąż coś znaczyło?

Dobro luksusowe

„Skyfall” Sama Mendesa z 2012 r. odbił się od realizmu i wyznaczył trajektorię serii na kolejne lata. Craig wreszcie trafił na reżysera, który potrafił go ociosać i oszlifować. Niezbyt fortunne zbliżenia twarzy aktora w „Casino Royale”, na przykład kiedy Bond dostaje zawału serca i komicznie krzywi się z bólu, Mendes zastąpił błędną stylizacją i zimną elegancją, z jaką zaczął fotografować agenta. Umieśniono ciało Craiga, zwarte i twarde jak marmur, przyoblekł w szykowne garnitury. Postawił na piękno faktur, przedmiotów i światła – za kamerą stanął Roger Deakins, jeden z najlepszych żyjących operatorów.

Były to dla widzów wyraźne sygnały, że seria ulega przemianom. Producenci Barbara Broccoli i Michael G. Wilson, zarządzający od lat spuścizną Bonda, która jest dla nich zarazem rodzinnym biznesem, zdecydowali się w końcu zaprosić do współpracy znaczące osobowości świata kina. Bond stał się drogą zabawką w rękach utalentowanych mężczyzn, a także

poligonem, na którym twórcy mogą realizować swoje kinowe fantazje (o wyreżyserowaniu przygód 007 marzyło wielu gigantów Hollywoodu, na czele ze Stevenem Spielbergiem i Christopherem Nolanem).

„Skyfall” i „Spectre”, też podpisany przez Mendesa, zainicjowały ponadto fazę manieryczną przygód Bonda, które stały się rozdętymi do granic możliwości, coraz dłuższymi i droższymi hiperspektaklami. Model klasycznie skonstruowanej fabuły, zamykającej się w dwóch godzinach, został wyrzucony do kosza. „Nie czas umierać” to już blisko trzy godziny projekcji – jest tyle spraw, które trzeba domknąć, postaci, którym trzeba poświęcić uwagę, odniesień do przeszłości, które trzeba zaznaczyć. Ekscesy ostatnich Bondów, brawurowych aż do przesady, potwierdzają tylko, że są one w dzisiejszym krajobrazie medialnym dobrem luksusowym. W odróżnieniu od uniwersów komiksowych, które rozczłonkowują się na serie i oddzielne cykle poświęcone drugoplanowym dotychczas bohaterom, każdy nowy Bond to wciąż wydarzenie i rzadkość.

„Nie czas umierać” jest więc najnowszą edycją limitowaną. Na kolejną odsłonę serii przyjdzie nam pewnie poczekać kilka dobrych lat. Luksus jest zresztą esencją całej gry: Bond może „iść z duchem czasu”, dawać więcej przestrzeni kobiecym bohaterkom i kajać się za mizoginię sprzed lat, ale wciąż na świat 007 składają się spektakularne lokacje, połyskujące rekwizyty, drogie kostiumy, nowatorskie gadżety oraz pojazdy, które przyprowadzają fanów i fanki motoryzacji o zawrót głowy.

James Bond musi odejść?

Po „Spectre”, w którym Craig balansował między zblazowaniem a rutyną, jego kreacja w „Nie czas umierać” jest zaskoczeniem. Aktor z przekonaniem i emocjonalnym zaangażowaniem wkroczył w jedną z najbardziej osobliwych opowieści o brytyjskim agencie. Choć niektórzy dostrzegają w filmie ciężar antycznej tragedii, odpowiedniejszym porównaniem byłby dramat muzyczny Ryszarda Wagnera: ołowiana machina operowa, w której najważniejsze są powtarzające się lejtmotywy. Przypominają nam one, że opowieść, w którą się zagłębia, ma głębokie korzenie i mitologiczne osady.

Bondy z Craigiem, choć nowoczesne i dopracowane artystycznie, to narracje schyłkowe. Wydaje się, że agent 007 nie potrafi spojrzeć w przyszłość albo chociażby odnaleźć się w teraźniejszości; musi ciągle oglądać się za siebie. Połączwszy od cytatów muzycznych z klasycznych odcinków serii, przez obecność dobrze znanego arcyłotra, Ernsta Stavro Blofelda, aż po wagę, jaką film przywiązuje do rozdrapywania blizn z przeszłości – świat „Nie czas umierać” to grobowiec, dusząca krypta, w której bohaterowie rozpamiętują traumy i stracone szanse na szczęśliwe życie.

Żałobna tonacja filmu i podniosły ton ocierają się o śmieszność, sygnalizując, że twórcy potraktowali pożegnanie Craiga z rolą niezwykle poważnie. Bond, zakochany w doktor Madeleine Swann (Léa Seydoux), nie jest może, jak sugerowałoby jej imię, bohaterem *stricte* proustowskim, ale z pewnością zamieszkuje świat, który już nie istnieje. Czy czkawką odbija mu się zimna wojna, kiedy rzeczywistość wydawała się prostsza, a pozycja tajnego agenta mocniejsza? Czy też chodzi o dogorywanie ikony, którą wyprzedził peloton superbohaterów w kolorowych kostiumach, lepiej trafiających w gust dzisiejszych nastolatków? A może wyczerpały się Bondowskie rytuały, te do znużenia powielane scenariusze, w których energiczna sekwencja otwierająca przechodzi w gustowne napisy początkowe, a akcja dąży do bombastycznej kulminacji w siedzibie szwarccharakteru?

Usieciowiony, wieloznaczny, śmiejący się z samozwańcych samców alfa świat potrzebuje dziś innych obiektów identyfikacji, wskazując sceptycy. Twierdzą oni, że Bond może już tylko przypomni-

Pozwólmy Bondowi kroczyć własną ścieżką.

Zejdzie ze sceny wtedy, kiedy przestaniemy się nim interesować, kiedy na kolejny film o 007 mało kto będzie czekał. Na razie się na to nie zapowiada.

nać o swojej dawnej chwale, tak jak sama Wielka Brytania: było mocarstwo zmagające się z manią wielkości.

Craig jest zbyt dobrym i ambitnym aktorem, by dać się zjeść nostalgii żywcem – gra z wigorem, swadą i wycuciem. Umiejętnie kieruje też wizerunkiem postaci, która od lat znajduje się pod ideologicznym ostrzałem. Szowinista, zdobywca o mentalności kolonizatora, wyznawca archaicznych męskich cnót: Bond musi się tłumaczyć z tego, kim był, i obiecywać poprawę. Albo zniknąć na dobre. W „Nie czas umierać” okazuje się, że komandor jest na emeryturze, a numer 007 przypadł młodej, czarnoskórej agentce, co zachęciło autora z „Guardiana” do wyrażenia satysfakcji z powodu tej „symbolicznej kastracji, na którą od dawna zasługiwał”.

Niektórzy komentatorzy, naiwnie postrzegający popkulturę jako skuteczne narzędzie zmiany społecznej, chętnie odstawiliby Bonda do lamusa. Inni chcieliby zobaczyć w nim postępową siłę, bohatera wrażliwego na sytuację mniejszości oraz nierówne traktowanie kobiet i mężczyzn. Projektujemy na szpiega nasze rojenia o sprawiedliwym świecie, zapominając jednocześnie, że na nic zda się tutaj ręczne sterowanie. Pozwólmy Bondowi kroczyć własną ścieżką. Zejdzie ze sceny wtedy, kiedy przestaniemy się nim interesować, kiedy na kolejny film o 007 mało kto będzie czekał. Na razie się na to nie zapowiada.

Zmiana warty

Rozjuszony agent Craiga sprzed kilkunastu lat został obłaskawiony: w „Nie czas umierać” stał się oddanym ojcem rodziny. To największa innowacja filmu.

Nieposkromiony kocur, który w „Casino Royale” wyznaje, że najbardziej lubi romanse z mężatkami, ustatkował się i przekazał swoje geny dalej. Pozostanie więc po nim coś więcej niż tylko zgłiszczka i trupy bandziorów.

W ostatnim Bondzie błękitne, łagodne oczy Craiga błyszczą – odbija się w nich miłość, troska i zobowiązanie. Związek z doktor Swann może i czyni Bonda bardziej ludzkim, ale można przekornie zapytać: czy naprawdę chcemy dostrzec w nim człowieka z krwi i kości? Jeśli znów zadziała prawo sinusoidy, to po „Nie czas umierać”, posępnym melodramacie, czeka nas komiksowy Bond, który od ojcostwa będzie uciekał jak najdalej. Poturbowane przez lata pracy ciało Craiga zostanie zastąpione młodszym modelem, bez bruzd, siniaków i zadrapań. Znowu trudno będzie nam przywyknąć do nowego aktora, raz jeszcze serie trzeba będzie wynaleźć na nowo. I znów po jakimś czasie twarz 007 pokryje się głębokimi zmarszczkami i przyjdzie mu pożegnać się z widzami.

Daniel Craig może teraz złożyć broń i, na przykład, skupić się na teatrze: jego kolejną rolą będzie Makbet na Broadwayu. To adekwatna koda dla przygody aktora, który jako James Bond musiał na swoich barkach dźwigać ciężar sprzecznych oczekiwań, narodowej dumy i ikony, dla której świat to za mało. Samoświadomość twórców serii sprawia, że kolejne Bondy komentują przede wszystkim same siebie, tworząc gabinet luster, w którym odbijają się motywy, melodie i pamiętne obrazy.

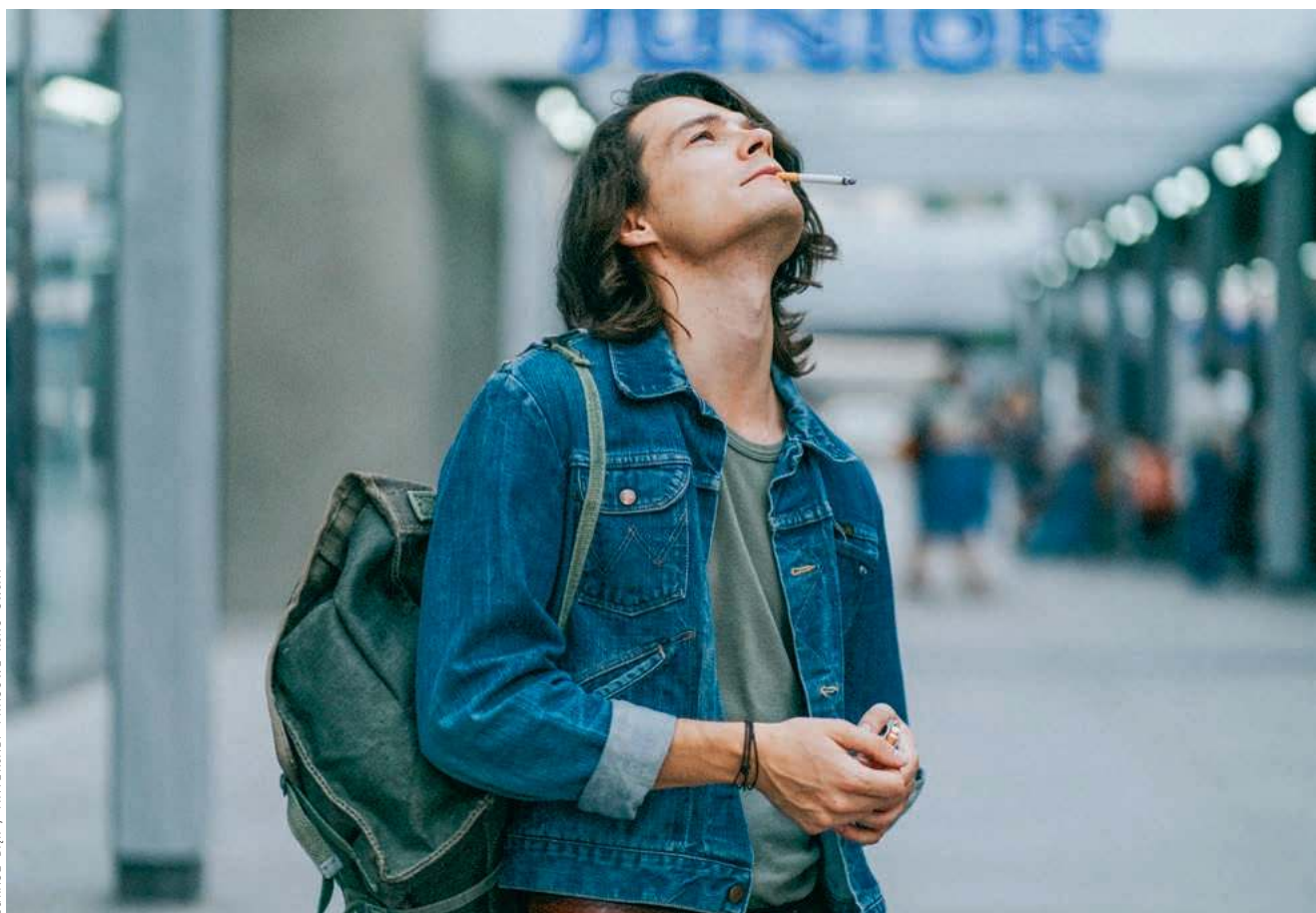
James Bond porasta bluszczem, zamieszkuje swoje własne muzeum. Tytuł „Nie czas umierać” można odczytać jako deklarację producentów, którzy tradycyjnie podkreślają na koniec filmu, że „James Bond powróci”. Nie przestaje jednak dręczyć mnie pytanie: jak długo 007 może odwiedzać groby i odgrywać bohatera ostatniej akcji?

© SEBASTIAN SMOLIŃSKI



SEBASTIAN SMOLIŃSKI
będzie gościem Piotra Zubka
w środę 6 października

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM



Tomasz Ziętek w filmie „Żeby nie było śladów”

Długi film o zabijaniu

ANITA PIOTROWSKA

Ta historia głównym bohaterem uczyniła świadka, który nie może i nie chce zapomnieć tego, co zobaczył.

WGABINECIE MECENASA BEDNARKIEWICZA (w tej roli Dariusz Chojnacki) wisi obraz „Pełzająca śmierć” Zdzisława Beksińskiego. W ten sposób reżyser Jan P. Matuszyński nawiązuje do swojego wcześniejszego filmu, „Ostatnia rodzina”, o zamkniętym świecie malarza i jego bliskich. To jeden z wielu znaków, iż „Żeby nie było śladów” nie stanowi dosłownej ekranizacji książki Cezarego Łazarewicza – nie jest więc rekonstrukcją historyczną sprawy Grzegorza Przemyska. Z powodów dramaturgicznych, prawnych i etycznych tylko niektóre postacie i sceny wiernie naśladują rzeczywistość z 1983 r. Pozostałe narodziły

się w wyniku selekcji, kompilacji czy zagęszczeń arcybogatego materiału dostarczonego przez pierwowzór.

Efekt jest podobny: ta historia sprawia wrażenie, jakby wyrosła z bezsilności i gniewu wobec państwowej przemocy, mataczenia, bezkarności. A głównym bohaterem uczyniła świadka, który nie może i nie chce zapomnieć tego, co zobaczył.

Scena na komisariacie przy Jezuickiej, gdzie stołeczni milicjanci katują maturzystę, właśnie dlatego wydaje się tak przesywająca, że przyjmuje punkt widzenia Jurka, kumpla filmowego Przemyska. Widzimy i słyszymy dokładnie tyle, ile mógł

widzieć i słyszeć sterroryzowany naoczny świadek, grany przez Tomasza Ziętkę. Wokół tego zdarzenia narasta kilka pięter opowieści, w tym zaszczucie Jurka i jego bliskich oraz batalia z udziałem komunistycznego MSW i prokuratury o zatuszowanie faktów. Świadek ma zostać skompromitowany, a wina przerzucona na sanitariuszy. Pojawia się bowiem ryzyko upolitycznienia sprawy i „drobny kłopot natury wizerunkowej”, co czujnie zauważa towarzysz sekretarz Milewski (Andrzej Chyra). Walka o prawdę i sprawiedliwość zderza się z bezwzględnością walką o zatarcie wszelkich śladów.

Z pewnością nie było łatwo połączyć ze sobą na ekranie te dwa wymiary, prywatny i publiczny, nawet jeśli naprawdę pozostawały ze sobą ściśle splecione. Kino rządzi się regułami gatunku: albo thriller polityczny, albo psychologiczny dramat, toteż scenarzystka Kaja Krawczyk-Wnuk musiała wykonać karkołomną robotę, by znaleźć przejścia między tymi różnymi planami. Trzeba było także ożywić z pomocą aktorów dobrze znajome kukły w ówczesnym teatrze politycznym. Stąd tak soczyste postacie

jak cyniczny generał Kiszczak w interpretacji Roberta Więckiewicza („przecież żadne polskie słowo nie zaczyna się na V”), zawsze usztywniony generał Jaruzelski (Tomasz Dedek) czy mówiąca z pełnymi ustami, w futrzanej czapie i krzykliwej stylizacji cyniczna prokurator Wiesława Bardon (Aleksandra Konieczna).

A jednak to ten drugi, prywatny plan skutecznie przekracza ramy anegdoty i strzepuje kurz z archiwaliów. Sandra Korzeniak jako Barbara Sadowska, matka Grzegorza, całą sobą wciela się w matkę bolesną, „wilczycę z wyrwanym płodem” (określenie Hanny Krall, wykorzystane w książce). Gra ze ściśniętym gardłem, jakby jej bohaterka trwała przez cały czas w stuporze, choć nie traciła moralnego pionu. Mimo żaloby i poczucia winy Barbara długo nie daje się złamać, a każde wypowiedziane przez nią zdanie nabiera antycznego ciężaru. Intrygująco wypada również dyskretna, lecz znacząca postać matki Jurka (Agnieszka Grochowska), milczącej w obliczu służalczej postawy męża (Jacek Braciak).

Jak daleko można się posunąć, by zapewnić swojej rodzinie spokój w skrajnie niespokojnych czasach? Jaka będzie cena tego spokoju? Film ma największą siłę nie wówczas, kiedy zamienia się w polityczny procedural, ale gdy ukazuje totalitarny mechanizm niszczenia w kameralnych, rodzinnych warunkach. Ograniczone ciasnym kadrem, odmalowane wyblakłym kolorem życie domowe toczy się własnym rytmem, podczas gdy gdzieś w monumentalnych wnętrzach resortowych gabinetów znajduje się równoległa rzeczywistość, która projektuje kształt dla tej pierwszej. Dlatego perfidia systemu najdotkliwiej ujawnia się właśnie w tych swojskich dekoracjach, przy wódeczce i kanapkach: kiedy ojciec próbuje złamać synowi charakter, a dawno niewidziany kumpel z wojska prowadzi przy stole grę operacyjną.

Oglądamy zatem długi, bo prawie trzygodzinny film o zabijaniu. Przypadkowe (wszystko na to wskazuje) zabójstwo Grzegorza Przemyska wyzwała całą serię innych, symbolicznych zabójstw. Ich największą ofiarą będzie wrobiony przez milicję sanitariusz Wysocki, przejmując zagrabany przez Sebastiana Pawlaka. Rezygnując ze sprawozdawczej

powściągliwości, w wielu, zwłaszcza na poły fikcyjnych scenach „Żeby nie było śladów” uruchamia trudne do udźwignięcia emocje. Porównania z wybitnym skądinąd reportażem Łazarewicza przypominają słynny „suchar” o kozie, która zjadając taśmę filmową mówiła ze znanstwem: „Książka była lepsza”. Kino to zupełnie inne medium. Oczywiście, zawsze można pójść w drobiazgowy paradokumentalizm, choć nie byłby to wówczas film, który trzymałby tak mocno za gardło. Tu bezmiar niesprawiedliwości widz odczuwa na własnej skórze.

Trzeba podkreślić, że podobnie jak w „Ostatniej rodzinie” znakomicie udały się twórcom przenosiny w czasie. W końcu nic tak nie rezonuje ze współczesnością, jak sugestywnie odtworzona przeszłość. Paweł Jarzębski, autor nagrodzonej w Gdyni scenografii, dba o realia, choć bez gadżeciarskiego przeładowania typowego dla filmów powracających do PRL-u. Muszą być jednak ciężkie boazerie, głośno buczące lodówki, herbata w szklankach z koszyczkiem, szklana ryba na telewizorze... Ścieżka dźwiękowa Ibrahima Maaloufa pracuje punktowo, w niskich rejestrach, czasem trochę zbyt natrętnie. Bywa, że aktywnie uczestnicząca kamera Kacpra Fertacza przejmując nagle punkt widzenia tajemników tropiących figuranta i w muzyce słyhać wtedy złowrogi warkot śmigłowca. „Czuję zapach napalumu o poranku” – żartują na początku filmu chłopcy w drodze na Starówkę i słowa te, dotyczące komisji poborowej, nabierają innego, zgoła prorocznego sensu. Lada chwila aparat przemocy zbombarduje chłopaków świat.

Najlepiej oddaje Matuszyński atmosferę strachu i zarazem zwykłego „życia na podsłuchu” – to ono, jeszcze nieświadome inwigilacji i zagrożenia, bezbronne w swojej intymności, budzi największą grozę. Ten film wali w widza tak, żeby były ślady. Żeby „ludzie o miedzianym czole” z wiersza Sadowskiej nie byli bezpieczni. Jest też pośrednio coś o nas, czyli o mediach: żeby w przypadku, kiedy siły porządkowe nadużywają swojej władzy, nie została po tym jedynie zmanipulowana notka w gazecie. ©

ŻEBY NIE BYŁO ŚLADÓW

– reż. Jan P. Matuszyński. Prod. Polska/Francja/Czechy 2021. Dystryb. Kino Świat.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Mata



Koncert, Canal+ Premium, 10 X, 21.30, Canal+ 1, 10 X, 22.30

Jeśli ktoś chciałby naocznie sprawdzić, o co ostatnio tyle hałasu i jak prezentuje się na scenie syn profesora Marcina Matczaka, jest ku temu okazja. 2 października na lotnisku Bemowo 21-letni raper, twórca słynnej „Patointeligencji”, wykonywał utwory ze swojego nowego albumu „Młody Matczak”.

2. Hiacynt



Thriller/dramat, reż. Piotr Domalewski, Polska 2021, Netflix, od 13 X

Czarny kryminał, kino milicyjne w nowej

odstonie i opowieść o kraju, w którym zepchnięty do podziemia homoseksualizm jest rozgrywany przez organa władzy. A przede wszystkim intymna opowieść o życiu w szafie. Najdłużej oklaskiwany film festiwalu w Gdyni, nagrodzony został za scenariusz i charakterystycję.

3. Nomadland



Dramat, reż. Chloë Zhao, USA 2020, Chili, Rakuten, iTunes Store

Dłaczego Fern i rzesze

innych Amerykanów w starszym wieku pozostawiają za sobą wszystko (albo nic) i ruszają w drogę? Ile w tym ekonomicznego przymusu, a ile nomadycznych tęsknot? Oscarowy film z udziałem naturalistycznych i Frances McDormand przepisuje głośny reportaż Jessiki Bruder na własną modłę, tworząc wielowymiarową opowieść.

4. Na rauszu



Komediodramat, reż. Thomas Vinterberg, Dania 2020, Cineman

W kraju o niskiej

kulturze picia ten film może brzmieć cokolwiek ryzykownie. Udało się bowiem jego twórcom zarysować ciekłą granicę między zabawą, eksperymentem i samoupodleniem. A w dodatku uniknąć przerysowań i moralnej paniki na rzecz głęboko ludzkich portretów męskiej smugi cienia, z jej kompleksami, toksynami i melancholią.

JAN

Klata:

Żła de wiwre



DEMNA GVASALIA NIE MA POJĘCIA O WSPÓŁCZESNYM ŚWIECIE, o splątanych ścieżkach kariery, o ich permanentnych rozdrożach, co to się piętrzą z każdym kolejnym miesiącem na szczycie. Uprzywilejowany od dzieciństwa (wiadomo: ZSRR!), nie musi zaznaczać swojej obecności napinaniem się na klasizm z Johnem Galliano, dajmy na to. A efekty? Efekty są. Pomyśl na paryski pokaz domu mody Balenciaga jest tak oczywiście rewolucyjnie przewrotny, że aż nie ma co pisać, po prostu szkoda, że Państwa tam nie było. Mnie też nie było zresztą, za ręczę na zapas, nim zostanę oskarżony o wszystkie możliwe bananowe „izmy”. Nie było mnie, ale to może i lepiej: przecież pokazu też nie było. Było tylko wejście na pokaz relacyjno-

wane elitarnej publiczności *à la live stream*, no i byli Simpsonowie. Simpsonowie – jak być może Państwu wiadomo – są animowani, a zatem reprezentowani byli w Paryżu w postaci projekcji. I tyle. Kurtyna, konfuzja... oklaski – ode mnie na stojąco, piszę ten felieton klaszcząc, nogi mnie już bolą.

Można sobie zobaczyć w internecie, można się zachwycić (można również zniesmaczyć, oczywiście, można kręcić nosem, można miażdżąc obsmarować na fejsie precyzyjnym „Serio?!”) i pławić się w lajkach, wszyscy mogą pisać na fejsie, tam wszyscy są pisarzami, nawet pisarze). Jakie są czasy, każdy widzi, dopóki mu bateria nie padnie. Ja tymczasem wychodzę z szafy ponuractwa, aby zadeklarować, że posiadam dar zachwyty, a że nie waham się nim dzielić od czasu do czasu, więc wykonuję niebaczne *auto da fę* jestem zauroczony jesiennym pokazem Balenciagi w Paryżu. Potencjalny zachwyt znajduje się w inkluzywnej odległości jednego kliknięcia. Sześćset sekund żła de wiwre!

Poczucie humoru na własnym punkcie nie zaszkodzi w żadnej dziedzinie ludzkiej aktywności, zwłaszcza w epoce modnego a permanentnego „triggerowania się” na absolutnie każdy temat. Dobrze, że Gvasalia jest fanem Simpsonów, zanim ich zabronią, nim nastanie nowy wspaniały świat, w którym już nigdy nikt nikogo w nic nie będzie urażał. ©

Lektor:

Nowoczesność na ludzką miarę



■ Fiona MacCarthy

WALTER GROPIUS.

CZŁOWIEK, KTÓRY ZBUDOWAŁ BAUHAUS

Przełożył Jan Dzierżowski. Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2021, ss. 544.

BIOGRAFIA, W KTÓREJ odbija się epoka, bo idee i działalność jej bohatera znacząco wpłynęły na kształt współczesnego świata. Urodzony w 1883 r. w Berlinie Walter Gropius pochodził z rodziny architektów i sam też zajął się architekturą, choć studiów nie ukończył. Zapytany w dzieciństwie o ulubiony kolor, odpowiedział: różnobarwny. Cenił rozmaite style budownictwa, w muzyce kochał Schönberga

i Beatlesów, otaczał się ludźmi tak różnymi, że tworzyli czasem mieszanekę wybuchową. W siedemdziesiąte urodziny mówił: „Zawsze pragnąłem łączyć zasadnicze elementy życia, zamiast wykluczać je w imię dogmatyzmu lub zawężania perspektywy”. Nic dziwnego, że to właśnie on stworzył Bauhaus – osobliwą wspólnotę artystów z różnych dziedzin, instytucję, która działała wprawdzie tylko czternaście lat, ale odegrała

wielką rolę w dziejach XX-wiecznej architektury, designu i w ogóle myślenia o miejscu sztuki w codziennym życiu. Do dziś otaczają nas formy, które tam wzięły swój początek.

Fiona MacCarthy (1940-2020), biografka m.in. Williama Morrisa (dla Gropiusa był jednym ze wzorów) i Byrona, nie napisała monografii architekta, dała za to pełnokrwisty portret człowieka, który – z pozoru sztywny jak stereotypowy Prusak – był nie tylko genialnym nowatorem, ale też mężczyzną obdarzonym temperamentem. Wikłał się w skomplikowane związki, także z uczennicami Bauhausu, a najbardziej burzliwy okazał się romans (i krótkotrwałe małżeństwo) z wiedeńską *femme fatale*, Alną Schindler – żoną kompozytora Gustava Mahlera, a później pisarza Franza Werfla,

kochanką malarza Oskara Kokoschki. Dopiero jako czterdziestolatek Gropius poznał młodszą od siebie Ilse (Ise) Frank, z którą pozostał aż do śmierci w Bostonie w 1969 r. W tle opowieści mamy Berlin czasu cesarstwa, cyganeryjny Wiedeń, front I wojny. Potem Weimar i Dessau (dziś tamtejsze budynki Bauhausu, odnowione bądź odbudowane po zniszczeniach II wojny, znajdują się na liście światowego dziedzictwa). A po dojściu Hitlera do władzy – najpierw Anglia, potem Ameryka. Na koniec dla zachęty obrazek: wrzesień '24, Ise Gropius w poszukiwaniu siedziby dla Bauhausu rozmawia z burmistrzem Kolonii, niejakim Konradem Adenauerem. Przenosin nie będzie, ale przyszłemu kanclerzowi odrodzonych Niemiec bardzo spodobła się czajniczka do herbaty projektu Theodora Boglera... ©P

PAWEŁ

Bravo:

Moc w gębie



SZEŚĆ MILIONÓW TON POMIDORÓW ZEBRANO w tym sezonie we Włoszech. Tych przeznaczonych na przetwory oczywiście, a nie tych krojonych na świeżo do sałatki caprese. Na rynku globalnym nikt nie liczy waszych sałatek, choćby ociekały serwatką z najświeższej mozzarelli i pachniały szałwią na całe piętro. Tylko puszek, miliardy puszek i butelek. Już za moment, wraz z nadejściem pory błotnej, zapewnią nam najskuteczniejszy surogat słońca w kuchni.

Owe sześć milionów to dużo, powyżej oczekiwań, a także więcej niż w dwóch poprzednich chudych latach – przy czym zeszły rok wypadł marnie nie tyle z powodu złej pogody, ile okołocovidowych kłopotów ze sprowadzeniem wystarczającej liczby ludzi do zbiorów. Cieszą mnie te wieści: Włosi to wszak nasi królowie bez skóry (z prastarej dynastii Pelati), odpowiadają za ponad połowę produkcji w Europie, a na świecie równać się z nimi może jedynie Kalifornia.

Jeśli zatem puszek zdrożają, to nie z winy braku surowca, lecz z powodu przerzucania ciężaru inflacji przez największych producentów dzielących rynkowy tort w dalekich krainach deszczowców. W moich oczach liczą się głównie dwaj: jeśli stawiacie wyłącznie na jakość, to liderem smaku jest dla mnie Mutti. Jeśli natomiast bliska jest Wam idea spółdzielczości oraz obchodzi Was bardziej sprawiedliwy udział rolnika w zyskach, to świadomym wyborem niech będzie Cirió – ta marka należy do grupy spółdzielni rolniczych z żywej Emilii.

Z tym że ta „spółdzielczość” obraca obecnie prawie miliardem euro rocznie, więc nie ma co popadać w sentymentalne wizje straganu przy rodzinnym gospodarstwie, gdzie żona w malowniczo upakowanym fartuchu wyciera szmatką świeżo napełnione przecierem słoiki, a z tyłu dobiega wrzask dziatwy dzwigającej skrzynki, które ich ojciec wraz z wujem Vincenzo przywieźli traktorem z pola. Traktor już dawno nie spełniał norm spalinowych i dziś po skonsolidowanych uprawach całej rodziny sunie niskoemisyjny kombajn wyposażony w laserowy system oceny owoców.

Brak malowniczych złudzeń nie oznacza jednak popadania w zupełny cynizm. Może wielu z Was nie ma problemu z wyborem marki pomidorów, bo właśnie kończy w domu pracowite zamykanie słoneczek w słoiki. U nas przecież też ostatki sezonu, z coraz większym lękiem wyprawiam się rano na pobliski plac Na Stawach, patrząc, jak tutejszemu dostawcy wybitnych pomidorów powoli kończy się towar. Coraz mniejsze to, bledsze, a jak jeszcze się trafi skrzynka z dorodnymi okazami, to ma to iwaszkiewiczowski urok remisji przed ostatnią fazą gruzlicy. Jakbym zamiast lasu słupków podtrzyma-

jących bazarową wiatę widział bladą brzezinę, a w pani sprzedającej tuż obok majtasy i biustonosze odnajdował oblicze filmowej Maliny.

Wielu z Was zatem jest dobrze zabezpieczonych i nie musi się zastanawiać nad tym, któremu z włoskich pomidorowych kolosów płacić za święty spokój. Ale nikt przecież nie jest samotną wyspą i niejedna spiżarnia na pewno ma braki, które trzeba uzupełniać, wchodząc we frustrujący kontakt ze społeczeństwem i rynkiem. Czasami trzeba iść do sklepu i narażać cnotę na szwank. Może jednak warto zostawić na boku to pojęcie, mocno nadwyrażone przez dyżurnych radykałów, szantażujących tanim maksymalizmem. Pozostaje za to, jako kompas, mało chyba zużyte – bo niegenerujące fejsbukowych zasięgów – pojęcie przyzwoitości, tej skromnej prawie-cnoty obecnej w liberalnym myśleniu z czasów partii. Marcin Król kiedyś celnie wskazywał, że jej proste wskazówki są nie tyle moralne, ile po prostu umożliwiają ludziom wspólne życie.

Było to dlań jedyne słuszne rozwinięcie liberalizmu strachu – czyli szkoły politycznego myślenia, która chciała zapewnić skromny aparat pojęciowy chroniący jednostki przed nadmiernym okrucieństwem władzy. W cieplarnianych warunkach Zachodu, kiedy zapomnieliśmy o powszedniej przemocy, pojawiła się pokusa liberalizmu odwagi. Rozumianej jako moc w gębie, a nie siła uczynków. Nieskromny uniwersalizm, który potem jest nagle rozczarowany tym, że połowa społeczeństwa nie widzi niczego złego w działaniach służb na wschodniej granicy.

Może więc warto cofnąć się w słowach i osądach o pół kroku. Zrobić coś po prostu przyzwoitego. Zamilczeć i puścić przelew tym, którzy tam na wschodzie dadzą uciekinierowi proteinowy baton albo nowe buty. To maksimum tego, co nasza przyzwoitość może wobec tej sytuacji zrobić. Jeśli nie będziemy się zatem czuli aż tak bardzo moralnie słusznymi i pięknymi, jeśli zleziemy z nienależnego nam cokołu, to łatwiej nam będzie się zastanowić, jak na co dzień pędzić jako tako „wspólne życie”.

© P



*Pomidory potrwają może jeszcze tydzień, za to odkryłem poniewczasie, że znacznie się skrócił sezon śliwkowy (przynajmniej na Mazowszu i w Galicji). W zeszłą sobotę byłem na trzech dobrych targach i wszędzie z trudem łapałem ostatki z drzewa, solidnie pomarszczone. Takie, które aż błagają o obróbkę termiczną. Albo na powidlą, albo na placek. Upiekłem taką jego wersję: ok. **kilo węgierek** kroimy na pół, układamy rozciętą stroną na blasze, polewamy trochę miodem, wstawiamy do pieca w 120 st. C na godzinę, aż się trochę skurczą. W tym czasie szykujemy **kulę kruchego ciasta** wedle waszego ulubionego przepisu, schładzamy ją, a potem wałkujemy tak, by wypełniła prostokątną brytfankę ok. 20 na 30 cm albo okrągłą o podobnej powierzchni, podpiekamy 10 min. w 180 st. C. Mieszmamy **150 g mąki migdałowej** z **150 g cukru pudru**, wkręcamy w to **150 g miękkiego masła**, a następnie **dwa jajka**. Wykładamy ją na przestudzone ciasto i ciasno układamy na wierzchu śliwki. Pieczemy ok. 25-30 minut, aż wierzch się ładnie skarmelizuje, a spód będzie upieczony.*

ZŁOTKA

W tej historii jest
bliskie spotkanie psa i wilka.

I pytanie, co robić
z dzikimi zwierzętami,
które zbyt
przystosowały się do ludzi.

KRZYSZTOF NIEDZIAŁKOWSKI

ZE SNU WYRWAŁO MNIE GWAŁTOWNE PUKANIE. ZA DRZWIAMI stała moja dwunastoletnia córka z zaczerwienioną od płaczu buzią. – Berni mi uciekł i biega po parku ze Złotką! – wykrzyczała.

– Jak to uciekł? – spytałem niezbyt przytomnie.

– Wysunął się z obroży! Wyszedł z nim na spacer i w pewnym momencie podeszła do nas Złotka. Bardzo blisko. W ogóle się mnie nie bała. Berni zaczął się szarpać na smyczy, zsunęła mu się obroża i razem zaczęli biegać po parku! Wołałam, ale nie zwracał na mnie uwagi! – szlochała Maja.

Błyskawicznie ubrałem się i po kilku sekundach dotarłem do miejsca, gdzie zaczynała się rozległa parkowa łąka. W oddali, na ciemnym tle drzew, mój biszkoptowy prawie-labrador radośnie brykał z imponujących rozmiarów dzikim wilkiem.

Spacer z drapieżnikiem

Pogłoski o pojawieniu się w Białowieży wilka lub wilków krążyły od kilkunastu tygodni. Ktoś widział przemykającą w nocy wilczą sylwetkę, komuś zniknął pies, ktoś inny słyszał wilcze wycie. Nie wzbudzało to specjalnej sensacji, bo mieszkańcy tej śródlęśnej wsi przyzwyczajeni są do obecności dzikich zwierząt. Jednak niepokój narastał. W Instytucie Biologii Ssaków PAN, gdzie pracujemy z żoną, zauważyliśmy, że nasze psy stały się ostrożniejsze i z niepokojem wychodzą na spacer do graniczącego z instytutem Parku Pałacowego Białowieckiego Parku Na-

rodowego. Nie przeszkadzało to jednak moim córkom biegać z psem po ogrodzonym terenie instytutu.

Podczas jednej z takich zabaw pies zniknął. Poszedłem go szukać. Zapadł już zmrok. Porywisty wiatr wciskał mi w oczy intensywnie padający śnieg.

– Beerni! Fi-ju, fi-ju, fi-ju, fi-ju, fi-juuu.

Mój głos i gwizd ledwo przebijały się przez świst wiatru. Nasz pies nigdy wcześniej nie próbował uciec. Od czasu, gdy pół roku wcześniej znaleźliśmy go na drodze pod lasem, wychudzonego i z czerwoną pręgą wokół szyi, bardzo się do nas przywiązał. Do tego stopnia, że nie mogliśmy zostawić go samego w mieszkaniu, bo szczekał i ściągał zasłony. Teraz jednak zdecydował się na ucieczkę. Co go do tego skłoniło? Może to właśnie wilk wywabiał go do parku i właśnie pożywia się jego wciąż bardzo szczupłym ciałem?

Kiedy już zaczynałem tracić nadzieję, coś otarło się o moje nogi. Berni popatrzył na mnie z zadowoleniem, jakby nic się nie stało. Może to wtedy spotkał się z wilczycą po raz pierwszy?

Jeżeli tak, to drugie spotkanie przeżyliśmy już wspólnie. Gdy podczas jednego ze styczniowych spacerów pies biegał swobodnie po śniegu, w odległości stu metrów zobaczyłem pięknego, dużego wilka, który wpatrywał się w nas uważnie. Ekscytacja spotkaniem zwierzęcia, którego nigdy wcześniej nie widziałem w naturze, mieszała się z obawą o psa, który – jak wiedziałem – stanowił jeden z wilczych przysmaków. Wy-

obrażnia szybko podsunęła mi obraz towarzyskiego Berniego, który nie zważając na moje rozpaczliwe wołania biegnie w kierunku dzikiego pobratymca, by zginać od kłów wczepionych w jego gardło.

Pies, zajęty hasaniem, nie zauważył jednak obserwującego nas zwierzęcia. Krótka komenda usadziła go w miejscu i mogłem założyć mu smycz. Dopiero wtedy dostrzegł wilka i podniekowany zaczął skomleć. Wilk schował się za kępą drzew i obserwował nas z daleka. Widząc, że się nie ruszamy, wyszedł na otwarty teren i spokojnym krokiem, spoglądając na nas od czasu do czasu, podążył w stronę rezerwatu ścisłego BPN i zniknął.

Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że to nie wilk, ale wilczyca. Któryś z kolegów z instytutu zobaczył ją z tak bliska, że udało mu się rozpoznać płęć. A niedługo sam doczekałem się bliskiego spotkania.

Podczas spacerów przez większość czasu trzymałem Berniego na smyczy, spuszczając go tylko na otwartej przestrzeni, gdzie z daleka byłem w stanie ocenić, że może bezpiecznie biegać. Tak też było tamtego popołudnia. Po przejściu kilkuset metrów doszliśmy do miejsca, gdzie – jak mi się wydawało – pies mógł swobodnie pobiegać. Kiedy jednak mijalem kępę drzew, moim oczom ukazała się wilczyca. Stała na łące kilkanaście metrów ode mnie. Berni został akurat trochę z tyłu i w pewnym momencie zniknął za drzewami. Zamarłem. Znow przed

*Wilczyca Złotka. Białowieża,
27 grudnia 2020 r.*



→ oczami stanęła mi wizja dzikiego zwierza jednym kłapinięciem zębów wyrrywającego mojemu psu tchawicę.

– Beerni! – krzyknąłem głośno. – Beerni! – powtórzyłem zdenerwowany, dodając przywołujący gwizd. – Fi-ju, fi-ju, fi-ju. Beerni, do mnie!

Pies nie wyłonił się zza kępy drzew, natomiast wilczyca, ignorując mnie, spojrzała w tamtą stronę i dostrzegłszy niewidocznego dla mnie Berniego, zaczęła biec w jego kierunku.

– Beerni! – krzyknąłem i rzuciłem się przez łąkę. – Beerni! Fi-ju, fi-ju, fi-ju. Beerni! – wołałem i gwizdałem, z trudem łapiąc powietrze.

Kiedy wreszcie je zobaczyłem, zdołały już odbiec bardzo daleko. W słabym świetle zimowego popołudnia widziałem tylko dwie sylwetki, które... bawiły się w najlepsze. Pies i wilczyca skakały na siebie, okładały się przyjacielsko łapami i się goniły. Wciąż jednak obawiałem się, że ta międzygatunkowa zabawa zakończy się dla psa tragicznie. Biegłem więc dalej, wołając i gwizdząc. Pies zatrzymał się, popatrzył w moją stronę, po czym wrócił do szalonej zabawy z wilczycą.

– Berni! – krzyknąłem z wściekłością, ale zwierzęta zdążyły już schować się między drzewami po drugiej stronie łąki. Dotarłem tam dopiero po kilkudziesięciu sekundach. Na szczęście Berni i wilczyca nadal się bawiły, biegając w poprzek biegnącej wśród drzew ścieżki. Tym razem były dosyć blisko mnie. – Berni, do mnie!

Pies wciąż nie reagował. Poczekiałem, aż dystans między zwierzętami nieco się zwiększy, i krzyknąłem: – Berni, stój! – Była to najmocniejsza z komend, którą udało mi się wypracować w ciągu kilku miesięcy, od kiedy dołączył do naszej rodziny.

Pies niechętnie się zatrzymał. Dyszał ciężko, a z otwartego, uśmiechniętego pyska zwiślał mu długi język. Powtarzając po raz trzeci komendę, doskoczyłem i szybko przypiąłem smycz do obroży. Wtedy mogłem wreszcie przyjrzeć się wilczycy. Stała kilkanaście metrów od nas, przypatrując się nam uważnie.

– Odejdź! – krzyknąłem. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Była imponująca – przerażała Berniego o kilkanaście centymetrów, miała gęstą, błyszczącą sierść koloru złoto-brązowego z czarnymi smugami i długi, puszysty ogon. Widać było, że jest młoda i silna. Cały czas utrzymując z nią kontakt wzrokowy, powoli ruszyłem w stronę domu. Szedłem tyłem, a wilczyca za mną. Pies skomlał podekscytowany. – Odejdź! – powtórzyłem. – Odejdź! Już! – krzyknąłem, podnosząc ręce. Zatrzymała się, po czym powoli, jakby z niechęcią, odeszła w bok i zniknęła wśród drzew.

Gdy dotarłem do domu, stres związany z bliskim spotkaniem z drapieżnikiem przerodził się w ekscytację i zachwyty. Opowiadając żonie i dzieciom o pięknej wilczycy, zacząłem o niej mówić „Złotka”, co pasowało do niej nie tylko ze względu na kolor, ale również z uwagi na miejsce spotkania – nazwę tę nosi jedna z rzeczułek przepływających przez Polanę Białowieską.

Od tej pory nie spuszczaaliśmy Berniego ze smyczy. Na wieczorny spacer nie chodziliśmy już do Parku Pałacowego, tylko wzdłuż oświetlonej ulicy Parkowej. Pewnego razu szliśmy wzdłuż Stoczka – głównej ulicy Białowieży. Przy bramie do Białowieskiego Parku Narodowego, za którą rozciąga się Park Pałacowy, pies długo wachał ślady zostawione tam przez inne zwierzęta, po czym sam zaznaczył teren. Gdy wracaliśmy, przed

bramą stała wilczyca, dobrze widoczna w świetle latarni. Dostrzegła, że się zbliżamy, i powoli odeszła w mrok. Berni zęgnął ją głośnym skomleniem.

Innym razem spacerowaliśmy po Parku przed zachodem słońca, gdy nagle pies zaczął skomleć, z entuzjazmem wpatrując się w nieodległą kępę krzewów. Wkrótce dobiegła odpowiedź – tęskne skomlenie, bardzo podobne do tego, które wydawał Berni. Tym razem wilczyca pozostała w ukryciu, a my odeszliśmy w stronę domu. Zdawałem sobie jednak sprawę, że wilczyca nas obserwuje, a Park stał się często przez nią odwiedzanym fragmentem jej terytorium. Złotka wiedziała też, gdzie mieszkamy – jedna z kamer zainstalowanych przy bramie instytutu zarejestrowała nocne odwiedzinny wadery, która prawdopodobnie podążała po śladach Berniego. A pewnej nocy obudziło nas wycie – to ona była w parku naprzeciwko balkonu naszego mieszkania. Stało się jasne, że wilczyca szuka partnera, i że nasz pies bardzo przypadł jej do gustu.

Złotka nie była jedynym wilkiem, który wtedy odwiedzał Białowieżę. Pracownicy instytutu rozstawili w kilku miejscach fotopułapki. Jedna z nich zarejestrowała w nocy grupę trzynastu wilków przechodzących uliczką nieopodal Parku Pałacowego. Byłem świadomy, że wilki zazwyczaj unikają ludzi i nawet w trakcie przypadkowych spotkań nie są agresywne, ale myśl o spotkaniu podczas wieczornego spaceru z Bernim tak dużej grupy dzikich zwierząt napawała mnie obawą.

Biorąc pod uwagę to, jak często wilki zaglądały wówczas do Białowieży, jej mieszkańcy wykazywali się cierpliwością i spokojem. Wójt przygotował rzeczową informację o wilkach, prosząc mieszkańców o zachowanie zasad bezpieczeństwa. Zbyt nie przyzwyczajenie się wilczycy do ludzkiej obecności groziło jednak wypadkiem, który skończyłby się nie tylko koniecznością odstrzału Złotki, ale zostałyby podchwycyony przez środowiska niechętnie drapieżnikom jako argument za przywróceniem polowań na wilki. Konieczne było odsunięcie tego niebezpieczeństwa.

Samotna złota wilczyca pozostawała jednak nieuchwytna. Aż do pewnego zimowego poranka.

Wilcze oczy

– Beerni! – krzyknąłem, biegnąc przez łąkę w stronę dokazującej pod ścianą drzew pary zwierząt. – Fi-ju, fi-ju, fi-ju! Beerni! – Berni! – powtarzała biegnąca za mną Maja. – Beerni! Fi-ju, fi-ju, fi-ju, fi-ju!

Pies pobieżnie popatrzył na mnie i wrócił do zabawy z wilczycą. Podbiegłem bliżej. Tak jak kilkanaście dni wcześniej, poczekiałem, aż Berni oddali się nieco od Złotki, i krzyknąłem: – Berni, stój!

Wilczyca widząc, że się zbliżam, odbiegła nieco. Doskoczyłem do Berniego, założyłem mu obrożę i przypiąłem smycz. Złotka obserwowała nas uważnie. Pies cicho skomlał. Tyłem ruszyłem w stronę domu, patrząc na Złotkę, która szła za nami. Zadzwoił mój telefon – żona zawiadomiła kolegów z instytutu zajmujących się wilkami, Krzysztofa Schmidta i Rafała Kowalczyka, którzy szybko zjawili się w parku. Rafał miał ze sobą strzelbę pneumatyczną. Drżącą dłonią wybrałem jego numer:

– Rafał, co robimy? Tu masz chyba dobre pole do strzału?

– Nie mamy pozwolenia na odłowienie na terenie parku narodowego. Musimy ją jakoś wywabić. Może spróbuj przejść na łąkę koło instytutu – ja się gdzieś przyczaję.

Wilczyca niespokojnie krążyła wokół nas, wpatrując się w Berniego. Widać było, że targają nią sprzeczne emocje – chciała zbliżyć się do psa, ale obawiała się ludzi. Powoli, patrząc na wilka, ruszyłem w stronę łąki, którą od Parku Pałacowego oddzielał kilkunastometrowy pas drzew. Złotka cały czas nam towarzyszyła, utrzymując bezpieczną odległość. Wszedłem między drzewa. Na skraju łąki dostrzegłem Rafała. Wilczyca szła za nami, jednak kiedy opuściliśmy zadrzewiony teren, zatrzymała się z wahaniem, po czym zawróciła. Z jej pyska wydobyło się niskie, potężne wycie, w którym usłyszałem tęsknotę i wyrzut. Ruszyła w stronę łąki i lasków rozciągających się pomiędzy Parkiem a rezerwatem ścisłym Parku Narodowego. Wraz z Rafałem i Bernim podążyliśmy za nią. Wydawało się nam, że wystraszona wilczyca zaraz zniknie i nie uda nam się jej odłowić. Spoglądała jeszcze na nas od czasu do czasu, ale dystans się zwiększał. Wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Fi-ju, fi-ju, fi-ju! – zagwizdałem głośno. Wilczyca zatrzymała się i odwróciła głowę. – Fi-ju, fi-ju, fi-ju! – powtórzyłem. Złotka zrobiła kilka kroków w naszym kierunku. Prawdopodobnie gwizdanie przypominało jej o Bernim i instynkt ucieczki został przytłumiony przez chęć zbliżenia się do psa.

Zdążyliśmy już wyjść na łąkę. Wilczyca krążyła wokół nas, chcąc zbliżyć się do swojego wybranka, który cały czas skomlał, w napięciu ją obserwując. Rafał został nieco z boku i przygotowywał się do oddania strzału strzykawką ze środkiem usypiającym. Warunki były trudne, bo wiał porywisty wiatr, a Złotka cały czas była w ruchu.

– Fi-ju, fi-ju, fi-ju! – wilczyca zatrzymała się na chwilę. Padł strzał. Strzykawka z pomarańczową kitką na końcu zwisła jej z uda. Wystraszona Złotka ruszyła w stronę drzew, a my pobiegliśmy za nią. Początkowo wydawało się, że środek usypiający nie zadziałał, ale stopniowo ruchy zwierzęcia stawały się coraz wolniejsze, aż w pewnym momencie wilczyca zaczęła się pokładać. Jednak za każdym razem, gdy próbowaliśmy się zbliżyć, wstawała i odchodziła kilkanaście metrów dalej.

– Muszę jej podać jeszcze jedną dawkę – stwierdził Rafał. Kolejny pomarańczowy kwiat rozkwitł na złoto-brązowej sierści. Złotka poderwała się i odbiegła między drzewa, tym razem jednak po kilkunastu metrach położyła się. Tymczasem na polanę dotarli pracownicy instytutu ze sprzętem do odłowu dzikich zwierząt. Po upewnieniu się, że wilczyca jest uspiona, przełożyli ją na sieć rozpostartą między dwoma drągami, po czym ostrożnie przenieśli w stronę drewnianej skrzyni transportowej. Pies patrzył na całą operację, napinając mocno smycz i skomląc cicho. W momencie gdy zawieszona w sieci Złotka nas mijała, zobaczyłem, że ma otwarte oczy i patrzy na Berniego. W jej spojrzeniu można było odczytać strach i... tęsknotę. Za chwilę jednak ostrożnie włożono ją do skrzyni i odjechała do ośrodka rehabilitacji zwierząt Białowieskiego Parku Narodowego. Tam miała czekać na znalezienie miejsca stałego pobytu.

Tylko kto miał szukać nowego domu dla Złotki? Pracownicy BPN, gdzie tymczasowo przebywała? Wójt Białowieży, odpowiedzialny za jej odłowienie? Naukowcy z Instytutu Biologii Ssaków PAN? Formalnie był to obowiązek wójta, ale skąd on miał wiedzieć, gdzie umieścić wilka?

Pracownicy instytutu zaczęli dzwonić do znajomych osób i instytucji z pytaniem o możliwość umieszczenia u nich

Złotki. Po jakimś czasie zgłosiła się fundacja, która zadeklarowała, że przyjmie wilczycę do siebie, jak tylko zbuduje dla niej specjalny wybieg pod Koszalinem. Szybko zorganizowana zbiórka pieniędzy, rozpropagowana przez media, przyniosła sukces – w ciągu czterech dni od ogłoszenia zbiórki fundacja ogłosiła, że zebrała całą kwotę! Wilcza woliera miała powstać w ciągu kilku tygodni.

Jest szansa

Maja i jej młodsza siostra Tola kilkakrotnie pytały, czy nie mogłyby odwiedzić Złotki w ośrodku BPN, najchętniej z Bernim. Niestety, jej wybieg był dostępny tylko dla pracowników parku zajmujących się znajdującymi się tam zwierzętami. Poza tym uważałem, że każdy kontakt z ludźmi będzie dla dzikiego zwierzęcia stresem i należy zostawić Złotkę w spokoju. Mijał czas, zaczęły się wakacje. Na początku sierpnia zapytałem kolegę z IBS Krzysztofa Schmidta, czy wie coś o losach Złotki. Okazało się, że wilczyca wciąż jest w ośrodku BPN. Fundacja, która miała ją odebrać, napotykała problemy z budową woliery – nie mogła spełnić wymogów stawianych przez Inspekcję Weterynaryjną. Sprawa utknęła.

Czułem, jak z każdym słowem kolegi narasta we mnie złość. – Czy naprawdę jedynym sposobem na rozwiązanie problemów z chronionymi zwierzętami w Polsce jest ich odstrzał? Dlaczego nie zrobiono czegoś, żeby przerwać ten impas, do jasnej cholery?

– Widzisz, jak to działa – odpowiedział ze spokojem. – Kiedy dowiedziałem się, co się dzieje, zadzwoniłem do Ewy Zgrabczyńskiej, dyrektorki poznańskiego zoo. Okazało się, że jest szansa, że będzie mogła przyjąć wilczycę. Od razu skontaktowałem się z BPN i z wójtem Gminy Białowieża, żeby wystąpił do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska o zgodę na przewiezienie wilczycy. Kiedy zgoda przyszła i Ewa zwróciła się o wydanie zwierzęcia, dyrektor Parku Narodowego stwierdził, że potrzebuje jeszcze zgody ministra środowiska. Więc sprawa znów się przeciąga. Ale jeżeli wilczyca trafi wreszcie do Poznania, będzie w dobrych rękach. I być może będzie miała towarzystwo, bo w zoo jest również odłowiony niedawno pod Poznaniem samiec.

Być może się uda. Tymczasem system zarządzania sytuacjami konfliktowymi z udziałem dzikich zwierząt chronionych działa tak, jak działał, czyli bardzo słabo.

Historia Złotki zdarzyła się w Białowieży – szczególnym miejscu, gdzie funkcjonuje park narodowy i kilka jednostek naukowych. A mimo to znalezienie domu dla wilczycy, która zanadto przyzwyczała się do ludzi, zajęło wiele tygodni, wymagało przejścia przewlekłych procedur oraz dobrej woli wielu osób. Jak wygląda to w miejscach, gdzie ludzie nie mają doświadczenia z dzikimi zwierzętami, nie ma badaczy znających ich obyczaje, a przede wszystkim nie ma urodziwego prawie-labradora Berniego? Dlaczego wciąż brak profesjonalnej służby zajmującej się szybkim reagowaniem w podobnych sytuacjach i systemu azyli dla dzikich zwierząt?

Złotka wciąż czeka.

© KRZYSZTOF NIEDZIAŁKOWSKI

Autor jest pracownikiem naukowym Instytutu Filozofii i Socjologii PAN oraz Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży. Zajmuje się analizowaniem konfliktów społecznych wokół ochrony przyrody.

STANISŁAW

Mancewicz:

O spójności



GDYBY POWIEDZIANO NAM KIEDYKOLWIEK, że w biały dzień w Telewizji Polskiej zobaczymy twardą pornografię komentowaną na żywo przez ministrów polskiego rządu, tobyśmy nie uwierzyli i puknęli się w myślące czołko.

Wiara nasza – musimy to wyznaczyć – w zdolności polskich polityków do kompromitacji i do braku jakichkolwiek hamulców jest wielka. W ciągu trzech dekad wypełniliśmy notesy znakomicie udokumentowanymi zapiskami, szkicami i tabelkami umożliwiającymi studia nad polską polityką, a zwłaszcza nad tym elementem, który jest jej trzpieniem, czyli nad kompromitacją właśnie. Idzie nam tu o kompromitację wszelakie, a więc – pardon – intelektualne, ale też wizerunkowe i, rzecz jasna, moralne, choć to ostatnie w ogóle nie wiadomo, co w Polsce znaczy. Zapewne nic. No więc rzecz można ponuro, że powinniśmy być przygotowani na wszystko. Na – to trzeba z naciskiem powtórzyć – absolutnie wszystko, cokolwiek chora wyobraźnia jest w stanie nam podpowiedzieć. I oto okazało się, że nie, że jesteśmy jak owo kociątko mruczące, jak kózka na pochyłe drzewko skacząca, jak gołąbek gruchający: jesteśmy naiwni, ufni i pełni miłości do świata oraz wszelkiego stworzenia. Okazało się, że jesteśmy gruntownie nieprzygotowani, ani teoretycznie, ani praktycznie, do życia w kraju rządzonym przez najgorliwiej zadekklarowanych pravicowych katolików. Ten występ i pokaz nas kompletnie zamurował i nie wstydzimy się owego szczerzego zaskoczenia ani także nie chcemy go ukrywać przed najszerszymi rzeszami.

Do rzeczy. Wrażenia ze wspomnianej tu na początku antyczłowieczej konferencji polskich ministrów i wojskowego były zaskakujące i mocne na kilku płaszczyznach. Po pierw-

sze, oczywiście dlatego, że na pewno w ramach misji, jaką telewizja publiczna ma przecież wpisana do swego statutu, pokazano bardzo gorszące fotografie w porze, gdy nasze najśłodsze dzieciaczki jeszcze nie śpią. Ta uwaga – teraz przeczytaliśmy sobie to zdanie po raz wtóry – rzeczywiście daje nam autoświadectwo czołowego w prasie polskiej naiwniaka i frajera o miękkim sercu. Przykre to, ale niestety prawdziwe.

Po drugie, moc konferencji Błaszczaka, Kamińskiego, Pragi i Żaryna ma wymiar globalny. Nie przypominamy sobie, by przedstawiciele jakiegokolwiek rządu na świecie dali kiedykolwiek tego typu przedstawienie, by występowali w podobnej scenografii, w podobnych kostiumach i z podobną listą dialogową.

Po trzecie, konferencja ta wybiła nas na zawsze z przekonania o niezdolności polskich realizatorów kinowo-telewizyjnych do uzyskania światowej jakości efektów. Oto przez lata z ogromnym znudzeniem i lekceważeniem oglądaliśmy polskie próby wysadzania zamczysk, szarż konnych, pancernych, erotycznych i tym podobnych realizacji, będących chlebem powszednim zamożnych kinematografii na świecie. Wszyscy wiemy, że jeśli idzie o rodzimą produkcję, to owa wymagała zawsze od widza mnóstwa dobrej woli, zdolności abstrakcyjnego myślenia i gibkości w przyjmowaniu umowności. Tu zaś żadnej umowności nie było. Widz nie musiał kręcić się w labiryntach własnej wyobraźni zdrowej bądź chorej, nie musiał gubić się w domysłach, o co akurat teraz na polskim srebrnym ekranie chodzi. Dostał bowiem na tacy to, co w kinie najlepsze, czyli rewelacyjnego operatora pracującego w dodatku na żywo, czującego klimat i wagę chwili. Dostał konkretnie, a nie jakieś moralne niepokoję czy łzawe noce i dnie. Kamera – przypomnijmy sobie – na zmianę pokazywała twardą pornografię i twarze komentatorów, dzięki czemu mogliśmy obserwować współgranie kadrów, wyrazów twarzy ludzi, uzyskaliśmy dzięki temu szokujące, niespodziewane poczucie estetycznej spójności, uzupełnionej monologami i dialogami w polszczyźnie dwudziestego pierwszego wieku. Wszystko to stworzyło całość zwartą jak – za przeproszeniem – oscypek z jego barwą, smakiem i zapachem.

Ten rodzaj uniesienia – powiedzmy szczerze – w opisywaniu konferencji prasowych zdarza nam się po raz pierwszy i zapewne nie po raz ostatni.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



Najlepsze wspomnienia z podróży w reportażach, esejach i rozmowach.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN



Piszą Błażejowska, Bieńczyk, Drenda, Jagielski, Koziółek, Kuczek, Kuźmiński, Olszewski, Przewrocka-Aderet i Stasiuk.

Kup tygodnikowy
„Atlas miejsc niezwykłych. W drogę!”
i pielęgnuj z nami najpiękniejsze
wspomnienia z wakacji.

„W drogę” dostępne już także jako ebook!
Więcej na powszech.net/wdroge

PARTNERZY WYDANIA:



TYGODNIK
POWSZECHNY



Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteiki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**18–24.10
2021**



Rebecca Solnit
George Saunders
Han Kang
Marieke Lucas Rijneveld
Behrouz Boochani
Aoko Matsuda
Brandon Hobson
Dorota Masłowska
Mikołaj Grynberg
Angelika Kuźniak
i inni



ONRAD FESTIVAL

**NATURA
PRZYSZŁOŚCI**

oglądaj na

**PLAY
KRAKÓW**
playkrakow.com

 **YouTube**

 **ConradFestival**
TygodnikPowszechny

Organizatorzy

INSTYTUCJA
KULTURY
MIASTA
KRAKOWA

kbf:
operator programu

 **KRAKÓW**
UNESCO CITY
OF LITERATURE



**FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO**



**Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.**

Dofinansowano

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

A stylized, high-contrast portrait of Tadeusz Różewicz. The image uses a limited color palette of red, orange, and blue. The man's face is rendered in shades of red and orange, with dark blue outlines for his features and glasses. He has white hair and is wearing dark-rimmed glasses. The background is a solid blue. In the top right corner, there are two red rectangular boxes containing white text. The main title and subtitle are in large, bold, blue letters at the bottom, and the honorific is in smaller white letters at the very bottom.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 41/2021

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Stulecie Urodzin

HONOROWY OBYWATEL WROCŁAWIA

WYBRANE WYDARZENIA ROKU TADEUSZA RÓŻEWICZA WE WROCŁAWIU



2021 ROK

Tadeusza Różewicza

PAN TADEUSZ RÓŻEWICZ – otwarcie wystawy stałej Muzeum Pana Tadeusza, Zakład Narodowy im. Ossolińskich

Wystawa skupia się wokół tematów ważnych w twórczości pisarza, takich jak trauma wojenna i nostalgia za dzieciństwem, dociekania na temat wiary, poczucie wewnętrznej martwoty czy fascynacja malarstwem i popkulturą. Istotnymi zagadnieniami są także twórczość dramaturgiczna i scenopisarska Tadeusza Różewicza oraz jego wrocławska i światowa recepcja.

■ OTWARCIE: 9 października 2021

TADEUSZ RÓŻEWICZ – POETA OBECNY – wystawa Miejska Biblioteka Publiczna im. Tadeusza Różewicza we Wrocławiu

Ekspozycja składa się z fotografii obcojęzycznych wydań utworów poety. Będzie ona stałą oprawą kolekcji obcojęzycznych wydań Tadeusza Różewicza, które Bibliotece przekazała wnuczka poety – Julia Różewicz.

Miejsce: Biblioteka Grafit, ul. Namysłowska 8 | online

■ OTWARCIE: 9 października 2021

GESTY POETY – online Miejska Biblioteka Publiczna im. Tadeusza Różewicza we Wrocławiu, Wrocławski Teatr Pantomimy

Publikacja krótkich etiud pantomimicznych inspirowanych poezją Tadeusza Różewicza i wybranymi fotografiami Adama Hawateja. Publikacja na stronie internetowej i kanale YT Biblioteki.

■ TERMIN: październik 2021

KARTOTEKA. FOTOGRAFICZNA PODRÓŻ Z RÓŻEWICZEM Wydawnictwo Warstwy / Wrocławski Dom Literatary

Album prezentuje wyjątkowe fotografie autorstwa Adama Hawateja, który towarzyszył próbom zespołu teatralnego przygotowującego się do premiery „Kartoteki rozrzuconej” w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Poznajemy nową twarz Tadeusza Różewicza – nie tylko poety, pisarza i dramaturga, ale także reżysera, wcielającego swoje literacko-teatralne koncepcje w sceniczne życie.

■ PREMIERA: 4 października 2021

W DRODZE. LITERACKI PRZEWODNIK PO WROCŁAWIU ŚLADAMI TADEUSZA RÓŻEWICZA Wydawnictwo Warstwy / Wrocławski Dom Literatary

Publikacja pod redakcją Wojciecha Browarnego to opowieść o Wrocławiu Różewicza. Przewodnik przedstawia miejsca w dziełach i biografii poety związane z przestrzenią, instytucjami oraz znakami krajobrazu (realnego i symbolicznego) Wrocławia. Stronę graficzną publikacji stanowią fotografie, rysunki poety oraz mapa z punktami topograficznymi, po których wiodą „przechadzki”.

■ PREMIERA: grudzień 2021

BRATERSTWO POEZJI. KORESPONDENCJA, WIERZSE I INNE DIALOGI 1947-2013 Wydawnictwo Literackie, Wydawnictwo Warstwy

Czesław Miłosz i Tadeusz Różewicz: bez nich nie można wyobrazić sobie mapy polskiej literatury. Różniło ich wiele – inaczej widzieli świat, inaczej o nim mówili. Publikacja zawiera ich korespondencję z lat 1947-2003 oraz wybór tekstów. Redakcja: Emil Pasierski, wstęp: Andrzej Franaszek.

■ PREMIERA: 17 listopada 2021

TADEUSZ RÓŻEWICZ WE WROCŁAWIU. LUDZIE – MIEJSCA – OPOWIEŚCI – wystawa plenerowa Centrum Historii Zajezdnia

Tematem wystawy przy ul. Świdnickiej będzie wrocławski okres w biografii i twórczości pisarza, udokumentowany fragmentami jego utworów, wspomnieniami i zdjęciami oraz komentarzem prof. Wojciecha Browarnego z Uniwersytetu Wrocławskiego.

■ TERMIN: 1-19 listopada 2021

BOHATER.DOK – spektakle w przestrzeni miejskiej Stowarzyszenie Garaże Kultury, Instytut im. Jerzego Grotowskiego

Oczy matki
Scenariusz i reżyseria: Marta Kowalska, Ada Tabisz, Vital Ione, Mateusz Przytycki
Miejsce: Ośrodek Działań Twórczych Światowid, ul. Stefanii Sempolowskiej 54a

■ TERMIN: 20 października 2021

Garbologia. Studium śmieci
Scenariusz i reżyseria: Natalia Klupp, Jolanta Sikorska, Anna Bolewska
Miejsce: Zarząd Inwestycji Miejskich, ul. Januszowicka 15a

■ TERMIN: 21 października 2021

W sieci
Scenariusz, reżyseria: Anna Wierczok, Krzysztof Kopka
Miejsce: Rada Osiedla Huby, ul. Gliniana 55

■ TERMIN: 22 października 2021

ARCHIPELAG RÓŻEWICZA – cykl wydarzeń

Mów o sobie, tylko o sobie
Premiera spektaklu Wrocławskiego Teatru Pantomimy w reż. Darii Kopiec
Miejsce: Instytut Grotowskiego, Centrum Sztuk Performatywnych Piekarnia

■ TERMIN: 17-19 września 2021

Złowione
Premiera spektaklu Teatru ZAR w reż. Jarosława Freta
Miejsce: Instytut Grotowskiego, Centrum Sztuk Performatywnych Piekarnia

■ TERMIN: 7-8 października 2021

Staruszek
Premiera spektaklu przygotowanego we współpracy Instytutu im. Jerzego Grotowskiego z Wydziałem Łąkarskim Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie Filii we Wrocławiu w reż. Eweliny Ciszewskiej
Miejsce: Instytut Grotowskiego, Sala Teatru Laboratorium

■ TERMIN: 11-12 października 2021

Odchodzi
Plenerowa wersja spektaklu Sceny Plastycznej KUL w reż. Leszka Mądzika
Miejsce: park Południowy

■ TERMIN: 15-16 października 2021

24*21 RÓŻEWICZ – jam session Teatr Muzyczny Capitol

Poetycko-muzyczne spotkanie – jam session z wykorzystaniem wierszy i poematów Tadeusza Różewicza. Nieprzerwany, częściowo improwizowany koncert z udziałem aktorek i aktorów, interpretujących wiersze poprzez deklamację, śpiew i muzykę.

■ TERMIN: 2-3 października 2021

RÓŻEWICZ IN MEMORIAM / DO LUDOŻERCÓW – koncert Karoliny Cichej Centrum Kultury Agora

■ TERMIN: 9 października 2021, godz. 18.00

WTW://ZAWSZE_RÓŻEWICZ – cykl wydarzeń

Kartoteka – performans
reżyseria: Daria Kopiec
Miejsce: Wrocławski Teatr Współczesny

■ TERMIN: 5 października

Był sobie dom, czyli Wyskubki. Splątanie, czyli żmūt postteatralny – performans
scenariusz i reżyseria: Paweł Kamza
Miejsce: Teatr Muzyczny Capitol

■ TERMIN: 6 października

Wyszedł z domu – performans
reżyseria: Marek Fiedor
Miejsce: Wrocławski Teatr Współczesny

■ TERMIN: 7 października

W tłumaczeniu – performans
koncepcja i reżyseria: Wojtek Ziemliński
Miejsce: Wrocławski Teatr Współczesny

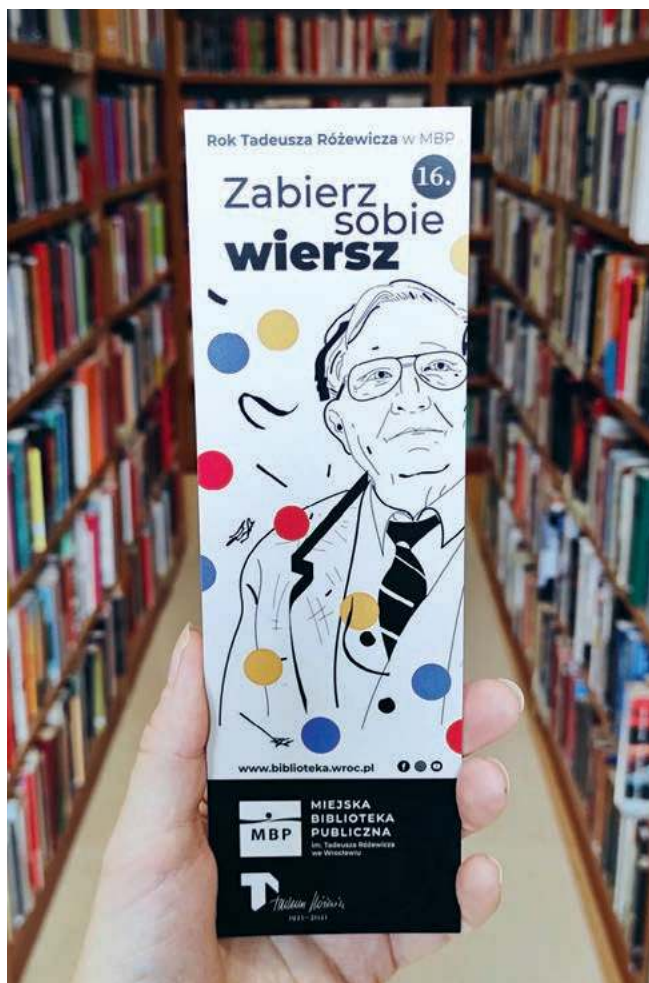
■ TERMIN: 8 października

Do piachu – performans
reżyseria: Jan Hussakowski
Miejsce: Wrocławski Teatr Współczesny

■ TERMIN: 9 października

RÓŻE RÓŻEWICZA. Turniej poetycki Wanda Ziembińska-Has, Instytut im. Jerzego Grotowskiego

Ogólnopolski konkurs poetycki. Zgłoszenia przyjmowane są do 3 listopada 2021 r. Regulamin na stronie Instytutu Grotowskiego.



Miejska Biblioteka Publiczna im. Tadeusza Różewicza.
Akcja „Zabierz sobie wiersz”.



GRAŻYNA MAKARA

Wielcy poeci (ciekawe, że w mniejszym stopniu dotyka to prozaików) po śmierci nie mają łatwego życia. Obrzędowo-wspominkowy balon, który zaczyna

wtedy puchnąć w zastraszającym tempie, być może pomaga oficjalnym buchalterom pamięci, z pewnością jednak nie służy samej literaturze. Cytaty wyrwane z kontekstu, pomniki wątpliwej wartości artystycznej (nawet jeżeli spiżowe), upychanie na listach lektur – to wszystko podręcznikowy wręcz przepis na to, by zniechęcić do sięgania po same teksty.

Tadeuszowi Różewiczowi udało się jednak wymknąć z tej matni. Po części to zasługa samego autora, który poświęcił kilka dekad na skuteczne nakłuwanie owego balona, który wielu jeszcze za jego życia niestrudzenie próbowało pompować. To jednak za mało, aby wytłumaczyć, dlaczego do Różewicza wciąż się wraca – dlaczego sięgają po niego inni poeci, reżyserzy, krytycy, studenci i ich profesorowie oraz wszyscy czytelnicy, poszukujący literatury najwyższej próby.

Rozwiązanie tej zagadki jest banalnie proste, bo tkwi w samych tekstach Różewicza. Niepokojących, rozedrganych w częstotliwościach, które korespondują z naszą rzeczywistością, wciąż aktualnych mimo upływu wielu dekad.

Nie muszą jednak Państwo wierzyć mi na słowo – proszę przeczytać nasz dodatek, powstały z okazji setnej rocznicy urodzin Autora. Osobiście ręczę, że nie ma w nim żadnych nadętych balonów.

© P MICHAŁ SOWIŃSKI

4 Andrzej Skrendo
SKĄD WZIĄŁ SIĘ RÓŻEWICZ?

10 Rozmowa z Wojciechem Ziemielskim
SŁOWA NIE DZIWIĄ SIĘ SOBIE

14 Andrzej Skrendo
RÓŻEWICZ I PROFESOROWIE

18 Kazimierz Braun,
Tadeusz Różewicz
O TEATRZE

6 Rozmowa z Piotrem Śliwińskim
DŁUGI CIEŃ RÓŻEWICZA

13 Leszek Mądzik
SPOTKANIA

16 Joanna Orska
ANARCHISTA WRAŻLIWIEC

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” NR 41/2021 | www.TygodnikPowszechny.pl

REDAKCJA: Michał Sowiński | OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczińska, Anna Pietrzykowska, Marta Filipiuk-Michniewicz

PROMOCJA: Patryk Stanik, Monika Ochędowska

PROJ. GRAF. Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | OKŁADKA, SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLasu

KOREKTA: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frotow, Maciej Szklarczyk

Dodatek powstał we współpracy z Wydziałem Komunikacji Społecznej i Wydziałem Kultury UMW

Na okładce: Tadeusz Różewicz, rys. Barbara Niewiadomska dla „TP”

Autorem identyfikacji wizualnej Roku T. Różewicza we Wrocławiu jest Marta Płonka, prorektor Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu

PARTNERZY

rok 2021
**Róże-
wicz**
TADEUSZA

Wrocław miasto spotkań

www.wroclaw.pl

INSTYTUT
IM. JEŻEŻEGO
GAOTOWSKIEGO



Centrum Historii Zajezdnia, fragment wystawy „Szuflada Różewicza” na pl. Solnym.

Skąd wziął się Różewicz?

ANDRZEJ SKRENDO

Pytanie to powraca często – z powodu ciekawości poznawczej, ale również ze zdumienia, które odczuwamy podczas lektury wierszy Różewicza.

Z A KAŻDYM RAZEM, GDY CZYTAMY wielkiego poetę, czujemy, że mówi on niejako za nas; że wypowiada to, co zaledwie prze-czuwaliśmy, ale teraz już jesteśmy pewni, iż zawsze w nas było; że odjął to, co wypowiedział poeta, należy już nie tylko do niego, ale również do nas samych. Pytamy wtedy: jak to możliwe? Od kogo poeta ma taki dar? Skąd biera się poeci?

Odpowiedzi są dwie. Pierwsza, chyba bardziej precyzyjna, brzmi: znikąd. Posłużmy się przykładem „Pana Tadeusza” (choć można w to miejsce podstawić dowolne wybitne dzieło). Nawet gdyby dało się zrekonstruować wszystkie okoliczności, które towarzyszyły jego powstaniu, i nawet jeśli w ten sposób potrafilibyśmy, jak ufamy, objaśnić sens poematu, to lo-

gika ta nie działa w drugą stronę. Przy użyciu całej możliwej wiedzy i angażując wszystkie nasze siły twórcze, nie zdołamy napisać ponownie „Pana Tadeusza”. Wielkie dzieła pojawiają się niespodziewanie i przychodzą jakby znikąd, nawet jeśli *ex post* jesteśmy w stanie wykazać, że ich powstanie było „logiczne”, że wynikało z wcześniejszych i dających się zrekonstruować przesłanek, że istniała swego rodzaju „konieczność”, która kierowała autorem.

To samo dotyczy wielkich poetów: też przychodzą znikąd. Jak Różewicz. To z tego powodu w rozmowie z Kazimierzem Braunem na pytanie, kim jest, Różewicz odpowiada: „jestem Tadeuszem Różewiczem”. Owa formuła, „ja Różewicz jestem Różewiczem” wydaje się bardzo zna-

cząca. Jest ścisła oraz pełna treści – i tylko pozornie tautologiczna. Tak samo jak pozornym paradoksem jest stwierdzenie, że precyzyjne wyjaśnienie, skąd bierze się wielki poeta, brzmi: znikąd.

Druga odpowiedź jest trudniejsza i mniej jasna: wielcy poeci pochodzą od swoich poprzedników. Jednak relacja między poprzednikiem i następcą bywa bardzo zawiłana i może przyprawiać o prawdziwy zawrót głowy. Jak sprawa się ma w przypadku Różewicza?

Ojciec i dziadek

Wskazuje on jako swego bezpośredniego poprzednika Juliana Przybosa, wielkiego poetę awangardy urodzonego w roku 1901. Nazywa go „ojcem”. Wymienia też swego „dziadka”: jest nim urodzony

w 1878 roku Leopold Staff. „O ile Przyboś był, powiedzmy, surowym ojcem, wymagającym mniej ciepła i podobnych uczuć, to Staff był »dobrym dziadkiem«, ale z bystrym okiem”, wspominał. Zatem wymagający ojciec i wyrozumiały dziadek. Ale różnica jest więcej. Staff i Przyboś to poeci bardzo osobni, a nawet przeciwni.

Staff wywodził się z tradycji klasycyzmu, co oznacza, że pojmował literaturę poprzez kategorię kontynuacji. Różewicz postrzegał Staffa jako postać wręcz domykającą główną linię rozwoju polskiej poezji, zapoczątkowaną jeszcze przez Jana Kochanowskiego (z czego nie wynika – jak czasem błędnie się sądzi – że przypisywał Staffowi taką rangę, jaką ma Kochanowski). Przyboś, urodzony u zarania XX wieku, to z kolei poeta nowoczesny: dla niego kluczową kategorią historyczną było zerwanie. Również dla niego Kochanowski był wielkim poetą, ale nie z tego powodu, że stworzył wzory godne naśladowania, lecz dlatego, że radykalnie zerwał z tradycją łacińską i dał prawdziwy początek polskiej literaturze. Być wiernym Kochanowskiemu nie oznacza re-staurowania ustanowionego przez niego porządku, lecz porządku tego odrzucenie. Ktoś, kto chce Kochanowskiego naśladować naprawdę, zdradza go.

Różewicz usytuował się w osobliwy sposób zarówno wobec tradycji kontynuacji tradycji, jak i tradycji podważania tradycji. Uczynił to konstruując i opatrując posłowiem autorski wybór wierszy Staffa „Kto jest ten dziwny nieznajomy” (1964). Staff po wojnie zmienił swoją poetykę – i jakby upodobnił się do Różewicza, natomiast Przyboś pozostał taki sam. Rzecz jasna sprawa jest sporna. Przyboś uważał, że zmienia się niemal z każdym swoim tomem, czułym uchem wsłuchując się w przemiany nowoczesności. Staff z kolei zapewne nie sądził, że zmienił się aż tak znacznie, jak postrzegał to Różewicz. Dość, że w oczach Różewicza Przyboś okazał się dogmatycznym przedstawicielem literatury opartej na idei ciągłości, Staff natomiast okazał się kimś, kto odważył się na zerwanie. Co ważne, nie tylko z tradycją, ale niejako z samym sobą, ze swoją własną poetyką. To Różewiczowi bardzo imponowało.

Uzasadnieniem przyjętej przez Różewicza perspektywy była, jak wspomnieliśmy, II wojna światowa, a ściślej mówiąc, jej konsekwencje dla kultury. „Czułem, że coś skończyło się na zawsze dla mnie

i dla całej ludzkości. Coś, czego nie uchroniła ani religia, ani nauka, ani sztuka...” – pisał Różewicz w 1965 r. w programowym esej „Do źródeł”. Po wojnie nic nie będzie i nie może być już takie samo. Myśl, że da się po prostu odbudować to, co legło w ruinie, jest naiwna i niemądra: przecież ta kultura, którą mielibyśmy odbudowywać, doprowadziła do masowego ludobójstwa (a w każdym razie nie potrafiła mu zapobiec)!

Heroizm zerwania

Różewicz zatem odrzucił heroizm Przybosia, który – mimo świadomości, że wojna to świadectwo załamania się nowoczesności – usiłował przy nowoczesności trwać i nie zwątpił w jej obietnice. Może z tego powodu, że był komunistą. Różewicz, który uwierzył w powstanie nowej socjalistycznej Polski, poczuł się po roku 1956, po upadku socrealizmu, raz jeszcze (bo najpierw zawiodły „religia, na-

■ Różewicz usytuował się w osobliwy sposób zarówno wobec tradycji kontynuacji tradycji, jak i tradycji podważania tradycji.

uka i sztuka”) oszukany. Uznał więc Przybosia za twórcę skandalicznie zaślepionego. Bardziej podobał mu się heroizm Staffa – i tylko taki heroizm był w stanie heroizmem nazywać.

W poświęconym pamięci Staffa poemacie „Niejasny wiersz” opisywał go jako kogoś przywiązanego „tysiącem nici / do tego świata / ściętego toporem”. Jako kogoś, kto „odszedł ciągnąc za sobą / sieć”, zerwane nici zapewniające ciągłość historii. Uznał go za pisarza, który wysnuwał „z ciemności świata / jasność i zgodę”. Staff mógłby być zatem „nauczycielem i mistrzem”, którego Różewicz szukał w słynnym wierszu „Ocalony”, choć – by tak rzec – w bardzo skromnym wydaniu. Nie uczył – bo był zbyt uczciwy, aby w to wierzyć – jak związać ponownie to, co zostało porwane, ale pokazywał, jak po omacku rozpoznać się w nowej sytuacji. Sytuacji bezprecedensowej – wojna to był przecież dla Różewicza biblijny potop. Wybór między

Przybosiem i Staffem nie był zatem wyborem między dwoma heroizmami, lecz między pewnością siebie i zarozumiałością a heroizmem i skromnością.

Po latach Różewicz powie o swoim wyborze wierszy Staffa: „Był to karkołomny eksperyment. Chciałem pokazać Staffa nowego, Staffa który przeskoczył »awangardę« (...) i znalazł się nagle w krainie destrukcji. Staff udał się w »nieznane«...” („Posłowie”). Udał się „w nieznane”, gdyż, jak mówiliśmy, sytuacja, w jakiej kultura znalazła się po wojnie, nie miała precedensu. Znalazł się w „krainie destrukcji”, to znaczy po drugiej stronie cięcia, którego dokonała wojna oraz Holokaust. Musimy przy tym wszystkim pamiętać, że Różewicz miał matkę Żydówkę (która stała się gorliwą katoliczką, szczególnie przywiązaną do kultu maryjnego). Na czym polega owa „karkołomność”? Na tym, że Staff okazał się młodszy od starszego od siebie o ponad 20 lat Przybosia. Tak jakby zamienili się miejscami. Słowem, dziadek okazał się ojcem, a ojciec dziadkiem.

Ale to jeszcze nie koniec, zaszła jeszcze jedna niespodziewana zmiana miejsc. Otóż Różewicz podkreśla, że zaczynał w punkcie, w którym Staff niejako się zatrzymał. Ze startował z wiedzą, którą Staff posiadał pod koniec życia, i z którą nie do końca wiedział, co uczynić. Różewicz jako poeta zdaje sobie sprawę, że nie ma do czego wracać – że kultury nie można po prostu odbudować, że to nic nie da. Nie da się również wrócić do wspaniałej przeszłości – i to nie tylko dlatego, że wcale wspaniała nie była. Różewicz wprowadzie nazywa Staffa „Starym Poetą”, ale nie po to, aby zaznaczyć, że sam jest „młody”. Na odwrót, chce powiedzieć, że tak naprawdę jest starszy od Starego Poety. Słowem – wnuk okazał się starszy od dziadka.

Do czego doszliśmy? Że Staff jest młodszy od Przybosia, a Różewicz starszy od Staffa. Oczywiście, nie ma to nic wspólnego z tym, co mówi kalendarz. Ale niemal każdy wielki poeta robi ze swoimi poprzednikami to, co zrobił Różewicz: ukazuje ich jako swoich następców. Być może zatem z dwóch odpowiedzi na pytanie, skąd wziął się Różewicz, tylko ta pierwsza jest prawdziwa. Nawet jeśli może się wydawać „karkołomna”. ©

ANDRZEJ SKRENDÓ (ur. 1970) – historyk i teoretyk literatury, profesor i dyrektor Instytutu Literatury i Nowych Mediów Uniwersytetu Szczecińskiego.



ADAM HAWALEJ

Trzebnica, 2001 r.

Długi cień Różewicza

PIOTR ŚLIWIŃSKI:

Pozostawał sobą i zarazem odradzał się na nowo.
Odrzucił konwencjonalne języki rozpacz, potem długo
był poetą niezgody na byle jak zabliznioną ranę.
A na starość został ironistą. Odradzając się,
odradzał ciekawość dla tego, co pisał.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Wraca Pan do Różewicza?

PIOTR ŚLIWIŃSKI: Jestem wykładowcą akademickim, więc z powodów zawodowych sięgam do niego często. Od czasu do czasu zdarza mi się również o Różewicz pisać, a to zawsze olbrzymie wyzwanie, bo obrósł już masą komentarzy. I jednocześnie, jak to bywa z autorami tego kalibru, na wiele prób pochwylenia pozostaje odporny. Jednak pomijając ten kontekst, Różewicz należy do wąskiego grona najbliższych mi pisarzy – więc nie tyle wracam do niego, co raczej nie potrafię się od niego oddalić.

Jak studenci reagują na Różewicza?

To ciekawy przypadek tak zwanego wielkiego poety, który już dla kilku pokoleń od zawsze jest obecny na każdym etapie edukacji, a jednocześnie wciąż się nie nudzi. Jak nikt umiał pozostawać sobą i zarazem odradzać się w nowych warunkach. Był młodym poetą, który odrzucił konwencjonalne języki rozpacz, zastępując je mową surową, dotykającą umęczonego, pogardzonego, martwego ciała. Potem długo był poetą niezgody na byle jak zablźnioną ranę, na to panoszące się „nic w płaszczu Prospera”. A na starość został ironistą, albo i gorącym szydercą w stosunku do rzeczywistości, która rzekomo poradziła sobie ze złem i z traumą, a nawet z potrzebą sensu i starymi pytaniami o teodyceę. Odradzając się, odradzał ciekawość dla tego, co pisał.

W przeciwieństwie do na przykład Miłosa?

Niestety tak, do niego czasami trudno mi przekonać studentów. Nie jest to niemożliwe, ale punkt wyjścia jest na pewno inny niż w przypadku Różewicza.

Dlaczego?

Dobre pytanie. Może dlatego, że Różewicz, choć napisał wiele pierwszorzędnych dzieł, niektóre utrzymane w najwyższych rejestrach literackich, nigdy nie rościł sobie pretensji do Skalki, Wawelu, pomnika, bycia wieszczem. Co więcej, był autorem, który ową imputowaną mu monumentalność nieustannie rozbił. Szczególnie w ostatnich tomach, z lat dwutysięcznych, gdy wystawiał cierpliwość czytelników na próbę, balansując na granicy kiczu, niesmaku, śmieszności i banału, wyprzedając swój dorobek przez powołaną w tym celu „firmę Tadzio”.

Moim zdaniem była to, w dużej mierze udana, próba odmowy wejścia na piedestał, który od dawna już na niego czekał.

I to przekonuje do dziś?

Nie tylko to. Wielogłosowość i emocjonalność jego poezji dobrze koresponduje z dzisiejszą wrażliwością. W latach 90. zarzucano mu często, że występuje przeciwko życiu, bo neguje nowe tradycje, powiedzmy walentynki, bo razi go pospolite radości i nie dowierza olśnieniom. Jednak świat się zmienił i weszliśmy w fazę znacznie bardziej krytyczną, choćby w kwestii ekologii czy codziennej rzeczywistości późnego kapitalizmu. A tu Różewicz, ze swoją krytyką konsumpcjonizmu czy prostackiego hedonizmu, pasuje doskonale.

Ekologii?

Walka z ludzką obojętnością i postulat troski o świat powtarza się u Różewicza od samego początku, a to przecież doskonale rymuje się z wieloma dzisiejszymi głosami. Przypomnijmy kawałek z „Recyclingu”: „a jednak zarazek wołowiny / przenosi się na inne żywe istoty / na jednej z farm zwariowały norki / w Anglii zdechła puma / kilka antylop i 48 kotów / kolorowa prasa donosi / wściekła się pewna księżniczka na dworze / a jedna krowa w oborze / zaczęła śpiewać”. Myśl ekologiczna zaczyna się od krytyki człowieka – sposobu, w jaki istnieje w świecie.

Tak, ale Różewicz idzie dalej niż większość aktywistów...

Oczywiście, bo jego dąży przede wszystkim pytanie o źródło zła, a odpowiedź na nie pada tylko jedna – człowiek. Dopóki on istnieje, istnieć będzie w świecie zło. Brutalność i pesymizm, nieco ukryty w tej poezji, często studzi sentymentalne nastroje czy pomysły. Ziemia w całości jako park narodowy? A może prościej: „jeśli rodzaj ludzki / wyczerpie się / własnoręcznie / z fauny i flory / ziemia odzyska / swój blask i urok / natura swą czystość / i nie-winność”.

Mocne, ale czy trochę nie naiwne?

Naiwność zarzucał Różewiczowi Miłosz w pięknym polemicznym wierszu. Jednak postaci takie jak Różewicz nie dają się łatwo okiełznać, nawet Miłoszowi, a tym bardziej zawłaszczyc dla jednej myśli czy sprawy. Różewicz w cytowanym wierszu jest naiwny, lecz zarazem jest

lustrem dla naiwności „szlachetnie myślących”, na przykład o pogodzeniu człowieka z naturą. To u niego częste, stawianie się w roli lustra odbijającego pustkę różnych krążących po ludziach idejek. Rys sokratejski.

Co jest takiego w samym idiomie Różewicza, że wciąż się wymyka i pozostaje świeży?

Paradoksalny uniwersalizm w jego przypadku polega na tym, że od samego początku krytykuje i odrzuca wręcz każdą próbę zbudowania nowego świata na wojennych ruinach. Jego zdaniem nie możemy wrócić do normalności albo pozwolić sobie na nowy początek, dopóki nie poradzimy sobie z tamtym złem. Bez tego każdy nowy projekt będzie już w swojej genezie zainfekowany dawną grzesznością, a przez to fasadowy, obłudny i ostatecznie pozbawiony sensu. I do tego język, jak go nazwać, niepopularny? Nie jakoś specjalnie wyszukany, czasami po prostu wspaniale liryczny, weźmy „Poeta emeritus”, „W świetle lamp filujących” i dziesiątek innych przypadków. Bywa, że natrętny, niesmaczny – w tym literalnym znaczeniu, zrywający ze smakiem, nieprzyjemny, namolny, weredyczny, dosadny, jednak we wszystkich tych postaciach nieskory do przestrzegania konwencji. Przez konwens rozumieć konwencję tekstową i coś jeszcze – jakiś regulamin bycia „jak należy”.

Jest w tym także gest etyczny, choć mroczny.

Tak, a jednocześnie nie znajdziemy u niego tonów moralizatorskich. Jest etyczny, ale nie dydaktyczny.

Zarzucono mu wręcz nihilizm.

Dla niego nihilizm, jak zresztą dla większości wybitnych umysłów XX wieku, był poważnym problemem, z którym sobie trzeba było jakoś poradzić. Miłosz w „Życiu na wyspach” próbował wręcz przypisać Różewiczowi mściwy utopizm – bo jego zdaniem uparcie żądał świata doskonałego, choć wiedział, że jest on niemożliwy. Dlatego każde życie postawione przed trybunałem doskonałości skazane jest na porażkę. Jednak moim zdaniem jest odwrotnie: w Różewiczowych opisach doświadczeń ludzi, zwłaszcza prostych, nie chodzi o figury, ale właśnie o czułe i bardzo konkretne – stąd ta zawrotna ilość szczegółów – opisanie



ZUZA TOKARSKA / CK ZAMEK

Centrum Kultury Zamek. „Cytaty na torby” – warsztaty.

→ poszczególnego życia w całej jego kruchości i ułomności. Gdy Różewicz czyta w kuchni gazety, scena znana zarówno z jego wierszy, jak i biografii, to nie próbuje wyciągnąć wspólnego mianownika z poszczególnych historii. Wręcz przeciwnie – mamy tu szereg szczegółowych portretów, analiz, zbliżeń. A więc ultrarealizm, ale skorygowany, przesunięty, a więc paradoksalny, bo zabarwiony tonami poetyckimi, onirycznymi, jakąś wybujałością skojarzeń.

Różewicz wadził się z historią inaczej niż różni najwięksi poeci XX wieku.

Bo starał się być obok historii doraźnej. Co oczywiście nie oznacza, że do PRL-u miał stosunek obojętny czy neutralny, w latach 80. nie dał się jednak wciągnąć w bieżące wydarzenia polityczne. A wielu próbowało, choćby ze względu na opozycyjne perypetie członków jego rodziny.

Dlaczego?

Znowu niełatwe pytanie. Może chciał przez to zamanifestować, że historia nie powinna jego, jako człowieka-jednostki, determinować, wymuszać podejmowania kroków w oczekiwanym kierunku. Czy miał rację? Trudno powiedzieć, bo rozumiem argumenty obu stron tego konfliktu, choć wtedy byłem młodym chłopakiem i bliżej mi było zdecydowanie do

ludzi, którzy wierzyli w słusność swoich działań, chcieli być po właściwej stronie historii. Do dziś tak uważam, jednak gdy już tamte emocje opadły, a historia i polityka potoczyły się swoim torem, łatwiej pojąć to pragnienie zachowania suwerenności.

Odruchowo myślimy o nim jako „polskim poecie”, ale chyba w jego przypadku narodowość, jakkolwiek rozumiana, była na drugim planie.

Pod pewnymi względami był arcy polski, ale gdy przetłumaczono go na inne języki, faktycznie z łatwością zaczął funkcjonować w innych kręgach kulturowych. Z miejsca zyskał olbrzymią popularność w obrębie języka niemieckiego, a także na Bałkanach. Ale spotkałem też lata temu w USA hinduskiego pisarza, dla którego pierwszym skojarzeniem z literaturą polską był właśnie Różewicz. Z kolei w kręgach akademickich często zestawiano go z Celanem. To zupełnie inne języki poetyckie, które jednak łączy silne zakorzenienie w śmierci jako organizatorce literackiej wyobraźni.

Łączyło ich słynne pytanie Adorna o możliwości uprawiania poezji po Auschwitz?

To pytanie, choć mocno później wyeksploatowane i zużyte, było – nadal jest – genialne w swojej prostocie. Zasta-

Każdy, kto jest wyczulony na spotwornienie świata, siłą rzeczy ociera się o rejestry różewiczowskie.

nawiam się, co by dziś Różewicz napisał – po pandemii, z powodu której umarło 70 tysięcy ludzi, a nas to niewiele obeszło.

Straciliśmy resztki współczucia?

Co gorsza chodzi o to, że tych śmierci nie da się zamienić w ceremonię, a więc nie ma możliwości zbudowania wokół nich religii. Idąc dalej – trudno wyciągnąć z tego wymierne korzyści polityczne czy społeczne. Dlatego w tym kontekście 96 śmierci to więcej niż 70 tysięcy. Wyobrażam sobie, że Różewicz bardzo surowo oceniłby tę sytuację.

Wracając do Adorna – Różewicz nie chciał milczeć po Auschwitz.

Bo też nie o milczenie chodziło, a raczej o radykalną zmianę statusu poezji i samego poety. Różewicz podważał swoją pomnikowość przede wszystkim dlatego, że literatura w ogóle utraciła grunt. Po kolejnych śmierciach – Boga, człowieka, a w końcu także poety – nie da się już przemawiać tym samym tonem, co kiedyś.

A inne tradycje, w których wrocławski poeta mógłby się odnaleźć?

Rzadko się o nim wspomina w tym kontekście, ale myślę, że ważny był dla niego Eliot. W Eliocie zazwyczaj widzimy poetę, który odnalazł ścieżkę od poezji niesubordynowanej do klasycyzmu, od światopoglądu neutralnego do chrześcijańskiego, od progresywizmu do konserwatyzmu, a o Różewiczu myślimy zgoła odwrotnie.

Bo to chyba bardziej kontekst dla Miłosa albo Iwaszkiewicza?

Wydaje mi się, że Różewicz mimo wszystko też tu pasuje, bo u niego było wszystko naraz. Awangardowy pień, z którego wyrasta jego poezja, a dramat jeszcze bardziej, jest oczywisty, ale już czyszczenie i upraszczanie języka do tej tradycji nie pasuje. U niego świat nie tyle się wyrócił, co znalazł się we właściwej sobie pozycji. Różewicz wcale się tym nie

delektuje, nie upaja się wszechobecnością zła – wręcz przeciwnie, poprzez swoją surową etykę stara się go otrzeźwić. Mówił „nie wierzę”, a jako jeden z niewielu wojennych poetów poważnie interesował się Chrystusem. Rozmawiał z nim we wstrząsających wierszach.

A co z obecnością Różewicza wśród dzisiejszych poetów?

Można go znaleźć w wielu miejscach, nawet u autorów, którzy się do niego nie przyznają wprost. I nie chodzi o to, że od niego pożyczają bez pytania, a raczej o fakt, że Różewicz przesiąknął do języka poetyckiego wielu pokoleń – od Ryszarda Krynickiego zaczynając, na Konradzie Górze kończąc. Każdy, kto jest wyczulony na spotwornienie świata, siłą rzeczy ociera się o rejestry różewiczowskie.

Wracamy do problemu Różewicza jako patrona poezji zaangażowanej.

Współczesna poezja o silnym tonie politycznym rzadko się na niego powołuje, ale też rzadko powołuje się na jakichkolwiek poprzedników. Niemniej Różewicza słyszę w tych współczesnych wierszach, które czegoś od rzeczywistości chcą.

W jaki sposób?

Przed wszystkim Różewicz jest obecny jako diagnosta kruchości człowieka niezakorzonego, który przeczuwa, że może się zakotwiczyć jedynie w jakichś banalnych, odpadkowych namiastkach, a nie w prawdziwym świecie, bo tego już zwyczajnie nie ma. Prekariusz w młodej poezji zaangażowanej to przede wszystkim kategoria społeczna i ekonomiczna, jednak to też niewątpliwie kuzyn prekariusza duchowego z poezji Różewicza.

A w studiach nad Holocaustem?

Różewicz był poniekąd jednym z autorów założycielskich dla wielu koncepcji czy nurtów w myśleniu o Zagładzie. I choć jego pozycja się tu zmieniała, wciąż pozostaje kluczowym punktem odniesienia dla refleksji o naturze zła. Jacek Podsiadło w swoim ostatnim tomiku „Podwójne wahadło” w wierszu „Słup ze słów” tworzy swoisty katalog różnych odmian draństwa – surowe i bezlitosne wyliczenie zupełnie jak u Różewicza. A to tylko jeden z wielu przykładów, które na szybko przychodzą mi do głowy. Mimo że Różewicz nie chciał być poetą przypię-

sany do „żydowskiego doświadczenia”, to właśnie to doświadczenie – żydowskie i ludzkie w jednym – napisało multum jego wierszy.

Różewicz ustawił też w polskiej poezji idiom elegijny.

Nazwałbym go raczej „pożegnany”. I faktycznie, można by stworzyć obszerną antologię wierszy będących pożegnaniem z kimś bliskim, a które są zakorzenione w Różewiczu i tomie „Matka odchodzi”.

Nie jest łatwo uprawiać poezję po Różewiczu...

Powszechnie nie ma dziś zgody na monofoniczność języka, homogeniczność idiomu – i to w jakimś sensie faktycznie jest długi cień Różewicza. Andrzej Skrendo w swojej książce poświęconej temu poecie stwierdził, że całe jego pisarstwo jest próbą przekroczenia granic literatury – ciągłego poszerzania jej o nowe style mówienia. A czymże innym zajmują się najwybitniejsi autorzy i autorki ostatnich dekad, jeśli nie właśnie tym? Przy pamięci o różnicach i szacunku dla innej skali dramatu, to jedno mamy wspólne z Różewiczem: poczucie, że piszemy, czytamy, mówimy na komentarzu języka, że dalej tak się nie da wyrażać siebie i definiować świata, że tylko udajemy normalność, a tak naprawdę jest ja-koś strasznie.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

PIOTR ŚLIWIŃSKI (1962) jest literaturoznawcą i krytykiem, zajmującym się polską poezją XX i XXI wieku. Profesor i wykładowca na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.



GRAŻYNA MAKARA

KAMIEŃ MIŁOWE

1921

Narodził się w Radomsku.

1942

Zaprzyśiężony w Armii Krajowej pod pseudonimem „Satyr”.

1943-1944

Walczył w oddziałach leśnych Armii Krajowej.

1944

Wydaje „Echa leśne”, uznawane za jego debiut literacki.

1945-1948

Studiuje historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim, związany jest z Grupą Młodych Plastyków wraz z Tadeuszem Kantorem, Jerzym Nowosielskim, Andrzejem Wróblewskim i Andrzejem Wajdą.

*Szukam nauczyciela i mistrza
niech przywróci mi wzrok słuch i mowę
niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia
niech oddzieli światło od ciemności*

*Miałem dwadzieścia cztery lata
ocalałem
prowadzony na rzeź.
„Ocalony”, 1945.*

1947

Publikuje tomik „Niepokój”.

*Jak dobrze Mogę leżeć
w cieniu drzewa
myślałem drzewa
już nie dają cienia.
„Jak dobrze”, 1947-48*

1949-1968

Mieszka w Gliwicach.

*Uczeni mówią że wszystkie
wypowiedziane słowa
zachowały się w oceanie powietrza
ze swym ciepłem barwą smakiem
na zawsze*

*Ale we mnie zebrały się słowa
niewypowiedziane
którym nie nadano kształtu
„Równina”, 1954*



„Jeden gest” w reżyserii Wojciecha Ziemilskiego i Wojciecha Pustoty, którego głównym bohaterem jest sam język migowy.
Premiera odbyła się w warszawskim Nowym Teatrze 24 września 2016 r.

Słowa nie dziwią się sobie

WOJCIECH ZIEMILSKI:

Poezji nie da się wprost przetłumaczyć na język migowy, bo to zupełnie inny sposób budowania znaczeń. Na początku wydaje się, jakbyśmy próbowali przełożyć ją na dźwięki.

MICHAŁ SOWIŃSKI: O czym jest Pana najnowszy spektakl „W tłumaczeniu”?

WOJCIECH ZIEMILSKI: Najkrócej: będzie to próba przełożenia wierszy Różewicza na polski język migowy.

Skąd pomysł?

Dostałem zaproszenie od władz Wrocławia, żeby pomóc przetłumaczyć kilka jego wierszy na język migowy. Parę lat temu zrealizowałem spektakl „Jeden gest”. Po zobaczeniu go na festiwalu Dialog organizatorzy tegorocznych obchodów uznali, że tłumaczeniu na polski język migowy należy się większa uwaga. Chcieli czegoś więcej. Wiedziałem już, że samo odkrywanie złożoności PJM jest wielką przygodą. Dlatego zamiast pomagać tłumaczyć, zaproponowałem, że покаżę proces przekładania na scenie.

Co jest w tym szczególnego?

To nie jest, jak choćby w przypadku tłumaczenia z polskiego na angielski, przekładanie treści w obrębie systemu znaków o analogicznej składni. Polski język migowy ma zupełnie inną strukturę i sposób bycia w świecie. Na przykład: o ile świetnie radzi sobie z ilościami, odległościami i konkretnymi rzeczownikami, o tyle słabiej wygląda sytuacja z czasem, a już w ogóle fatalnie z abstrakcją.

Czyli przełożenie poezji to zadanie podwójnie trudne.

Nie jestem ekspertem, nie mam całościowej wiedzy językoznawczej w tym zakresie, ale sporo czasu spędziłem na zgłębianiu tych fascynujących pejzaży. Zauważyłem, że miganie radzi sobie z poezją świetnie, o ile jest na własnym terenie.

Co to znaczy?

Głusi wytworzyli w swojej kulturze poezję migową – większość słyszących niestety nie może jej docenić, bo nie ma do tego narzędzi. Do pewnego stopnia przypomina ona kaligrafię, to znaczy opiera się na świetnej znajomości stylu, na czymś, co nazwalibyśmy kunsztem albo wirtuozerią. Jednym z podstawowych rodzajów poezji jest tworzenie opowieści wykorzystujące znaki konkretnych liter. O ile więc nie znamy dobrze znaków migowych, treść tych wierszy pozostanie dla nas abstrakcyjna. Albo gorzej – będzie wyglądać jak dziecinna pantomima. Nie widzimy bowiem, że dana historia jest na przykład opowiadana tylko jedną literą alfabetu. Poezja migowa to spektakularna i performatywna manipulacja samymi podstawami języka.

I jak w tym odnajdują się utwory Różewicza?

Żadnej poezji nie da się wprost przetłumaczyć na język migowy, bo to zupełnie inny sposób budowania znaczeń. Kiedy się pierwszy raz do tego podchodzi, wrażenie jest takie, jakbyśmy próbowali przełożyć ją na dźwięki.

Porażka jest nieunikniona?

Wprost przeciwnie. „W tłumaczeniu” będzie pokazywało, że polski język migowy jest pełnowartościowym medium, w obrębie którego możemy wyrażać najróżniejsze rzeczy – że nie pełni jedynie podrzędnej funkcji względem literackiej polszczyzny. Pod wieloma względami znacznie przewyższa możliwości polskiego mówionego. Choć w przypadku tej konkretnej poezji to potworna walka – Różewicz uwielbia gry słów, które zawsze są wyzwaniem dla tłumacza, w tym wypadku podwójnym.

Jak sobie z tym radzić?

Musieliśmy wypracować zupełnie nowy rodzaj metafory. Inny, może nawet poważniejszy problem polegał na różnicach kulturowych. W procesie edukacji głuchych w Polsce brakuje często elementów, które są dla Różewicza kluczowymi punktami odniesienia.

Jak to?

Relacja głuchych z literaturą jest skomplikowana. Czasem wydaje się dziwne nam, słyszącym, że Polak nie zna języka polskiego, ale głusi od urodzenia mają problem z literacką polszczyzną – z jej słownictwem, gramatyką, ale też sposobem obrazowania. A przecież polski, zresztą jak prawie wszystkie języki, jest przede wszystkim mową, a zapis jest jedynie pochodną, graficzną transkrypcją wypowiedzianych słów. Możemy to czasem poczuć, gdy uczymy polszczyzny obcokrajowca – wtedy na jaw wychodzi cały szereg nielogiczności i niekonsekwencji, wynikający właśnie z prymatu mowy nad pismem. A ta dziwność to jedynie przedsmak tego, z czym mierzą się głusi podczas obcowania z tekstem.

Wybór Różewicza do tego projektu nie wynika chyba tylko z powodu rocznicy?

Nie, w Różewiczu byłem kiedyś zakochany totalnie. Uważałem go za największego, a niedocenianego wieszczą. Gdy

otworzyłem go ponownie po latach, poczułem się nieco zakłopotany, bo zapamiętałem go inaczej. Tak więc dla mnie to także konfrontacja z dawnym mistrzem, mądrością z przeszłości. Tym spotkaniem chciałem również sprawdzić jego aktualność – co dziś ma jeszcze wartość, gdzie stał się anachroniczny, a z czym warto podyskutować.

Język migowy to forma takiego sprawdzianu?

Zdecydowanie, bo daje nam niezwykle ciekawą perspektywę obserwacji. Język migowy na pierwszy rzut oka wydaje się niewinny, a przez to słabszy niż ta filozoficzna, erudycyjna i posiadająca wielowiekową tradycję polszczyzna. To jednak tylko pozór – język migowy pozwala na nowo przyrzeć się tym słowom, rozebrać je na części pierwsze, a potem poskładać jeszcze raz, ale już zupełnie inaczej. Ten proces dla każdego klasyka może być bardzo bolesny, lecz także niezwykle odświeżający.

Przykład?

Różewicz często używa ciszy jako metafory śmierci. Proszę sobie wyobrazić teraz, jak to może wyglądać z perspektywy języka migowego i jego odbiorców. A to tylko jeden z wielu tematów, z jakimi przyszło się nam mierzyć. Polski język migowy, w stosunku na przykład do amerykańskiego, ma mało znaków sformalizowanych. Dlatego Adam Stoyanov – głuchy aktor będący zarazem magikiem polskiego języka migowego – wymyślał nowe znaki albo nowe sposoby ich wykorzystania. To jest też częścią wirtuozerii. Wyobraźmy sobie formalny taniec, taki jak taniec klasyczny, w którym są tysiące kroków. Wirtuoz to ktoś, kto potrafi je połączyć tak, że wyglądają jak... powiedzielibyśmy: adekwatnie, „jak poezja”.

Jednym z pojawiających się w spektaklu wierszy jest „Głos anonima”.

Jeszcze nie jestem pewien, czy ten wiersz wejdzie – ale to świetny przykład. Nie ma w migowym znaku na słowo „anonim”. Kim on zatem właściwie jest? I to jeszcze w połączeniu ze słowem „głos”? Żeby sobie z tym poradzić, musieliśmy się zastanowić, gdzie ten wiersz chce nas prowadzić, ale też, gdzie my chcemy podążać. W efekcie, nie zmieniając zasadniczo treści, doszliśmy do nieco innego punktu niż sam Różewicz.

KAMIEŃ MIŁOWE

1958-1959

Pisze dramat „Kartoteka”.

*Nowy człowiek
to ten tam
tak to ja
rura kanalizacyjna
przepuszcza przez siebie
wszystko
„Nowy człowiek”, 1960*

*poeta jest ten który odchodzi
i ten który odejść nie może
„Kto jest poetą”, 1963*

*człowiek współczesny
spada we wszystkich kierunkach
równocześnie
w dół w górę na boki
na kształt róży wiatrów
„Spadanie”, 1963*

1968

Przeprowadza się do Wrocławia, publikuje dramat „Stara kobieta wysiaduje”.

*A kiedy zobaczyłem, że dopłynąłem
do miejsca gdzie było źródło z którego
wypłynąłem i że nie ma tu źródła
i że ja jestem jedynym źródłem
z którego mogę wypłynąć
zaczęłem podejrzewać podstęp.
„Złowiony”, 1963-69*

1973

Pisze dramat „Białe małżeństwo”.

1974

Zostaje odznaczony londyńskim Krzyżem Armii Krajowej.

*moje ciało
mówi do mnie*

*ja nigdy nie przestanę
oddychać
ja nigdy nie przestanę
jeść trawić kochać
(...)
nasze ręce
nasze usta
są mądrzejsze od nas*

*** [bez tytułu], 1979

⇒ Czyli?

Dla Różewicza najważniejszy jest proces rozmywania sensu, apokalipsa w obrębie samego języka. Kończy frazą: „Słowa nie dziwią się sobie”. Dla mnie, słyszącego humanisty o zacięciu krytycznym, to stan niepożądany, słowa przecież powinny się dziwić sobie, na tym polega istota myślenia! A można to rozumieć inaczej: jako opis kogoś, kto harmonizuje się ze światem, kto odzyskał formę i pozwolił słowom, aby wreszcie przestały się sobie dziwić. I gdy teraz wrócimy do tytułu wiersza, „głos anonima” nabiera zupełnie innych sensów.

Od „Jednego gestu”, Pana spektaklu, gdzie głównym bohaterem jest poniekąd język migowy, minęło już sześć lat. Czego nauczył się Pan w tym czasie o świecie głuchych?

Ile mamy godzin na rozmowę? A mówiąc poważnie: „W tłumaczeniu” to trochę spin-off „Jednego gestu” – wyciągamy z niego jednego z bohaterów i umieszczamy w zupełnie innym kontekście. „Jeden gest” był dla mnie doświadczeniem formacyjnym, które przeddefiniowało mnie jako twórcę, ale też jako człowieka.

Aż tak?

Na najbardziej ludzkim poziomie odkryłem, że jestem przedstawicielem kultury kolonizującej, dyskryminującej, a nawet w pewnym sensie ciemniejącej. I nie chodzi tu wyłącznie o brak wiedzy o świecie głuchych, ale przede wszystkim o odruchowe stawianie tej kultury niżej w hierarchii. Samo uświadomienie sobie tego jest bolesne i trudne, ale to dopiero początek procesu, który właściwie się nie kończy.

A na poziomie rzemiosła teatralnego?

Pracując z głuchymi performerami, spotkałem się z niezwykłą cierpliwością wobec moich pomysłów i eksperymentów, nie zawsze udanych. Finalnie udało się stworzyć dzieło niesamowite, do którego jednak nie miałem pełnego dostępu. To dla reżysera zupełnie nowe doświadczenie, temperujące arogancję, wymuszające uważność, ale też zmuszające do ciągłego przyjmowania obcej sobie perspektywy. W ten sposób odkryłem wiele rzeczy wartościowych, które dla samych aktorów były przezroczyste, bo wynikały wprost z ich codzienności.

Podobnie jak w przypadku poezji, to także wyzwanie dla samego języka teatru.

Nigdy nie lubiłem podziału na formę i treść. Wolę arystotelesowski podział na formę i materię – gdzie forma przynosi treść. I tu widać to jak na dłoni. Forma jest wyzwaniem, bo tworzy treść. Sam fakt, że jako reżyser obserwuję kogoś, kogo w pełni nie rozumiem, buduje całą gęstą sieć zależności, a te stają się częścią spektaklu. Brzmi to abstrakcyjnie, więc podam przykład. Samo obserwowanie migania, gdy się nie zna tego języka, wydaje się czymś nieprzyzwoitym. Pamiętam, że lata temu, gdy byłem w Portugalii, poczułem się urażony, że moi koledzy zachwycali się brzmieniem polszczyzny. Nie interesowało ich, co mówiłem, tylko sama forma języka.

Miganie wnosi na scenę zupełnie nową jakość...

...której nie da się uzyskać w inny sposób. O takim połączeniu fizyczności i semiotyki słyszący mogą tylko marzyć. To oczywiście działa w obie strony – głusi się na przykład podśmiewają z naszej gestykulacji podczas mówienia, która z ich perspektywy jest czystym barbarzyństwem. Nie wspominając nawet o sytuacjach, gdy próbujemy głuchym coś pokazać rękoma.

A co z tego ma widz?

Nie lubię projektować doświadczenia na odbiorcę, bo wtedy już chyba lepiej powiedzieć coś wprost. Niemniej spektakl pomyślany jest tak, żeby widz dokładnie przyjrzał się tej komunikacji – gestom, mimice, mowie ciała. Poszczególne wiersze rozkładamy na czynniki pierwsze, żeby dostrzec, z czego każdy z nich jest zbudowany. Zaczynam od podstaw – widzimy, jak Adam miga pojedyncze słowa: „drzwi”, „wejść”, „patrzeć”, „osoba”, a potem „dwie osoby”, „dwie osoby razem przechodzą przez drzwi” itd. W ten sposób mamy już punkty odniesienia i możemy zobaczyć, jak to pracuje w samym wierszu.

Czyli jest to spektakl polityczny – oczywiście w szerokim rozumieniu, jako problematyzujący zasady naszego funkcjonowania we wspólnocie.

Nie wierzę w teatr jako laboratorium polityczne, nie wierzę, że to jego fundamentalna, inherentna cecha, że polityko-

wanie mu służy. Nie wystarczy wrzucić jakiś temat polityczny na scenę, żeby zaczął tam pracować jak w laboratorium. Takie myślenie wydaje mi się infantylne. Jednocześnie wierzę, że teatr jest głęboko polityczny, bo może mieć ogromne znaczenie w życiu polis.

Jakie?

Bliska mi jest koncepcja Jacques’a Rancière’a, który pisał o „dzieleniu postrzegalnego”. Sztuka w ogóle, a teatr w szczególności, przesuwają nasze odczuwanie świata. Przesuwają nas w miejsce, w którym rzeczywistość działa inaczej. Na przykład odkrywamy, czym jest cisza dla osoby głuchej. Tak samo słowo „anonim” czy fraza „słowa nie dziwią się sobie”.

Moment etyczny?

A jednocześnie doświadczenie fenomenalnie wzbogacające nasz świat. Są ludzie, którzy wręczają innym na urodziny albo pod choinkę piękne prezenty, ale zawsze praktyczne. To właśnie jest ta sytuacja – otrzymujemy coś niesamowitego, zmysłowego, czego się nie spodziewaliśmy, a co jednocześnie bardzo się nam przyda w naszym dalszym funkcjonowaniu w ramach polis.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

WOJCIECH ZIEMIŃSKI (ur. 1977) jest reżyserem teatralnym i artystą wizualnym. W 2016 r. wyreżyserował w warszawskim Nowym Teatrze spektakl o językach migowych i świecie głuchych „Jeden gest”. 8 października we wrocławskim Teatrze Współczesnym odbędzie się premiera performansu „W tłumaczeniu”.



ARCHIWUM PRYWATNE

Spotkania

LESZEK MĄDZIK

Spotkania w mieszkaniu prywatnym bywają wyjątkowe, jak to na Biskupinie przy ulicy Promień. Nazwa nieprzypadkowa – coś może promieniować bardziej niż twórczość Tadeusza Różewicza?

PEWNEGO SŁONECZNEGO DNIA PRZED wielu laty dotarłem pod ten adres. Już nie pamiętam, czy drzwi otworzyła mi jego małżonka, czy syn. Mistrz siedział w głębi pokoju, scenografią tego wnętrza były prace Jerzego Nowosielskiego, dobry pretekst do wstępnej rozmowy.

Te pierwsze odwiedziny we Wrocławiu, dziś już odległe, nie trwały zbyt długo. Zwieńczeniem ich był ofiarowany mi egzemplarz „Matka odchodzi” z dedykacją motywującą do przeczytania. Zaraz po powrocie do Lublina miałem gotowy scenariusz spektaklu. Przekaz bardzo osobisty, dotyczący najbliższej osoby, potwierdził wielką więź, uczucie i miłość, jaką można okazać matce. Siła tych myśli staje się czytelna dopiero w obliczu podobnej straty... Przed oczami pojawia się wtedy miniony czas, rodzący też pytanie, czy na pewno zrobiliśmy wszystko, aby w pełni doświadczyć tej relacji.

Plastyczność kolejnych obrazów w „Matka odchodzi” potwierdza wielką wyobraźnię Tadeusza Różewicza. Zderzona ze szczerym i głębokim przekazem, czyni ten utwór bardzo ludzkim. Praca nad spektaklem „Odchodzi” poprzez swoją dramaturgię dała mi nie tylko możliwość zmierzenia się z utworem wielkiego pisarza, ale uczyniła też przygotowanie tego spektaklu czymś wyjątkowym.

„Odchodzi”, poprzez swój obrazowy charakter, stał się czytelny dla widza w innym kraju, o innej kulturze i innej wierze. Gościnny spektakl na scenie Teatru La Mamma w Nowym Jorku był wyjątkowy. Można by sądzić, że tak osobisty dramat będzie niedostrzeżony lub odczytywany wyłącznie poprzez swoją formę plastyczną. Tempo życia tego miasta rodziło takie obawy. Stało się jednak

inaczej, czego dowodem była recenzja w „New York Times”.

Przy kolejnych odwiedzinach u Mistrza dzieliłem się wrażeniami z odbioru odczuć widzów. W dalekich planach rodziła się myśl stworzenia scenariusza dla mojego teatru. Życie oddaliło te plany, aż w końcu przekreśliło ich realizację.

Później spotkania w domu Różewicza były wzbogacane o nowe tematy. Niektóre mnie zaskakiwały. Na koniec jednego z nich pan Tadeusz zapytał, czy zanotowałbym swoje impresje o pobycie w jego domu. Biłem się z myślami, co napisać, gdy jednak skreśliłem parę refleksji i po kolejnej wizycie zapytałem o ocenę, pan Tadeusz miał tylko jedną uwagę – że nazwałem jego pokój salonem. „Czy pan wie, co stanowi o istocie salonu?” – zapytał. To była jedyna recenzja mojego tekstu.

Jak pisze Różewicz w liście otwartym, skierowanym do mnie przed laty, zawsze natrafiał na przeszkody uniemożliwiające obejrzenie spektaklu „Odchodzi”. Albo był daleko w świecie, albo zdrowie nie pozwalało dotrzeć na premierę w Lublinie. Miałem jeszcze nadzieję, że wizyta Teatru w Radomsku, miejscu urodzenia, dzieciństwa i młodości Różewicza, coś w tej kwestii zmieni. To właśnie to miasto było tematem naszych rozmów, dyskutowaliśmy na przykład o ważnej roli miejscowego kina Kinema. Obecność na spektaklu w Radomsku brata poety Stanisława, reżysera filmowego, była namiastką spotkania z autorem „Matka odchodzi”.

Tadeusz Różewicz był i jest jedną z niewielu osób, które zostaną ze mną na zawsze. ©

LESZEK MĄDZIK (ur. 1945) – scenograf i reżyser teatralny, malarz, fotograf, profesor sztuk plastycznych.

KAMIENIE MIŁOWE

1976

W homilii na Skatce
prymas Stefan Wyszyński
nazywa spektakle
„Apocalypsis cum figuris”
Jerzego Grotowskiego
i „Białe małżeństwo”
Tadeusza Różewicza
„obrzydlivością i świństwem”.

*Tu odbywa się karmienie słowem.
Godzina karmienia: dziewiętnasta.
„Apocalypsis cum figuris”, 1969*

1979

Publikacja i prapremiera dramatu
„Do piachu...”.

1982

Wydaje „Pułapkę”.

1991

Otrzymuje doktorat honoris
causa Uniwersytetu Wrocławskiego.

*największym wydarzeniem
w życiu człowieka
są narodziny i śmierć
Boga
(...)*

*życie bez boga jest możliwe
życie bez boga jest niemożliwe
„bez”, marzec 1988 – marzec 1989*

*złoto „wyprane” w Europie i Ameryce
pokrywa się plamami
krwawymi
kasy pancerne
są zamknięte jako komory gazowe
ale słychać zgryzanie zębów
„recycling. Złoto”, 1998*

*Teraz, kiedy piszę te słowa,
oczy matki spoczywają na
mnie. Te oczy, uważne i czujne
pytają, milcząc, „co cię martwi
synku...?” Odpowiadam
z uśmiechem „nic... wszystko
w porządku, naprawdę, Mamo”,
„no powiedz – mówi Matka –
co cię trapi?” Odwracam głowę,
patrzę przez okno...
„Matka odchodzi”, 1999*

Różewicz i profesorowie

ANDRZEJ SKRENDO

W liście do literaturoznawcy Ryszarda Przybylskiego Różewicz pisał: „proszę, nie wspominajmy już więcej osoby T. Różewicza. Rozmawiajmy o innych ludziach, zdarzeniach, literaturach”.

PRAWDĘ MÓWIĄC TYTUŁ POWINIEN brzmieć: Różewicz i Profesor, ale wszystko, co tu powiemy (głównie) na temat jednego profesora, a właściwie Profesora, może stanowić dość reprezentatywny przykład innych relacji z akademikami. Zanim do tego przykładu przejdziemy, uwaga natury bardziej ogólnej.

W „Językach teatru” (tomie rozmów z reżyserem Kazimierzem Braunem z lat 80.) Różewicz wspomina o „entuzjastach, egzegetach i znawcach, których się do cholery i trochę narobiło, i którzy są przekleństwem ludzi sztuki”. Uwaga ta powinna nas skłonić do wyciągnięcia dwóch co najmniej wniosków. Pierwszy: odnośnie do istnienia całego frontu osób, które są, powiedzmy, kłopotem dla Różewicza jako człowieka sztuki. Drugi: że sprzeciw wobec znawców (określenia tego będziemy zamiennie używać ze słowem „profesor”) nie wynika stąd, że znawcy nie chwalą – jak mogliby podejrzewać złośliwcy – lecz z jakiegoś innego powodu. Z jakiego? Oto nasze pytanie.

Entuzjaści, egzegeci, znawcy – dlaczego właśnie oni są „przekleństwem”? Czyż pisarze nie potrzebują entuzjastów? Czyż ci autorzy, którzy mają „własnych” znawców, nie czują się dowartościowani faktem, że to właśnie oni, a nie inni (czyli zdecydowana większość) znawców zyskali? Czyż nie są pożyteczni egzegeci, którzy z poświęceniem wyjaśniają niejasne i rozwikłają zawikłane – i czyż nie zasługują oni na wdzięczność? Otóż nie – jak zdaje się wynikać ze słów Różewicza.

Mógłby ktoś powiedzieć, że „czepiamy się” tu jednej i być może incydentalnej wypowiedzi, wyprowadzając bezpodstawnie kolejne pytania. Tak jednak nie jest – sprzeciw, a przynajmniej jakaś zasadnicza nieufność wobec profe-

sorów, znawców i krytyków (nawet gdy chwalą), jest stałym elementem myślenia Różewicza. Jest obecna m.in. w korespondencji z wybitnym profesorem, a więc raczej Profesorem, Ryszardem Przybylskim, która stosunkowo niedawno ukazała się na rynku księgarskim („Listy i rozmowy 1965-2014”, Warszawa 2019). I to właśnie Przybylski będzie naszym przykładem.

Patos i ironia

Przybylski jest (nie tylko w listach, ale o nich tu będzie mowa) sugestywnym i śmiałym interpretatorem Różewicza. Najbardziej chyba rzuca się w oczy patos, z jakim pisze. Patos obcy Różewiczowi, który ma predylekcję do sarkazmu i ironii. Gdy więc Przybylski rozpociera swe wzniosłe wizje na temat posłannictwa literatury, Różewicz wielokrotnie przypomina, że przede wszystkim towarzyszy mu poczucie śmieszności z powodu tej żalosnej uzurpacji, polegającej na byciu tak zwanym poetą. Gdy, na przykład, Przybylski wywodzi (w liście z 6 stycznia 1966), że „prawdziwie wielki poeta [tj. Różewicz] znajduje się zawsze na »schodach mistycznych«,” Różewicz wspomina o dojmującym „poczuciu śmieszności swojej misji”, dodając, że to „było zaoszczędzone nie tylko Słowackiemu, ale i Syrokomli”. Świadomie obok wieszczka stawia zapomnianego romantyka zwanego (bynajmniej nie ironicznie) „lirnikiem wioskowym”. Niejako zatem spuszcza z Przybylskiego powietrze. Rzecz jasna bezskutecznie.

Przybylski zadawał jednak Różewiczowi ważne i godne pamięci pytania. Na przykład w marcu 1977 r. pisał: „Czy Ty naprawdę uważasz, że każda analiza tekstu poety to przeinaczenie lub zabijanie »prawd żywych«? Czy naprawdę sądzisz, że w dążeniu do prawdy nic Ciebie

i mnie nie łączy? Czy zastanawiałeś się kiedyś, do jakich prawd dochodzi człowiek, kiedy kocha poetę? Nigdy nie przyszło mi do głowy czepianie się poety. Jak można czepiać się poetów, jeśli nawet ich grzechy i upadki są źródłem mądrości! Serce moje, odróżnij humanistów od miernot i uwierz w naszą uczciwość”. Czy te słowa Różewicza przekonały? Wolno w to wątpić. Bo jeszcze po 20 latach (w liście z 20 stycznia 1997) Przybylski poruszał ten sam problem, ale już w tonie cokolwiek żartobliwym: „Wygrałeś los na loterii. Tadeusz Różewicz jest jeden i na dodatek wspaniały. A profesorów jest jak psów i na dodatek pełno wśród nich kretynów. Co prawda, chodzi mi głównie o polonistów, ale i wśród historyków sztuki też by się kilku znalazło” (dodajmy, że sam Przybylski był polonistą).

Warto byłoby dokonać, za przeprowadzeniem, egzegezy tych dwóch cytatów, zwłaszcza pierwszego, bo Przybylski naprawdę pisze tu pięknie. Z braku miejsca poprzestańmy na samych pytaniach, żeby choć zasygnalizować poruszone zagadnienia. Czy i z jakiego powodu – a nawet: co lub kogo – „zabija” analiza wiersza? Bo jeśli to prawda, co innego powinniśmy robić z wierszami? Sam Przybylski preferuje relację polegającą na „kochaniu poety”. Czy wynika z tego, że „kochanie” otwiera dostęp do „prawdy”, zaś analiza nie? Bynajmniej. Przybylski mniema najwyraźniej, że, po pierwsze, w naszej relacji z poezją chodzi o prawdę, po drugie, że drogę do prawdy otwiera (nie zaś zamyka) „kochanie”, i że – po trzecie – „kochanie” jakoś godzi się z analizą. Dowiadujemy się ponadto ważnej rzeczy o tym „kochaniu” – kochający nie osądza. Może z tego powodu, że (jak pisał Przybylski w liście z 25 stycznia 1989), „Wielcy poeci mają to do siebie, że sieją nadzieję, nawet wówczas, kiedy krzyczą z jamy”.

Analizując miłość

Wróćmy do słówka „jakoś” w kontekście godzenia (się) analizy z „kochaniem”. Analiza to spojrzenie z zewnątrz, „kochanie” to pozostawanie wewnątrz. Racji serca rozum nie pojmie, bo nie ma tu nic do pojmowania (jak wiemy od Pascala). Odpowiedź Przybylskiego na pytanie, jak pogodzić te dwie perspektywy, jest niemalże unikiem: „miernota” nie potrafi, „humanista” potrafi czynu takiego dokonać. Podobna opozycja, dodajmy od razu,

■ W dziwny i niepokojący sposób Przybylski niejako mówi za Różewicza to, czego Różewicz powiedzieć nie potrafi, i do tego w taki sposób, którego Różewicz sam sobie zabronił.

rządzi drugim cytatem. Wielki poeta jest „nosem Kleopatry” (by znów odwołać się do Pascala), czyli punktem nieciągłości. W tym sensie jest (zawsze) jeden („Każdy poeta jest jeden / poeta jest największy / ten drugi też jest największy” czytamy w „Poemacie autystycznym”). Z kolei profesorów jest wielu, bo wiedza jest ciągła i wciąż przyrasta (inaczej nie byłaby wiedza). Ergo: nie można mieć wiedzy o wielkim poecie. Ale w tym miejscu Przybylski wykonuje znów unik: chyba że jest się profesorem historii sztuki, a nie literatury... Wtedy niemożliwe bywa możliwe.

Jak sam Przybylski radził sobie z faktem, że jest profesorem? Od początku był sprytny i odważny. Spryt polegał na tym, że przyjął strategię następującą: „ci, którzy Pana chwalą, nie rozumieją Pana, ale ja Panu powiem, kim Pan jest naprawdę” (co brzmi, na przykład, tak: „zasrańcy plugawia Pańską pracę”, list z 6 stycznia 1966). Zatem Przybylski zdaje się mówić Różewiczowi: ja jestem prawdziwym humanistą, a nie miernotą; niby jednym ze znawców, ale tak naprawdę kimś innym (i mówił prawdę, choć to okazało się dopiero po latach).

Na czym polegała odwaga? W wielu listach – głównie przez pierwsze lata znajomości – Przybylski niemal „atakuje” Różewicza wyznaniem miłości, oddania, uwielbienia, cały czas tłumacząc mu, kim naprawdę jest (czyli w gruncie rzeczy przyjmując postawę profesora, ale bez użycia języka naukowego). W odpowiedzi słyszy, między innymi, „proszę, nie wspominać już więcej osoby T. Różewicza. Rozmawiamy o innych ludziach, zdarzeniach, literaturach” (list z 11 stycznia 1966) albo „Na radości i smutki poety T.R. trzeba już opuścić zasłonę” (list z 17 października 1966). W roku 1983 w odpowiedzi na kolejną zawrotną (ale bardzo sugestywną) interpretację swojej twórczości Różewicz odpowiada Przybylskiemu (list z 17 sierpnia 1983): „odszedłeś w bardzo odległe (i obce mi) światy (...) Rysiu, Rysiu – może czasem trzeba wypić ćwiartkę pod kiszzonego ogórka”... Wniosek? Jest chyba oczywisty: trudno o lepsze określenie Przybylskiego niż „entuzjasta, egzegeta i znawca”. Zaskakuje on na nie jak mało kto!

Nasza perspektywa stopniowo się odwraca. Entuzjaści, owszem, często chwalą, zamiast próbować zrozumieć; egzegeci niekiedy zaciemniają, próbując rozjaśniać; znawcy czasem najbardziej dbają o własny autorytet zamiast służyć autorowi i sprawie jego pisarstwa. Ale wszyscy oni pozostają niezastąpieni. Bo czy Przybylski okazał się „przekleństwem” Różewicza? W żadnym razie! „Pan wyzwolił we mnie pewne sprawy, o których trudno mówić, o których może nie trzeba mówić” pisał 17 grudnia 1965 r. Różewicz. „Wyzwolenie” to naprawdę niemało... Tak oto wyszło na jaw, że w istocie Różewicz potrzebuje Przybylskiego i to na tyle intensywnie, że czyta jego stare listy, kiedy nie przychodzą nowe. W dziwny i niepokojący sposób Przybylski niejako mówi za Różewicza to, czego Różewicz powiedzieć nie potrafi, i do tego w taki sposób, którego Różewicz sam sobie zabronił. I z tego powodu staje się kimś wyjątkowo ważnym.

„Jesteś częścią mnie samego” wyznaje Różewiczowi w grudniu 1970 r. Przybylski. Ale to tylko połowa prawdy. To samo mógłby, jak sądzę, powiedzieć Różewicz. Profesor mieszka w Pocię, a Poeta mieszka w Profesorsze – i bynajmniej nie tylko z tego powodu, że Profesor ma w swoim pisaniu skłonność do poetyckiego patosu. ©

KAMIEŃ MIŁOWE

2000

Otrzymuje Nagrodę Literacką Nike za tom poetycki „Matka odchodzi”.

*przez pola łąki i lasy
przez góry doliny
pędzi cicho ciszej
kamienny pociąg
stoi
nad otchłanią
jeśli go ożywią krzyki
nienawiści
rasistów nacjonalistów
fundamentalistów
runie jak lawina
na ludzkość
nie na „ludzkość”!*

*na człowieka
„nożyk profesora. Pociągi”, 2001*

2008

Zostaje laureatem Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za całokształt twórczości.

*czerpę z morza mowy
przelewam sto razy
z próżnego w puste*

*zmęczony zasypiam wtedy bóg rzeki
– poezji
czysty zimny porywający ucieka*

*budzę się z grudką
błota w zaciśniętej dłoni
w blasku słońca
w świetle księżycy widzę złoto
złoto złoto złoto*

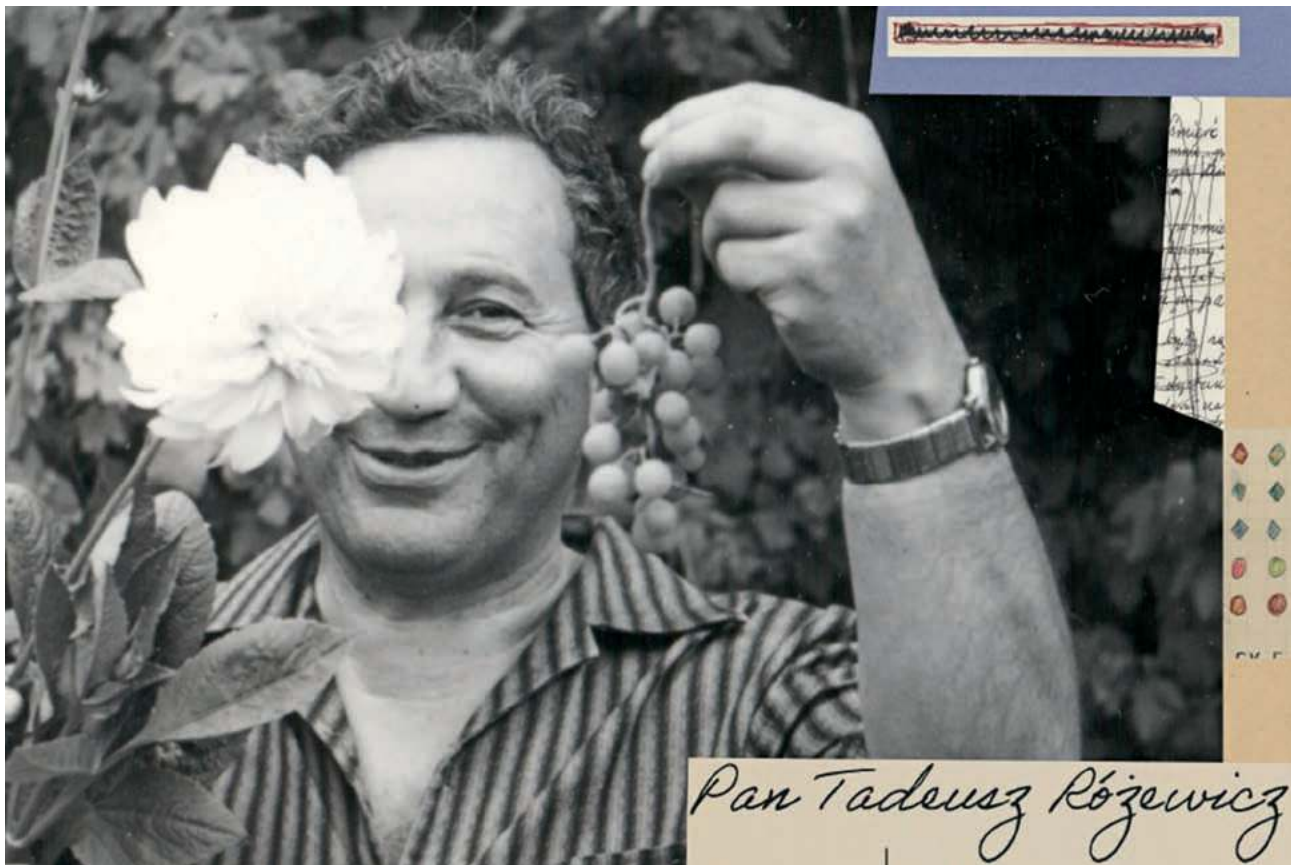
*g... rozpylone w kosmosie
w „nieskończoności”*

*zaczynam od początku
zaczynam od końca*

*zaczynam jeszcze raz
„Credo. Poszukiwacze Złota Piękna
i Prawdy”, 2006*

2014

Poeta umiera we Wrocławiu. Zostaje pochowany na cmentarzu przy kościele ewangelickim Naszego Zbawiciela w Karpaczu Górnym.



MUZEUM PANA TADEUSZA / MATERIAŁY PRASOWE

Muzeum Pana Tadeusza – zapowiedź wystawy „Pan Tadeusz Różewicz”

Anarchista wrażliwiec

JOANNA ORSKA

**O awangardowym Różewiczu pamiętamy mniej chętnie.
Wolimy go w odsłonie filozoficznej, medytacyjnej, gorzko-ironicznej.
A jednak taki Różewicz również istnieje – piszący o duchu anarchii jako
fundamencie wszelkiej poezji.**

WJEDNEJ ZE SCEN „PRZYGOTOWANIA DO WIECZORU autorskiego” Różewicz, poruszony brzydota pomnika wystawionego w 1978 r. w Skarżysku ku czci Leopolda Staffa, oblicza, ile trotylu albo dynamitu trzeba, aby wysadzić posąg – „razem z guzikami, które były jak żywe”. „Obudził się we mnie anarchista dynamitard” – pisze poeta, żartobliwie wpisując się w obraz artystów-burzycieli, wywodzący się niewątpliwie z awangardowej tradycji.

O autorze „Niepokoju” często mówi się jako o przedstawicielu dwudziestowiecznej awangardy. On sam również, zwłaszcza we wspomnieniowych esejach odno-

szących się do czasów tużpowojennych, lokuje swoją twórczość w „grupie awangardzistów” – nawet jeśli pośród swoich ścisłych patronów wymienia wyłącznie Juliana Przybosa. Robi to przeważnie żartobliwie, w wielu miejscach z przekąsem odbierając rację powojennym awangardowym debatom o sztuce. W różnych kontekstach, jako bliskich sobie wskazuje poetów niekojarzonych wprost z eksperymentem: Staffa, Czechowicza; a Norwida, Mickiewicza i Kochanowskiego przywołuje jako swoich poetyckich koryfeuszy. Pomnik poety, wykreowany w naszej pamięci, to monument mistrzowski, doskonale pasujący do takiego kanonu: Różewicz filozoficzny, me-

dytacyjny, gorzko-ironiczny, refleksyjny – na nowoczesny sposób.

Mniej się pamięta o Różewiczu jako autorze kolażowych książek-objektów, choćby wybitnie awangardowo zatytułowanej pozycji „Kup kota w worku” (2008) – przywodzącej na myśl okolicznościowe afery dziennikarskie i krytyczne, detonowane przez poetę satyrycznymi ujęciami polskiego obyczaju czy historii. A jednak taki Różewicz również istnieje; Różewicz, który mówi o współczesnym teatrze, cytując Artauda. Do tego piszący o głębokim duchu anarchii jako fundamencie wszelkiej poezji. Mówiąc o awangardowości autora „Kota”, musimy się zgodzić co do jej nieoczywistego charakteru.

Jednak pytanie o nią na pewno powinno kierować uwagę czytających ku środowisku przyjaciół poety – w równie nieoczywisty sposób awangardowych malarzy.

Blżej do malarzy

Działania krakowskiej Grupy Młodych Plastyków, kojarzącej się dziś z nazwiskiem Tadeusza Kantora, a z którą związani byli także Jerzy Nowosielski, Jerzy Tchórzewski, Maria Jarembianka czy teoretyk Mieczysław Porębski, mocno naznaczają początki Różewiczowskiej drogi twórczej – przede wszystkim biograficznie. Można by jednak twierdzić, biorąc pod uwagę wieloletnie i głębokie relacje, które poeta utrzymywał z jej przedstawicielami, że realizuje się w ten sposób także awangardowa spuścizna interdyscyplinarnej sztuki, przypominająca o historii przedwojennej konstruktywistycznej grupy a.r. (z głównymi rolami Strzebińskiego i Przybosia).

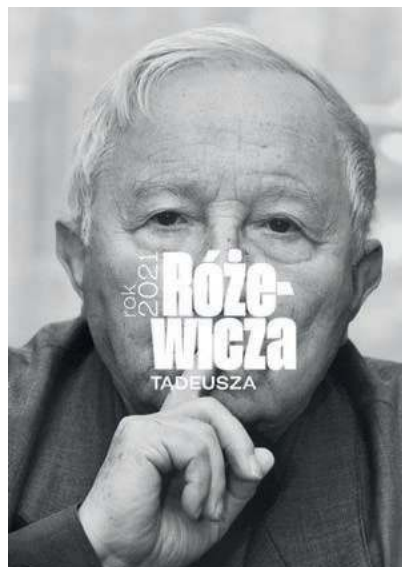
Dookreślałyby to także powinowactwa polityczne: lewicowe sympatie, wklajające Młodych Plastyków w związek z partyjnym socrealizmem. Nic dziwnego – sam realizm stanowił żywotną sprawę dla powojennej Grupy Krakowskiej, z której w latach 50. miał wyrosnąć teatr Cricot 2. W kontekście epoki wyróżniał się on surową bezwzględnością w ukazywaniu społecznej rzeczywistości – a to cecha właściwa dla sztuki Różewicza w ogóle. Piotr Piotrowski w książce „Znaczenia modernizmu”, pisząc o realizmie „bepośrednim” Andrzeja Wróblewskiego i „spotęgowanym” Tadeusza Kantora, odnosi się do „surrealności traumatycznej pamięci” malarzy, co świetnie przystaje do sposobu, w jaki można interpretować realizm uprawiany w sztuce Różewicza.

W posłowie do „Przygotowania do wieczoru autorskiego” (z 2000 roku; pierwsze wydanie to rok 1958) poeta tłumaczy, dlaczego nie można już pisać wspaniałych wierszy i dramatów, jak w XVIII i XIX wieku, czy to o władcach i mecenasach, czy o Bogu i miłości: „Problem ludzi »martwych«, ale niesłuchanie aktywnych, żywych-umarłych stał się tematem wielu moich poematów i opowiadań. Martwe słowa, martwe idee, martwi ludzie coraz częściej przejawiają – w naszych czasach – aktywność, są agresywni, podstępni, niezwykle ruchliwi”. Ten cytat wskazuje nie tylko na początki jego własnej drogi twórczej, ale przywodzi na myśl także koncepcje teatru Kan-

tora, „Rozstrzelania” Wróblewskiego czy czarno-białe filmy Jajdy.

Często wspomina się w naszej krytyce o niemożliwości polskiego surrealizmu, zwłaszcza po wojnie; ten element wyróżnia nas na tle innych krajów bloku sowieckiego, w których właśnie surrealizm bywał językiem artystów-dysydentów: Czech, Słowacji, Serbii, Słowenii, Rumunii. Czy ten polski brak to konsekwencja powojennego, naznaczonego Lukácsowską krytyką rozumienia artystycznego surrealizmu jako poetyckiego nie-realizmu?

W obrębie historii sztuki o obecności surrealizmu w twórczości Nowosielskiego czy Tchórzewskiego rozprawia się



GRAFIKA: MARTA PŁONKA

całkiem naturalnie – wpisuje się tę tradycję w przesłanki społecznie umotywowanej, artystycznej krytyki realizmu i godzi się je ze specyfiką powojennych doświadczeń polskich plastyków. Podobnie jak poezja Różewicza, płótna Młodych Plastyków miały od nowa wypracowywać możliwości codzienności, banalności, naiwności, materialności – ale bez fetyszu, bez ideowej publicystyki i bez nadziei na zwycięski skutek artystycznych usiłowań. Realizm zapożyczony z życia i wintegrowany w sztukę, realizm jako praktyka artystyczna – który nie byłby socrealizmem, ale zarazem nie wykluczał eksperymentu – wiązał intuicje polskich twórców także z nasilającą się na świecie krytyką społecznego, medialnego spektaklu, tak właściwą dla pogrobowców przedwojennej awangardy.

Śmieszność i naiwność

Polscy malarze z Grupy Młodych Plastyków (potem występujący jako II Grupa Krakowska) chętniej niż polscy literaci chłonęli debaty, które toczyły się wokół neoawangardowej sztuki – dialogowali twórczo z nowymi koncepcjami artystycznymi, przede wszystkim z informalem. Według Piotrowskiego dla twórców rewolucji obyczajowej lat 60., nawiązujących śmiało do doświadczeń pop-artu czy ruchu Fluxus, bywali już modernistami. A jednak ich literaccy rówieśnicy (lub prawie rówieśnicy) wydawali się mocniej wyobcowani – nie tylko ze świata sztuki zza żelaznej kurtyny, ale często także, poprzez cenzurę, również względem bardziej odważnych poetyckich wystąpień w krajach bloku sowieckiego.

Nic dziwnego, że powojenni przedstawiciele poetyckiej awangardy, wkraczający za Przybosiem w okres dojrzałej nowoczesności – jak Jalu Kurek, Adam Ważyk czy Zbigniew Bieńkowski – do kontrkulturowej rewolucji, także w poezji polskiej, odnosili się z dużym dystansem. Powiedzieć można, że na tym tle Różewiczowi, ze swoimi notatkami z Paryża 1968, znowu bliżej do malarzy. Po francuskich ulicach poeta przechadzał się, spisując z murów do swego poetyckiego dziennika hasła studenckiego protestu – nie wiadomo, czy z większym powątpiewaniem w ich moc, czy jednak z pewnym entuzjazmem.

Wspominał przy tym z pewną zazdrością „starego Sartre’a”, który „zrozumiał jeszcze na czas, że to wszystko jest niemożliwe, cisnął w kąt pisanie i poleciał z chłopakami na ulicę”. Swoją notatkę, włączoną do „Przygotowania” pod tytułem „Napisy na ścianach”, Różewicz kończy wzruszająco: „Jean-Paul Sartre był ubóstwiany przez intelektualistów, literatów i snobów, dopóki był tylko filozofem, dramaturgiem, krytykiem, teoretykiem – z chwilą, kiedy zabrał się do działań praktycznych, prawie wszyscy go potępili (w tej liczbie również nasi, polscy wielbicie). Tymczasem – moim zdaniem – Jean-Paul Sartre wstąpił w najciekawszy i autentyczny okres życia. Nie boi się »śmieszności« i »naiwności«”.

© JOANNA ORSKA

JOANNA ORSKA (ur. 1973) – krytyczka i historyczka literatury, wykładowczyni Uniwersytetu Warszawskiego.



Neon z autografem Tadeusza Różewicza na fasadzie Miejskiej Biblioteki Publicznej przy ul. Sztabowej.

MARTA GIERUŃ / MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

o teatrze

Z ROZMOWY Z REŻYSEREM KAZIMIERZEM BRAUNEM

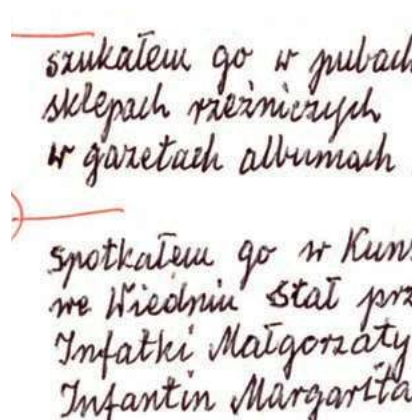
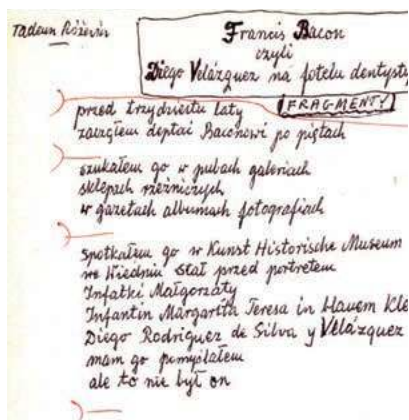
Wracam do pytania: na co wy oczekujecie? Wy, reżyserzy. To jest bardzo ważne. Na jaki nowy dramat? Na jakiego nowego autora? Bo przecież, na miłość boską, także nie na to, co proponują młodzi ludzie pisujący u nas dla teatrów... To przecież są ludzie, którzy nie myślą kategoriami technik dramatu, struktury, tego, co jest najważniejsze. Jak mają jakąś fabulkę w miarę tragiczną, w miarę dowcipną, to się im wydaje, że napisali sztukę teatralną. To nie są czasy Bałuckiego i Rittnera! Albo od czasu Bałuckiego i Rittnera coś zaszło w polskim teatrze i dramaturgii – albo nie! Bo jak czytam to, co piszą i ogłaszają, to mi się nagle wydaje, że nic nie zaszło.

Gdyby ktoś zrobił sumienną analizę – a zrobił to Wyka – „Białego małżeństwa”, to zobaczyłby, że ono ma właśnie źródła literackie. Te źródła biją w literaturze Młodej Polski, w secesji, a nawet wcześniej, w postromantycznej twórczości Narczyży Żmichowskiej, poprzez Marię Komornicką, która w jakiś sposób weszła do „Białego małżeństwa” i jako postać, i jako poetka. No, powiedzmy jasno: jako poeta. Bo chciała być całe życie poetą. Chciała być mężczyzną. Ale są tam też echa Micińskiego, Lemańskiego. A nawet cytaty z „Żywotów Świętych”, z księdza

Skargi w intermedium teatryku amatorskiego. To jakby antologia różnych języków i dzieł literackich zszypana do tego tygla, do tego kotła, w którym ja zacząłem mieszać moją wielką łyżką i doprowadzać do syntezy językowej, uczuciowej, teatralnej. A grzybobranie nawiązuje przecież do „Pana Tadeusza”. Jest w „Białym małżeństwie” żywioł Fredry, ale i Mickiewicza, zwłaszcza jeżeli chodzi o przyrodę, piknik w lesie, pojawienie się Czarnego myśliwego...

Wiesz, wydaje mi się, że we mnie samym następują zakłócenia i niekonsekwencje między twórcą-teoretykiem i twórcą-pisarzem. Ten teoretyk jest też technikiem i bada maszynierię komedii, dramatu, tragedii, bada materię literacką, ale również materię teatru. Materię reżyserii technik teatralnych, a nawet sceny, czy to pudełkowej, czy otwartej; jest zainteresowany w architekturze teatru. Więc z jednej strony jestem ja – z moją maszynierią, z moją techniką, ja – teoretyk różnych sposobów teatralnych, wynalazków teatralnych, prób zastępowania jednych trybików innymi, wymieniania jednych rurek na inne, kółek na inne kółka, i z tą moją maszynierią i świadomością teoretyka wchodzę w olbrzymi żywioł, las języka, obrazów i tak dalej.

Kazimierz Braun, Tadeusz Różewicz „Języki teatru”,
Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1989



GRAFIKA: MARTA PŁONKA

ROK 2021 RÓŻEWICZA TADEUSZA



INSTYTUT
THE GROTOWSKI
INSTITUTE IM. JERZEGO
GROTOWSKIEGO

Premiery w Instytucie im. Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu w ramach Roku Różewicza 2021

PROGRAM: grotowski-institute.pl

ARCHIPELAG TADEUSZA RÓŻEWICZA

Przegląd spektakli inspirowanych tekstami
Tadeusza Różewicza

17–19/09 Mów o sobie, tylko o sobie
Wrocławski Teatr Pantomimy, reż. Daria Kopiec

7–8/10 Złowione

Teatr ZAR, reż. Jarosław Fret

Projekt dofinansowano z budżetu Samorządu Województwa Dolnośląskiego

11–12/10 Staruszek

Instytut im. Jerzego Grotowskiego i Akademia Sztuk
Teatralnych w Krakowie Filia we Wrocławiu,
reż. Ewelina Ciszewska

15–16/10 Odchodzi

Scena Plastyczna KUL, reż. Leszek Mądzik
Wersja plenerowa spektaklu

BOHATER.DOK

Spektakle plenerowe prezentowane w okolicach
miejsc, w których we Wrocławiu mieszkał
Tadeusz Różewicz

20/10 BISKUPIN

Oczy matki

reż. Marta Kowalska, Ada Tabisz,
Vital Ione, Mateusz Przytycki

21/10 BOREK

Garbologia. Studium nieznikania

reż. Natalia Klupp, Jolanta Sikorska,
Anna Bolewska

22/10 HUBY

W sieci

reż. Anna Wiczorek, Krzysztof Kopka,
Dorota Bator, Laura Sonik

ORGANIZATOR



DOFINANSOWANIE SPEKTAKLU ZŁOWIONE



PARTNERZY



ORGANIZATORZY



PARTNERZY



Wrocław miasto spotkań

visitWroclaw.eu

DAWNO
CIĘ
TU NIE
BYŁO



Visit Wroclaw



Wroclaw
[Wroclove]

SPOTKAJMY
SIĘ WE

WROCLAWIU

Wrocław miasto spotkań